



# Kopciuszek w Singapurze

Monika Hołyk-Arora

Monika Hołyk-Arora

# Kopciuszek w Singapurze



# Rozdział I

## Przybyłam!

Dawno, dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami... Zaraz, zaraz mamy dwudziesty pierwszy wiek i chyba nikt nie wierzy w bajki zaczynające się w ten sposób. Przecież wystarczy wskoczyć w super szybki pociąg, albo jeszcze lepiej – samolot i kraniec świata znajduje się na wyciągnięcie naszej ręki.

Zatem bajarz poszukujący odpowiedniego wstępu do swojej opowieści powinien wybrać nowy, zupełnie inny początek historii. Jaki? Trudno będzie znaleźć właściwą odpowiedź na ten dylemat, dlatego też zacznijmy od pewnej prawidłowości będącej w stanie oprzeć się nieuchronnie płynącemu czasowi.

Jedna rzecz nigdy się nie zmieni. Kopciuszek nie mógłby istnieć bez Matki Chrzestnej, spełniającej skryte marzenia za jednym machnięciem czarodziejskiej różdżki. Bez obaw, nie zobaczycie dyni zaprzężonej w białe rumaki, pędzącej po krajowej autostradzie, ani kryształowych pantofelków porzuconych na schodach królewskiego zamku.

Nowa, ulepszona wersja wróżki potrafi czynić bardziej wyrafinowane cuda, które mogą spowodować, iż codzienność na krótką chwilę przemieni się w baśń, jaką pragną usłyszeć wszystkie dziewczynki świata.

Skąd to wiem? Cóż, to ja jestem współczesnym Kopciuszkim przeżywającym swoją bajkę na jawie! Ale chyba powinniśmy zacząć od początku...

Zamknijcie oczy. Chociaż nie, nie możecie tego zrobić, jeśli chcecie kontynuować lekturę poniższego tekstu. Zatem po prostu wyobraźcie sobie późny, piątkowy wieczór. W listopadowych mrokach schyłku dnia, deszcz siąpiący od rana zmienia się powoli w pierwsze opady śniegu. Wszechobecne zimno przenika chłodem jesienne okrycia, sprawiając, iż ludzie na ulicy kulą się w sobie, tęskniąc za słoneczną, letnią pogodą.

Stworzyłam właśnie niezbyt optymistyczny obrazek, nieprawdaż? Cóż, w życiu, tak jak i w bajce, nie zawsze jest lekko. Chociaż nie przypominam sobie, by Kopciuszek w baśni braci Grimm cierpiał na tego typu niedogodności atmosferyczne.

Tak czy siak, aura za oknem doskonale odzwierciedlała nastrój panujący w mojej duszy. Zaledwie kilka dni wcześniej przeznaczenie podarowało mi najbardziej chybiony prezent z okazji nadchodzących trzydziestych urodzin, jaki tylko można było sobie wyobrazić – wypowiedzenie z pracy!

No dobrze, nie będę nikomu wmawiać, iż

przepadałam za nią w jakiś szczególny sposób, bo byłoby to zbyt dużym przekłamaniem. Nie mniej jednak, to właśnie za sprawą tych ośmiu godzin dziennie, spędzonych za biurkiem korporacyjnego potworka, byłam w stanie opłacić bieżące rachunki i odłożyć chociaż kilkanaście złotych na przysłowiową „czarną godzinę”.

Zanim jednak zdołałam pogрузić się w rozpacz, przeznaczenie przysłało pod moje drzwi dobrą wróżkę. Trudno powiedzieć, czy akurat w tym przypadku należy mówić o ogromnym szczęściu, czy też odwrotnie, o potwornym pechu, nie mniej jednak powinnam sprecyzować niektóre fakty i dodać, iż na swoim progu ujrzałam nie jedną, a dokładnie czternaście matek chrzestnych i czterech „ojców”. Wszyscy śpiewających donośnymi głosami „Sto lat”. Kiedy już ich grupowe zawodzenie przebrzmiało na korytarzu klatki schodowej, wspólnie wręczyli mi bilety lotnicze do... Singapuru!

I oto jestem! Stoję sama pośrodku jednego z największych lotnisk Azji, zupełnie nie wiedząc, co ze sobą począć. Kolejne mijane przeze mnie korytarze portu Changi zachwycają podróżnych z całego świata swymi ogrodami i świetnie zaopatrzoną strefą wolnocłową, jednak we mnie wywoływały poczucie zagubienia.

Ostatnich kilka lat mego życia spędziłam na

marzeniach o podróżach, poznawaniu świata i uwiecznianiu jego cudów na fotografiach. Teraz oto przyszło mi te życzenia wcielić w życie. A ja? Ja boję się tego, iż nie znajdę metra, które może dowieźć mnie w pobliże China Town!

„Wdech, wydech” – szepnęłam, próbując zapamiętać każdy z możliwych szczegółów otaczającej mnie, zupełnie nowej, rzeczywistości – „to nic więcej, jak tylko jedno z wielu lotnisk i miast, które jeszcze w życiu odwiedzę!” – przekonywałam samą siebie, próbując uniknąć nagłego ataku paniki.

Oczywiście jeśli tylko uda mi się powrócić z tej wyprawy w jednym, nienaruszonym ludzkim kawałku! Pchnięta ciekawością świata oraz skromnymi zasobami portfela, zdecydowałam się na rejestrację na portalu couchsurfingowym, za pośrednictwem którego znalazłam darmowy nocleg. W zaciszu własnego pokoju w Warszawie wydawało się to świetnym pomysłem, teraz jednak straciło cały swój urok zaprawiony przygodą. Racjonalna część mojej osobowości doszła bowiem do wniosku, że prawdopodobnie upadłam na głowę, decydując się na takie szaleństwo. Jeszcze kilka lat temu nie do pomyślenia byłoby łączenie podróżników z drugiego końca świata z osobami posiadającymi wolne miejsce na domowej kanapie. A teraz? Proszę! Sama jadę na spotkanie z Ann-Marie, która zgodziła się gościć mnie

przez pierwszy tydzień moich szalonych wakacji z Singapurze!

Co zrobię z resztą dwutygodniowego urlopu? Nie wiem. Prawdopodobnie udam się do Malezji, a kto wie, może nawet na słynne Bali. Improwizacja bywa niekiedy całkiem dobrym doradcą.

Tłum stłoczony w wagoniku wylał się na peron, umożliwiając mi pochwycenie niewielkiej walizki i wyskoczenie na platformę w ostatnim momencie, zanim drzwi zamknęły się przed kolejnym odcinkiem jazdy. Stałam po środku korytarza, spoglądając na tabliczki informacyjne wskazujące ulice znajdujące się nade mną, gdy spostrzegłam szatynkę w eleganckiej garsonce, przyglądającą mi się dosyć ostentacyjnie. Zanim jednak zdążyłam wykonać chociaż jeden krok w jej kierunku, ona sama podeszła do mnie i z uśmiechem na twarzy skinęła głową.

– Adrianna, prawda? – spytała po angielsku z charakterystycznym australijskim akcentem – to ja, Ann-Marie. Udało mi się wcześniej wyrwać się z pracy i pomyślałam, że wyjdę ci na spotkanie.

Muszę przyznać, że odetchnęłam z ulgą, widząc ją pośród tego morza ludzi, płynącego wartkim strumieniem we wszystkich kierunkach. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. To mogłam zrobić, mimo zmęczenia, które nagle mnie dopadło.

– Zgadza się! – szepnęłam uradowana. – Dziękuję za



miłe powitanie i gościnę.

– Nie ma za co! Zresztą, jak sama się przekonasz, daleko mi do właścicielki apartamentu w centrum. Sądzę jednak, że miejsca wystarczy dla nas obu. Jak to mawiają Hiszpanie: „Mi casa, es su casa”!

Wymawiając te słowa, chwyciła torbę, która do tej pory obciążała moje ramię i, ponagłając mnie, ruszyła przed siebie.

Zanim zdążyłam postawić pierwszy krok na chodniku, zalała mnie fala światła, w której powoli zaczęłam rozróżniać poszczególne kształty i kolory otaczającej mnie rzeczywistości. Oniemiałam! Mimo, iż przywykłam do życia w Warszawie, będącej bezsprzecznie jedną z większych metropolii Europy, to niestety daleko jej do azjatyckiego tygrysa, jakim stał się Singapur w przeciągu zaledwie kilku dekad niepodległości.

Drapacze chmur pnące się w górę, zasłoniły mi widok błękitnego nieboskłonu, ustępując chwilami pola znacznie niższymi budynkami, wzniesionym w stylu będącym tutejszą odmianą trendów kolonialnych. Krocząc między kolejnymi konstrukcjami, w pewnym momencie dostrzegłam wysoki wieżowiec, którego ściany pokryte zostały bujną, na pierwszy rzut oka prawdziwą, zielenią.

– Już go zauważyłaś? – zagadnęła mnie Ann-Marie – to hotel ParkRoyal, jeden z najciekawszych na świecie.

Jak pewnie wiesz, nie posiadamy zbyt wielu wolnych terenów, dlatego rośliny stały się częścią tutejszej architektury. W tym przypadku biuro projektowe wykonało kawał dobrej roboty.

– Niesamowity – szepnęłam, nie znajdując odpowiednich słów na opisanie wrażenia, jakie zrodziło się w mej duszy na widok tego niezwykłego zakątka. – Czy tu zawsze jest tak duszno?

Był to zabieg taktyczny, mający na celu zmianę tematu. Nie chciałam przecież wyjść na chłopka-roztropka, który nic w życiu nie widział i zachwycił się pierwszym napotkanym cudem dwudziestego pierwszego wieku.

– Sorry – rzekła na wpół przeprasząc, na wpół żartując – taki mamy klimat! Słońce, wilgotne powietrze i okazjonalne oberwania chmury to nasza codzienność. Nie martw się, szybko się przyzwyczaisz.

– Na pewno. Wylatując z Warszawy pożegnałam przeszło dziesięciocentymetrową warstwę śniegu. Uwierz mi, to – rzekłam wskazując na niebo – stanowi ożywczą odmianę.

– Śnieg – westchnęła tęsknie Australijka, dzielnie dźwigając moją, wcale nie lekką, torbę podręczną – nigdy nie widziałam go na żywo. Jak wygląda? Oczywiście poza tym, że jest biały, mokry i zimny?

Poczułam ulgę! Ogromną, niewysłowioną ulgę! Może

nie miałam okazji podziwiać wszystkich cudów wielkiego świata, ale nie byłam w tym osamotniona!

– Wiem, pewnie moje pytanie wydało ci się głupie, ale...

– Nie, nie, wcale nie – zaproponowałam natychmiast, wyrывая się z chwilowego zamyślenia – po prostu nie wiem jak go opisać. Jest zimny, mokry, biały, a topiąc się tworzy straszne błoto. Uwierz mi, nie straciłaś zbyt dużo, nie mając okazji widzieć go na żywo. Nie mniej jednak, jeśli tylko masz ochotę, to zapraszam do Polski. Zimową porą mamy go tam pod dostatkiem.

– Kto wie? Może kiedyś skorzystam! – stwierdziła zadziornie.

– Mi casa es su casa – odpowiedziałam słowami użytymi wcześniej przez nią samą.

Mieszkanie Ann-Marie, chociaż faktycznie niezbyt duże, okazało się znacznie większe, niż kawalerka wynajmowana przeze mnie na Mokotowie. Urządzone w minimalistycznym, ultranowoczesnym trendzie, w moim odczuciu świetnie skomponowało się ze stylem właścicielki.

– Czuj się jak u siebie w domu! – poprosiła, zostawiając mnie w pokoju, który miał się stać moim lokum na najbliższe dni – kiedy już się odświeżysz, zapraszam na kawę – zaświergotała radośnie przed wyjściem z sypialni.

– Daj mi dwadzieścia minut – poprosiłam.

Zostałam sam na sam ze swymi myślami, które od kilkunastu godzin nie nadążały za lawiną następujących po sobie zdarzeń.

To niewiarygodne, ale dokonałam tego! Przybyłam na drugi koniec świata tylko po to, by spełnić swoje marzenia! I chociaż jest to dopiero pierwszy, niewielki krok do zmiany życia, to wreszcie udało mi się go postawić! Teraz powinno być już tylko łatwiej!

Otworzyłam szybko walizkę i wyjęłam z niej potrzebne kosmetyki, ubrania i album o Warszawie, który zamierzałam sprezentować swojej gospodyni.

– Życie tutaj, wbrew pozorom, nie jest proste – Ann-Marie odpowiedziała na moje pytanie o Singapur – oczywiście nie mam tu na myśli poszukiwanych specjalistów, bowiem dyplom odpowiedniej uczelni otwiera nie tylko drzwi wielu pracodawców, ale też i karier, o jakich w innych krajach można tylko pomarzyć.

– A ty? Jak się tu znalazłaś, jeśli można spytać?

Kobieta zaśmiała się lekko, wracając w swych wspomnieniach do przeszłości.

– Kończyłam ekonomię na uniwersytecie w Sydney i odbywałam praktykę w przedstawicielstwie jednej z tutejszych firm. Sama nie wiem, jak to się stało, iż pewnego dnia zaproponowali mi etat tutaj. Nie czekając

na inną ofertę, spakowałam kilka walizek i przyleciałam. A wiesz, co jest w tym wszystkim najciekawsze? To była najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć!

– Wow, to się nazywa dobry start – podsumowałam, nie chcąc okazywać zazdrości, która gdzieś tam w głębi duszy szeptała, iż ja nie miałam tyle szczęścia.

– Prawdopodobnie masz rację – zgodziła się Ann-Marie – a co ty porabiasz w dalekiej, śnieżnej Polsce?

– Śnieżnej tylko w zimie, a i to nie zawsze – sprostowałam na wstępie, nie chcąc zafałszowywać obrazu własnej ojczyzny – aktualnie jestem bezrobotna. Mój kontrakt wygasł dwa dni temu...

– Och, nie wiedziałam, przepraszam – zmieszała się nieco.

– Nie ma za co! To nie twoja wina. Zresztą może zmiana wyjdzie mi na dobre. Pracowałam w biurze, odbierając dziennie setki telefonów i wpisując nikomu niepotrzebne dane w wykazy, które oglądało może trzech ludzi w firmie.

– Czy mi się zdaje, czy też nie przepadałaś za swoją pracą?

Roześmiałam się radośnie, nie mogąc opanować tej naturalnej reakcji.

– Skończyłam fotografię, a utknęłam w korporacji z powodu braku perspektyw rozwoju w moim wyuczonym

zawodzie – wyjaśniłam – Skoro już wspomnieliśmy o Polsce, to mam dla ciebie pewien drobny upominek – rzekłam, podając jej album owinięty w papier prezentowy, nie wiedząc nawet czy w couchsurfingu coś takiego jest praktykowane.

– Ależ nie trzeba – zapewniła Ann-Marie.

– To dla mnie czysta przyjemność.

Błękitna kokardka zdobiąca podarunek szybko została rozwiązana, a oczom zaskoczonej Australijki ukazała się kolorowa okładka.

– Adrianna – rzekła, a w jej głosie dało się usłyszeć zachwyty – dziękuję. Nikt dotąd nie pomyślał o tak miłym gościu. Dziś moja mała biblioteka wzbogaciła się o wielki skarb – rzekła, wskazując w stronę kącika z regałami wypełnionymi książkami.

– Cieszę się, że trafiłam w twoje gusta.

Spędziłyśmy mnóstwo czasu rozmawiając o naszych krajach, pomysłach na życie i poglądach na świat. Ta drobna szatynka użyczająca mi dachu nad głową okazała się niezwykle ciepłą i otwartą na inność osobą. Szczerze mówiąc, nie spodziewałam się znaleźć bratniej duszy na drugiej półkuli, a jednak właśnie tak się stało.

– Miałam dziś w planach kolację z kolegą z pracy, ale zaraz ją odwołam i wyjdziemy na miasto. Co ty na to? – zaproponowała w pewnym momencie.

Kolacja? Z kolegą z pracy? To mogło oznaczać tylko

jedno! Randkę! A ja nie miałam ochoty stać się powodem jej odroczenia, dlatego też natychmiast zaprotestowałam.

– Absolutnie nie mogę się na to zgodzić! Spędzę tu jeszcze kilka dni, więc na pewno wyskoczmy gdzieś na babski wieczór! Dziś musisz zrobić się na bóstwo i w drogę! Ja w tym czasie spróbuję na mieście jakiejś chińszczyzny i obejrzę sobie centrum z bliska.

Ann-Marie spojrzała na mnie, nieprzekonana.

– Ale...

– Nie ma żadnego „ale”! Zresztą kto wie, może i ja spotkam jakiegoś przystojniaka – zażartowałam, by rozwiać jej wątpliwości – skoro już dobra wróżka wysłała mnie tutaj, to chyba nie zrobiła tego bez powodu.

Kobieta siedząca naprzeciwko spojrzała na mnie tak, jakbym nagle straciła resztki rozumu, a wypowiedziane przeze mnie słowa cechowała bezsensowność.

– Dobra wróżka? – powtórzyła za mną, sugerując iż powinnam rozwinąć tę myśl.

– Tak określam grupę znajomych – wyjaśniłam szybko. – Postanowili podarować mi niezwykley prezent na moje trzydzieste urodziny.

– Cóż to takiego było?

– Bilet do Singapuru.

Australijka otworzyła oczy ze zdziwienia, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie powiedziałam.

– Ale jak to?

– Zamiast kupować mi drobne upominki, zdecydowali się na nabycie jednego biletu i wysłanie mnie na dwa tygodnie do Azji.

– Niesamowite! Też bym chciała mieć takich przyjaciół!

– Faktycznie, są jedyni w swoim rodzaju – przyznałam. – Obiecałam im przywieźć milion pięknych zdjęć. Kto wie, może uda mi się nawet zorganizować małą wystawę w jakimś domu kultury czy niezależnej galerii...

– Jesteś fotografikiem, powinnaś wreszcie zająć się swoim wyuczonym zawodem – zgodziła się ze mną.

– Masz rację – weszłam jej w słowo – jednak teraz nadszedł chyba czas, byś zaczęła szykować się do randki...

– Faktycznie – mruknęła, podrywając się z fotela. Zamarła jednak na moment, uświadamiając sobie, iż sprytnie ją podeszłam, zmuszając niejako do wyjawienia natury spotkania, na które zamierzała się udać. – Masz mnie!

Pogroziła mi na odchodne palcem, zamykając się pośpiesznie w pokoju. Ja tymczasem rozsiadłam się wygodniej w fotelu i, przeglądając wydruki na temat



samego miasta, zaczęłam planować zwiedzanie. Niestety głód przypomniał mi o istnieniu żołądka, który zaczął dopominać się o jakiś treściwy posiłek. Chwyciłam torbę z aparatem oraz kilkoma obiektami, które mogły mi się przydać podczas wieczornej przechadzki po mieście i już miałam zawiadomić moją gospodynię, iż wychodzę, gdy ta pojawiła się w drzwiach. Wyglądała jak milion dolarów! Elegancka garsonka, która do tej pory okrywała jej ciało, została zmieniona na klasyczną małą czarną, a ciasny kok zniknął, ustępując miejsca burzy pięknych loków.

– I jak? – spytała niepewnie, zerkając w moim kierunku – może być?

– Zdecydowanie! Jestem absolutnie hetero, ale i tak to powiem: Niezła z ciebie laska! – odpowiedziałam zupełnie szczerze.

– Mam nadzieję, iż on również tak pomyśli – mruknęła, przeglądając się w lustrze – ale widzę, że i ty uciekasz z domu. Weź ze sobą klucz, bo nie wiem, kiedy wrócę. Leży na komodzie – dodała, niemal czytając mi w myślach.

– Dzięki! Ja znikam, a ty baw się dobrze! – stwierdziłam, wychodząc na korytarz.

– Będę! Do zobaczenia jutro przy śniadaniu! – usłyszałam.

Ann-Marie zachowywała się tak, jakbyśmy znały się

od dzieciństwa. Czytałam kiedyś, że Australijczycy są bardzo otwarci i bezpośredni, ale nie spodziewałam się, że aż tak! Uśmiechnęłam się do własnych myśli i ruszyłam schodami w dół.

## Rozdział II

### Stłuczka

„Oto jestem!” – pomyślałam po raz kolejny tego dnia, zerkając na doskonale oświetloną ulicę, którą pędziły nieliczne samochody. Zaskoczyło mnie to, bowiem pierwszym skojarzeniem wiążącym się z dużym miastem jest tłok i notoryczne korki, dezorganizujące sprawne poruszanie się po ścisłym centrum. Dopiero po chwili przypomniałam sobie, iż podatki związane z posiadaniem samochodu w tym maleńkim państewku azjatyckim są zawrotnie wysokie i dlatego nie każdy może sobie pozwolić na własny środek transportu. Zresztą nie był on nawet potrzebny, bowiem zadbano nie tylko o rozwój komunikacji autobusowej, ale także rozbudowano sieć kolejki miejskiej i metra.

Żołądek coraz bardziej natarczywie zaczął domagać się jakiegoś posiłku, dlatego też rozejrzałam się, zastanawiając się przy tym, w którą stronę powinnam się udać. Zabudowa kolonialna wyglądała zachęcająco, ale zdecydowałam, iż pierwszy wieczór w mieście swoich marzeń chciałabym spędzić wśród postmodernistycznej architektury, reprezentowanej przez wspaniale

oświetlone nocą wieżowce. Ruszyłam przed siebie, mając nadzieję trafić na jakąś niedrogą restauracyjkę nieopodal hotelu, o którym w drodze z metra wspominała Ann-Marie.

Odnalazłam go bez najmniejszego trudu. Wyrastając z betonowej dżungli na poziomie ulicy, pysznił się wspaniałą roślinnością porastającą poszczególne kondygnacje, wzniesione z dbałością nie tylko o miejsce na krzewy, ale też rozłożyste drzewa. Ta niezwykła symbioza tego, co nowoczesne z tym, co naturalne, stała się pierwszą ofiarą mojego aparatu. Chociaż nie miałam pojęcia ani kto, ani kiedy zaprojektował to чудо, byłam pewna, że wzbudzi ono zainteresowanie nie tylko moich znajomych, ale również potencjalnych organizatorów wystawy, o której marzyłam od dawna. Mogła się ona stać krokiem na drodze do wyśniewanej kariery.

Zapomniałam o kolacji i całym bożym świecie, zmieniając zarówno obiektywy, jak i kąty ekspozycji detali architektonicznych wznoszącego się przede mną budynku. Jednocześnie obserwowałam pięknych i bogatych, a prawdopodobnie również sławnych, którzy w tym czasie wchodzili i wychodzili z tej oazy luksusu niedostępnego dla przeciętnej, byłej już, pracownicy korporacyjnego piekiełka.

Wbrew pozorom nie czułam zazdrości. Może tylko żal, że tak wiele rzeczy było dla mnie niedostępnych wyłącznie z powodu braku funduszy. Niestety nie

miałam na to wpływu, dlatego też postanowiłam wykorzystać do maksimum dwa tygodnie podarowane mi przez moje przyszywane, niemal bajkowe, dobre wróżki.

Po wypełnieniu karty zdjęciami, zdecydowałam się ruszyć dalej, spragniona już nie tyle jedzenia, co dalszych wrażeń, jakie mogło mi zaoferować miasto nocą. Zaledwie kilku przecznic dalej napotkałam kilka małych restauracyjek serwujących potrawy z Chin, Tajlandii oraz z Indii. Nie tracąc okazji, zdecydowałam się na przystępnie wyglądające danie z kurczaka. Oczekując na posiłek, usiadłam przy małym stoliku i zaczęłam obserwować ulicę.

Wieczorna pora sprzyjała nie tylko spacerom, ale i poznawaniu struktury społecznej nowego dla mnie regionu świata. Z pierwszych obserwacji wywnioskować mogłam, iż sporej części społeczeństwa żyło się całkiem dobrze, a dzięki wysokiemu poziomowi życia mogli sobie pozwolić nie tylko na markowe ubrania, ale też na wyjścia do licznych restauracji. Gdybym tylko miała przy sobie swoich przyjaciół, pewnie również zakończyłabym wieczór w jakimś małym pubie przy szklanicy piwa.

Przekraczając most na niewielkiej rzece, a może kanale, znalazłam się w ścisłym centrum. Dostrzegłam dziesiątki drapaczy chmur przeglądających się w spokojnej toni wody oraz światła laserowe umieszczone

na, znanej mi z fotografii, sylwetce hotelu Marina Sand Bay. Przystanąłam na chwilę i niczym Alicja, która pierwszy raz znalazła się w Krainie Czarów, przyglądałam się temu wszystkiemu. Choć wielokrotnie widziałam zdjęcia tego zakątka, wykonane przez najbardziej uznanych fotografików świata, to musiałam przyznać, iż były one niczym w zestawieniu z rzeczywistością znajdującą się na wyciągnięcie ręki.

Zapomniałam na chwilę o sprzęcie obciążającym moje ramię. Po prostu szłam z głową zadartą wysoko, próbując wyobrazić sobie widok z okien na najwyższych piętrach budowli. Czując spokój, jaki ogarnia ludzi w momencie spełnienia jakiegoś szczególnego marzenia, bezgłośnie złożyłam sobie pewną obietnicę.

– Kiedyś zobaczę wszystkie cuda tego świata!

Postanowiłam, że zmienię jakość swojego własnego życia. Odważę się sięgnąć gwiazd i skraść jedną z nich! Tylko dla siebie!

Uśmiechając się do własnych myśli, kontynuowałam podziwianie szklanych domów i śniłam na jawie, jakby to było mieszkać w jednym z nich. Czując, iż na ten moment przyjdzie mi jeszcze długo poczekać, jeśli w ogóle kiedykolwiek mi się to przydarzy, usłyszałam charakterystyczny ryk silnika. Dźwięk sportowych aut, jak do tej pory znany tylko z filmów o „Szybkich i wściekłych”, rozbrzmiewał gdzieś w najbliższym sąsiedztwie!

W ułamku sekundy zlokalizowałam białe Lamborghini sunące powoli w kierunku doskonale oświetlonego budynku w stylu kolonialnym. Niepomna niczego, zapatrzyłam się na to mechaniczne чудо i wyciągnęłam z kieszeni mocno sfatygowanego smartfona. Chciałam zrobić fotkę, którą zamierzałam przesłać MMS-em do jednego z kolegów.

Właśnie wtedy poczułam jak coś dużego, i zdecydowanie silnego, wpada na mnie z impetem, wprowadzając w ruch telefon trzymany przeze mnie w dłoni. Bez ostrzeżenia czarny aparat poszybował w górę, by płynnym ruchem roztrzaskać się o trotuar, wydając przy tym niezbyt przyjemny dla ucha głośny trzask.

Z moich ust prawdopodobnie wyrwał się okrzyk rozpaczony nad utraconym środkiem komunikacji, gdy usłyszałam cichy, melodyjny męski głos:

– Przepraszam panią najmocniej – rzekł nienaganną angielszczyzną – moje nieuwaga była niedopuszczalna!

„Jasne, że była!” – mruknęłam pod nosem po polsku, przyklękając przy całkowicie rozbitym sprzęcie.

– Być może wyciągnie pan z tego lekcję na przyszłość. Warto patrzeć, gdzie się idzie – stwierdziłam nieprzyjemnym tonem, nie przyznając się, iż sama zagapiłam się na białe Lamborghini parkujące nieopodal.

– Oczywiście, ma pani zupełną rację – rzekł, wyciągając rękę w kierunku roztrzaskanego na miliony kawałeczków ekranu – przepraszam, że zniszczyłem pani własność.

Nie wiedzieć czemu jego maniery, a może po prostu spokojny, ale przejęty ton sprawiły, iż spojrzałam na niego zaciekawiona, chcąc przekonać się, jak może wyglądać mężczyzna potrafiący hipnotyzować kobiety za pomocą głosu.

Natychmiast zatonęłam z jego ciemnych oczach, spowitych w dwa rzędy cudownych, długich jak firanki rzęs. Przeniosłam spojrzenie na czarujący, lekko zakłopotany uśmiech i urocze dołeczki w policzkach, które zniknęły w ułamku sekundy, gdy spostrzegł, iż mu się przyglądam. Mimo, iż spotkałam go pierwszy raz w życiu, w jego wyglądzie było coś znajomego. Nie umiałam jednak stwierdzić co!

Odwróciłam szybko wzrok i zajęłam się zbieraniem pozostałości mego ukochanego, okupionego wyrzeczeniami Samsunga Note, który usilnie starał się pozostać przy życiu, mimo czterech lat wzmożonego użytkowania.

– Naprawię wyrządzoną szkodę i pozwolę sobie kupić pani nowy telefon – zaoferował.

Przez moment wydawało mi się, że źle usłyszałam bądź opacznie zrozumiałam jego perfekcyjny angielski, odznaczający się silnym brytyjskim akcentem, tak



odmiennym od brzmienia amerykańskiego znanego wszystkim z filmów hollywoodzkich.

– Nie, nie ma potrzeby – rzekłam bez przekonania, nie wierząc, iż nieznamy faktycznie był gotów zadośćuczynić moim poniesionym stratom.

– Dyshonorem byłoby pozostawienie tej sprawy w ten sposób – przekonywał mnie w tym czasie, podając jednocześnie pomocną dłoń, bym mogła wstać z klęczek.

– Naprawdę nie musi mi pan niczego rekompensować. To tylko stary telefon, któremu należało się już przejście na emeryturę – zazartowałam, chcąc ukryć żal i zdenerwowanie.

Emocje malujące się na jego twarzy stanowiły prawdopodobnie odzwierciedlenie mieszanych uczuć względem całego tego niefortunnego wypadku. Troska, lekka nerwowość, ale też pewność siebie.

Właśnie otwierał usta, by coś dodać, gdy dotarło do mnie, dlaczego jego powierzchowność wydała mi się tak podejrzanie znajoma!

Tajemniczy mężczyzna przypominał mi pewnego aktora, którego nie potrafiłam wymienić z nazwiska. Doskonale pamiętałam jednak postać, w którą wcielił się w filmie „Romeo musi umrzeć”. Nie mogłam w to uwierzyć, ale miałam przed sobą jego całkiem udaną kopię!

– Jest pani wielce wyrozumiała, nie mniej jednak muszę zrehabilitować się za to uchybienie – zaczął niepewnie, nie wiedząc, co począć w tak patowej sytuacji.

Spojrzałam w jego ciemne oczy, które były lekko przymrużone, być może przez słabe światło albo też z powodu typu urody, który sobą reprezentował.

„Zawsze możesz mnie zaprosić na kawę, przystojniaku” – pomyślałam, nie wając się wypowiedzieć tych słów na głos. Dobra wróżka dobrą wróżką, sen na jawie swoją drogą, ale spotkania z księciem z bajki nie wymagałam od tego samospełniającego się marzenia.

– Skoro jest pani pewna, iż nie chciałaby pani otrzymać nowego telefonu, to czy zechce pani poświęcić kilkadziesiąt minut swego czasu na kawę w moim towarzystwie?

Zamurowało mnie, muszę to przyznać! Nieznajomy wypowiedział na głos moje myśli, ujmując je w tak szarmanckie słowa, iż dosłownie odebrało mi dech w piersiach.

Spojrzałam na niego, nie wiedząc co odpowiedzieć i właśnie wtedy zorientowałam się, jak elegancko był ubrany. Prosty, ale stylowy czarny garnitur świetnie harmonizował z jego gładko ogoloną twarzą i lekko złotą karnacją.

„Za wysokie progi na moje nogi” – pomyślałam, mając świadomość własnego stroju. Spodnie bojówki, bardziej odpowiednie na wyprawę po dżungli amazońskiej, niż do biznesowego centrum azjatyckiego tygrysa. Ciemny, pasujący do nich podkoszulek również nie kwalifikował się do kanonów elegancji. Nie wspominając już o wygodnych, ale zupełnie nie wieczorowych sportowych japonkach.

– Z wielką chęcią, ale nie jestem odpowiednio ubrana. Wybrałam się na małą sesję w celu uwiecznienia Singapuru nocą – rzekłam, wskazując na futerał kryjący sprzęt fotograficzny – a nie na kawę w tak doborowym towarzystwie.

Nieznajomy spojrzął na mnie ze zrozumieniem, ale też zainteresowaniem.

– Jest pani fotografikiem?

Skłamać czy powiedzieć prawdę? Ta gorączkowa myśl zaczęła krążyć po mojej głowie z prędkością światła. Zdawałam sobie sprawę, iż od odpowiedzi mogło zależeć „być albo nie być” miłego wieczoru w towarzystwie przystojniaczka w gajerku.

– Tak – zdecydowałam się w końcu na półprawdę, zawierającą w sobie myślenie życzeniowe. Może nie pracuję w tym zawodzie, ale z całą pewnością mam wszelkie oficjalne pozwolenia na jego wykonywanie oraz opanowany warsztat – lecz jestem tu całkowicie prywatnie – dodałam szybko.

– Nie wypuszczę pani. Muszę jakoś wynagrodzić stratę telefonu i chociaż spróbować zatrzeć niekorzystne wrażenie, jakie z pewnością wywarłem swoim nieopatrzonym zachowaniem.

„Ja pierniczę” – jak mawiali swego czasu w pewnej reklamie paneli podłogowych – „gdybym nie stała wśród ogromnych, szklanych drapaczy chmur rozświetlających mroki wieczoru tysiącem kolorowych świateł, to głowę bym dała, że cofnęłam się przynajmniej do dziewiętnastego wieku. Skąd ten facet bierze te wszystkie wyszukane frazesy, którymi sypie jak z rękawa?”

– Jeszcze raz zapewniam pana, iż nic się nie stało! Naprawdę nie ma potrzeby, by...

– A jeśli powiem, że po prostu mam ochotę spędzić chociażby fragment wieczoru z tak wyrozumiałą i czarującą istotą, jak pani? – spytał, przerywając mi w połowie zdania.

„Wtedy stwierdzę, że chociaż to mój telefon na pierwszy rzut oka ucierpiał w tym zderzeniu, to po wnikliwej analizie dochodzę do wniosku, iż to twoja głowa przestała funkcjonować w prawidłowy sposób” – pomyślałam na wpół ze złością, na wpół żartując.

– Oj, chyba nie jestem osobą, która może uwierzyć w takie słodkie słówka – odpowiedziałam po chwili wahania, próbując zamaskować wątpliwości kryjące się w każdym wypowiedzianym dźwięku.

– Zawsze mogę postarać się bardziej... – zażartował.

Poddaję się! Dlaczego nie miałabym spędzić kilku chwil z zabójczym przystojniakiem? Przecież jestem na tyle zrównoważoną osobą, by nie ulec niezdrowym marzeniom o związku z tym niewątpliwie czarującym i bogatym mężczyzną.

– Cóż, nie wypada mi odmówić, skoro tak długo i uprzejmie prosi pan o tę kawę – odpowiedziałam w końcu, siląc się na ton podobny do jego stylu wysławiania się.

– I takiej odpowiedzi oczekiwałem od samego początku – rzekł, uśmiechając się lekko – po co była cała ta zbędna dyskusja?

„Po to, byś wiedział, że nie tak prosto wyciągnąć porządną dziewczynę na kawę!” – mruknęłam w duchu, poprawiając torbę, która zaczęła ciążyć mi na ramieniu.

– Nieopodal znajduje się całkiem sympatyczna kawiarenka, ale zanim się tam udamy, pozwoli pani, iż się przedstawię – stwierdził, prostując się niczym żołnierz podczas odprawy – Lee Collins.

– Miło mi – rzekłam, podając mu dłoń – nazywam się Adrianna Drzyńska.

Spostrzegłam, iż mężczyzna za wszelką cenę próbuje powtórzyć w myślach moje nazwisko, jednak jego starania niestety z góry zostały skazane na klęskę.

– Musze przyznać, iż ciężko jest je wymówić –

przyznał szybko.

– Rzeczywiście, może sprawiać nieznaczne trudności cudzoziemcom nie nawykłym do wymawiania tak specyficznych dźwięków – przyznałam na pocieszenie.

– Zatem skąd pochodzi fotografik, z którym dziś zetknęło mnie przeznaczenie?

Oczywiście, to pytanie musiało paść!

– Przybywam z Polski.

Punkt dla mnie! Tego kraju chyba się nie spodziewał!

– Hmmmm nowy rynek, nowe możliwości – zaśmiał się jak rasowy biznesmen.

## Rozdział III

### Kawa?

Kawiarenka, w której zajęliśmy jeden ze stolików, oczarowała mnie widokiem na kanał przecinający centrum miasta. Przy odrobinie dobrych chęci można ją było uznać za całkiem romantyczną, bowiem światła odbijające się w wodnej toni stanowiły doskonałe uzupełnienie świec płonących w niewielkich kandelabrach, które rozstawione były w całym pomieszczeniu.

– Co zatem sprowadza panią do naszego niewielkiego, nieco prowincjonalnego miasteczka? – spytał, mrugając na znak, iż żartuje.

– Chęć odpoczynku od wielkiego miasta – odcięłam się natychmiast.

– A jednak zabrała pani ze sobą cały niezbędny sprzęt – stwierdził, zerkając na futerał spoczywający na wolnym krześle przy stoliku.

– Nigdy nie wiadomo, kiedy trafi się niepowtarzalne ujęcie, przynoszące nie tylko ogromną sławę i pieniądze, ale przede wszystkim uznanie

profesjonalistów – odpowiedziałam nieco filozoficznie, mając nadzieję, że przychylne mi ostatnimi czasy niebiosa spełnią i tę z moich próśb – zresztą drobnomieszczańskie klimaty są w cenie!

– Touche! Bardzo dobrze powiedziane – zgodził się, wykonując nieznaczny pokłon w moją stronę – mogę tylko wnioskować, iż jest pani pracoholikiem, nieustannie myślącym o swojej pracy i najlepszych rozwiązaniach związanych z fotografią w każdym jej aspekcie.

Miałam ochotę się rozeźmiać, bowiem jego domysły nie mogły być dalsze od prawdy. Oczywiście fotografia zawsze zajmowała ważne miejsce w moim życiu, ale jeszcze nigdy, poza krótkim epizodem podczas studiów, nie udało mi się na niej zarobić!

– Nie tak dużo, jak bym sobie tego życzyła – przyznałam nieco enigmatycznie po chwili zwłoki.

– Nie samą pracą człowiek żyje...

– Faktycznie, ale dość o mnie. Może czas na ujawnienie tajemnicy, czym pan się zajmuje...

– W wolnym czasie, gdy nie rozbijam na ulicy telefonów tajemniczych nieznajomych, prowadzę niewielką agencję reklamową, pomagającą zaistnieć firmom na międzynarodowych wodach.

– Czyli biorąc poprawkę na pańską, prawdopodobnie wrodzoną, skromność, większość rynku należy do pana,



przez co może pan dyktować wszystkim swoje warunki – odparłam szybko, chcąc pokazać mu, iż zdążyłam go przejrzeć.

Zaśmiał się lekko, a ja odniosłam wrażenie, że faktycznie dobrze się bawi w moim towarzystwie. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, iż potrafię i mogę być zabawnym rozmówcą, jednak wiedziałam również, iż brakuje mi obycia z ludźmi z tak zwanej wyższej sfery. Być może barierę, którą trudno mi było przekroczyć, stanowiły kompleksy i wewnętrzne przekonanie, iż nie należę do tego samego kręgu ekonomicznego.

– Nie dość, że piękna i utalentowana, to dodatkowo jeszcze błyskotliwa – stwierdził z uznaniem, unosząc przy tym swoją filiżankę z kawą, przyniesioną przed chwilą przez kelnerkę – trudno dziś o tak wyjątkową osobę.

– Pochlebia mi pan zbyt – ucięłam szybko, nie chcąc zasłuchać się w jego grzecznościowe pochwały.

– A przy tym wszystkim jeszcze skromna! – podsumował, uparcie trzymając się niewygodnego dla mnie tematu – pozwoli pani, iż wykonam jeden szybki telefon.

– Oczywiście, rozumiem, iż ma pan zobowiązania, które zostały odwleczone w czasie ze względu na naszą małą słuczkę.

Uśmiechnął się po raz kolejny i muszę przyznać, że było mi miło, iż stało się to za moją sprawą. Czułam, że ten wieczór na długo pozostanie w mojej pamięci. W końcu nie codziennie zdarzało mi się pić kawę w Singapurze z czarującym mężczyzną.

Kiedy zagłębiłam się w marzeniach, melodyjny głos mego towarzysza szeptał w tym czasie niezrozumiałe dla mnie słowa. Chociaż w moim odczuciu była to zupełna chińszczyzna, to muszę przyznać, że brzmiała ona całkiem seksownie.

– Zatem ile dni z pani pobytu tutaj straciłem bezpowrotnie? – spytał niespodziewanie, odkładając swój aparat na stolik.

– Gdybym nie wiedziała, że to nie jest możliwe, to po tym pytaniu uznałabym pana za zawodowego podrywacza – ostrzegłam z udawaną powagą w głosie – ale muszę przyznać, iż ma pan niebywałe wprost szczęście, bowiem dopiero dziś po południu przybyłam do Singapuru.

– Plus dla mnie! Drugie pytanie: Jak długo pani zostanie?

– Prawdopodobnie przez tydzień, chociaż może się zdarzyć, że wcześniej ucieknę gdzieś w nieznane. Kusi mnie pobliskie Bali – rzekłam szczerze, próbując zachować pewną dozę tajemniczości.

– Przereklamowane! – odradził natychmiast – mimo,

że jesteśmy małym państwem, mamy niezwykle dużo do zaoferowania. Można tu spędzić nawet miesiąc i nie znaleźć chwili na nudę.

– Tak dużo czasu nie mam. Za dwa tygodnie muszę wracać do Polski...

– No tak, kobieta sukcesu, na którą już czeka kolejne poważne zlecenie...

– Niekoniecznie, ale z pewnością rodzina, przyjaciele i nowe możliwości, które dopiero co otwierają się przede mną.

No co? Przecież nie skłamałam! Nie miałam obowiązku tłumaczyć nieznanemu mężczyźnie, iż jestem bezrobotną bez większych perspektyw na zatrudnienie!

– Z każdą chwilą zaskakuje mnie pani coraz bardziej. Muszę przyznać, iż absolutnie nie czuję się winny zniszczenia telefonu, bo właśnie dzięki temu miałem okazję panią poznać.

Zachichotałam nerwowo, nie bardzo wiedząc, jak odpowiedzieć na tak jawną prowokację.

– Mam nadzieję, iż podobny sposób zawierania znajomości nie jest powszechnie praktykowany w tym mieście. W kolejce do zniszczenia mam bowiem jedynie swój sprzęt fotograficzny...

– Proszę mi wierzyć, jestem w tym względzie zupełnie wyjątkowy!

– Nie wątpię, panie Collins, nie wątpię – rzekłam, pochylając się nad filiżanką kawy.

Cisza, która nagle zapanowała przy naszym stoliku stała się dojmująca, ale też w dziwny sposób komfortowa. Milczenie z tym ekscentrycznym człowiekiem było równie miłe, co niecodzienna rozmowa.

– Czy interesuje się pani sztuka? – zmienił nagle temat.

– Oczywiście! Myślę, że każdy człowiek posiadający chociażby elementarne wykształcenie, powinien posiadać wyrobione zdanie na temat poszczególnych epok i artystów. Niestety moja wiedza ogranicza się głównie do kontynentu europejskiego, na którym przyszło mi mieszkać.

– To żaden powód do wstydu. Da Vinci, Matisse czy Picasso wywodzili się właśnie stamtąd. W przeszłości Azji trudno znaleźć artystów, których imiona zachowały się do dziś. Nie mniej jednak nasze dziedzictwo jest równie zachwycające, co europejskie, chociaż przyjęło zupełnie odmienną formę. Gdyby nie późna pora, chętnie pokazałbym pani pobliskie Muzeum Cywilizacji Azjatyckich.

– Dziękuję za podpowiedź, z pewnością odwiedzę je któregoś dnia przed wyjazdem.

– Cieszę się, iż mogłem coś doradzić. Nie mam zbyt

wiele wolnego czasu, ale zawsze staram się być na bieżąco z aktualnymi wystawami, wydarzeniami kulturalnymi i imprezami artystycznymi.

Dłuższą chwilę, a może i kilkanaście, dyskutowaliśmy o sztuce we wszystkich jej przejawach, wymieniając się opiniami i nazwiskami młodych twórców, którzy dopiero zyskali szansę na zaistnienie w świadomości szerszego kręgu odbiorców. Zaskoczyła mnie jego dogłębna znajomość tematu, która, w moim przekonaniu, była efektem wzmożonej aktywności na polu artystycznym.

– A właśnie – szepnął w pewnej chwili – przypomniałem sobie pewien szczegół związany z pani krajem. Dzwon pochodzący z pewnego polskiego zagłowca, nazwy niestety nie pamiętam, został jakiś czas temu umieszczony w jednym z tutejszych parków.

Zrobiło mi się naprawdę głupio, nie miałam bowiem pojęcia, o jakim statku może być mowa. W żadnym z czytanych przeze mnie dzienników nie znalazłam wzmianki o podobnym zdarzeniu.

– O, to ciekawostka godna wyjaśnienia. Poszukam informacji z Internecie i mam nadzieję, iż uda mi się odnaleźć tę niewielką pamiątkę.

Zerknął na swoją filizankę i niedopitą, mocno już przestudzoną kawę. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę z nieuchronnie kończącego się spotkania.

– Ma pani ochotę na coś jeszcze? – zapytał, prawdopodobnie bardziej ze względu na maniery, niż przez chęć przedłużenia naszego małego, nieplanowanego tête-à-tête.

– Nie, dziękuję. Myślę, że wystarczająco dużo czasu skradłam z pana grafika, zresztą Singapur nocą czeka, aż w końcu uwiecznię go na zdjęciach.

Zaśmiał się delikatnie, co sprawiło, iż jego oczy znowu stały się małe, jakby celowo je zmrużył.

– No tak, nie da się długo utrzymać w miejscu pracoholiczki ogarniętej szałem twórczym.

– Ani pracoholika, który nawet w godzinach wieczornych gna gdzieś przed siebie w garniturze – odgryzłam się natychmiast, nie chcąc pozostać dłużną w tej niewinnej licytacji przyjaznych złośliwostek.

– Touche! Złapała mnie pani na gorącym uczynku! Ale na swoje usprawiedliwienie mam fakt, iż śpieszyłem się do domu z ostatniego służbowego spotkania i po prostu nie mogłem przeoczyć szansy na wieczór z tajemniczą fotograficzką z odległej Europy.

Nie mogłam nie wybuchnąć śmiechem, wywołanym przez jego pochlebne, na wpół flirciarskie stwierdzenie, które miło połechtало moje ego.

– Jest pan po prostu niemożliwy! – zbeształam go lekko, po chwili delaktowania się jego słowami.

– Staram się, jak mogę – przyznał, dając kelnerce

znak, iż chciałby otrzymać rachunek za swoje zamówienie.

Kiedy usłużna dziewczyna podała wydruk z kasy, ukryty w ozdobnym pudełeczku, zarówno ja, jak i on w tym samym momencie sięgnęliśmy po nie.

– Raczycie pani sobie żartować – upomniał mnie szybko – to ja zapraszałem na kawę i nie pozwolę, by to pani regulowała rachunek.

– Ależ...

– Nie ma żadnego „ależ” – rzekł, chowając do puzderka zwitek banknotów – teraz oferuję pani niepowtarzalną okazję na krótki spacer po Boat Quay. Oczywiście w moim towarzystwie!

Jego słowa kompletnie mnie rozbroiły.

– Nawet nie wiem, gdzie znajduje się to miejsce – przyznałam szczerze, ciesząc się, iż wieczór jeszcze nie dobiegł końca.

– Zaraz się pani przekona. Niestety w okolicach Hotelu Fullerton będę zmuszony już się pożegnać. Wcześniej rano muszę biec do pracy...

– Powiedział szef! – dodałam, zabierając torbę ze sprzętem.

Ciężki futerał nagle poszybował w powietrzu i spoczął na ramieniu niezwykłego mężczyzny, który z pewnością na zawsze kojarzyć mi się będzie z magicznym wieczorem w Singapurze.

– Poniosę ją chwilę – stwierdził niespodziewanie – odnoszę wrażenie, że jest dla pani zbyt uciążliwa.

– Kwestia przyzwyczajenia, zresztą to słodki ciężar. Składają się na niego jedynie najdroższe mi rzeczy.

Uśmiechnął się, puszczając mnie przodem i mrużąc coś pod nosem w niezrozumiałym dla mnie języku.

Krótką chwilę zajęło mi przyzwyczajenie się do wątego światła tropikalnej nocy. Gdy wreszcie udało mi się zacząć rozróżniać poszczególne elementy otoczenia, straciłam dech na widok otaczającego nas piękna. Lśniące wszystkimi kolorami tęczy drapacze chmur, przeglądając się w tafli rzeki, pięły się do góry, zasłaniając niebo i gwiazdy rozrzucone na jego powierzchni.

Z zamyślenia wyrwał mnie cichy głos towarzyszącego mi mężczyzny. W kilku zdaniach, starając się streścić historię Singapuru, opowiedział mi o niezwykłym miejscu, w którym się znalazłam.

– Pełną autonomię zyskaliśmy dopiero w 1959 roku, ostatecznie ucinając wszelkie powiązania z Koroną Brytyjską. Rozwijając port przeladunkowy oraz budując zaplecze bankowe, staraliśmy się przyciągnąć jak największą liczbę przedsiębiorstw pragnących zaistnieć na nowopowstającym rynku. Aktualnie cieszymy się jednym z najwyższych poziomów życia w Azji, pozostając niedaleko w tyle za Japonią i Brunei – zakończył, spacerując nieśpiesznie.



Chciałam zadać pytanie dotyczące roli ekonomicznej jego ojczyzny, gdy niespodziewanie podszedł do nas niski mężczyzna w garniturze i, kłaniając się nisko, przywitał się niezwykle oficjalnie z panem Collinsem. Następnie, pochylając się lekko, wykonał pokłon w moim kierunku. Szepcząc słowa brzmiące zupełnie jak nieskładne przeprosiny, wręczył mojemu towarzyszowi niewielkich rozmiarów pakunek, przewiązany fioletową wstążeczką i udekorowany w niezwykle fantastyczny sposób.

Jeszcze raz pokłonił się w naszą stronę, po czym szybkim krokiem ruszył w stronę samochodu zaparkowanego w pobliżu. W moim odczuciu jego zachowanie było co najmniej niezwykle. Nie odważyłam się jednak go skomentować, mając świadomość, iż normy społeczne na drugim krańcu świata mogły w znaczny sposób odbiegać od tych powszechnie stosowanych w Europie.

– Przepraszam – rzekł w tym samym momencie pan Collins – sprawy zawodowe potrafią dopaść człowieka w najbardziej nieoczekiwanym momencie i miejscu. Wracając do naszej rozmowy, odniosłem wrażenie, iż miała pani ochotę o coś zapytać, zanim nam przerwano...

Nie mogąc dobyć z siebie słowa z powodu tak trafnego ujęcia moich własnych myśli oraz spostrzegawczości towarzyszącego mi samozwańczego przewodnika, spróbowałam sformułować logicznie

brzmiące pytanie.

– Czy to prawda, iż ważną część gospodarki stanowi sektor finansowy?

No co? Przecież nie mogłam wyjść na bezmyślną idiotkę! Biznesmen zaś powinien być w stanie bez końca dyskutować o ekonomii, chociażby dotyczyła ona jedynie zasobów jego kraju.

– Zdecydowanie tak, ale znaczny procent wpływów do budżetu stanowią również sumy uzyskane z turystyki oraz przemysłu, na przykład petrochemicznego i stocznioowego. Nie mniej jednak nie należy zapomnieć, iż w Singapurze swoje siedziby ma przeszło 170 banków oraz prawie 80 towarzystw ubezpieczeniowych.

Bingo! Wiedziałam, że ten temat sprawnie pokieruje rozmową!

Kontynuując dyskusję o źródłach dochodu narodowego oraz Produkcie Krajowym Brutto przypadającym na jednego mieszkańca, dotarliśmy w pobliże miejsca, przy którym zderzyliśmy się ze sobą kilkadziesiąt minut wcześniej. Kątem oka zerknęłam jeszcze raz na pięknie oświetlony budynek, w myślach szepcząc słowa podziękowania skierowane do mego anioła stróża. Gdyby nie niefortunny przypadek, prawdopodobnie spacerowałabym bez celu po nieznanym mi mieście.

– Niestety, dotarliśmy do Hotelu Fullerton, a tu z

przykrością muszę już panią pożegnać – rzekł niespodziewanie.

– Miło mi, iż poświęcił pan nieznajomej odrobinę swego cennego czasu i wspomniał o tylu fascynujących rzeczach, które powinnam wiedzieć na temat tego kraju – odpowiedziałam z wdzięcznością.

Jakaś cząstka mnie szeptała z uporem maniaka: „Zaproponuj kolejne spotkanie”, jednak szybko zepchnęłam ją na obrzeża podświadomości. Zdawałam sobie sprawę, iż tajemniczy przystojniak spędził ze mną ostatnie kilkadziesiąt minut jedynie z poczucia winy wywołanego niezdarnością.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł szarmancko, jednocześnie podając mi torbę ze sprzętem fotograficznym, która do tej pory spoczywała na jego ramieniu – jeszcze raz przepraszam za rozbity telefon – dodał szybko.

– Naprawdę nic się nie stało – rzekłam, przypominając sobie o zajściu, które niestety będzie mnie po powrocie do Polski kosztowało zakup nowego smartfona.

Jego twarz, po raz nie wiem który, rozświetliła się czarującym uśmiechem, będącym zapewne rezultatem moich pośpiesznych, nieco nieszczerych zapewnień. Przybliżył się do mnie nieznacznie i wepchnął w dłonie paczuszkę dostarczoną chwilę temu przez niskiego mężczyznę w garniturze.

– To dla pani. Na pamiątkę naszego niecodziennego spotkania – wyjaśnił szybko i nim zdążyłam zaoponować, dodał – miłego pobytu w Singapurze! Proszę uważać na niezdarnych przechodniów!

Zanim jego ostatnie słowa zdążyły przebrzmieć w ciszy wieczoru, zniknął w drzwiach majestatyczniejszego hotelu. Zostałam sama, ściskając w ręku podarunek ozdobiony fioletową tasiemką. Spojrzałam przed siebie, nie mogąc zdecydować dokąd powinnam się udać.

Odpowiedź przyszła wprost z nieba! To właśnie na nim dostrzegłam, po raz kolejny tego wieczora, światła laserowe zdobiące słynny hotel Marina Bay Sands. Narzucając na ramię torbę z aparatem i resztą sprzętu, ruszyłam więc przed siebie.

Tuż za rogiem trafiłam na szeroką drogę, po której co chwila śmigwały rozpędzone luksusowe samochody i prawdopodobnie nie udałooby mi się jej przekroczyć, gdyby nie przejście, które ktoś roztropnie zaprojektował tuż przy hotelu.

Podążając za innymi ludźmi, zesłam w dół i trafiłam na plac wypełniony turystami z całego świata. Stłoczeni wokół pomnika-fontanny będącego wizerunkiem niezwykłego stworzenia, posiadającego głowę lwa i ciało ryby, spoglądali w stronę zatoki i trzech wież połączonych ze sobą wielkim tarasem. Widowisko światła oraz muzyki ożywiło ściany budynków i

wprawiło w ruch wody fontann ukrytych na płyciźnie. Kolejne akordy nastrojowej melodii, urzekając swym dźwiękiem, opowiadały historię uniwersalną, zrodzoną w umyśle każdego z obserwatorów. Przysiadłam na jednym ze stopni prowadzących wprost do morza i, zafascynowana niczym małe dziecko, zaczęłam podziwiać to niezwykle przedstawienie.

Kompozycja dawno już przebrzmiała, a i tłum nieco się przerzedził, jednak ja nawet tego nie zauważyłam. Pograżona we własnych myślach, uśmiechałam się do swego losu, myśląc o szczęściu, jakie mnie spotkało. Byłam Kopciuszkiem dwudziestego pierwszego wieku, który zamiast gonić za niedoścignionym księciem z bajki, ściga się z pragnieniami i wyzwaniem mogącymi zmienić całe życie.

Otworzyłam oczy i, wracając do rzeczywistości, przypomniałam sobie o tajemniczym pakunku od niezwykle pana Collinsa. Nie tracąc ani chwili, wyciągnęłam go z torby i pochwyciłam w swoje palce. Pierwotnie planowałam jak najszybsze usunięcie eleganckiego opakowania i tasiemki, jednak ostatecznie nakazałam sobie spokój i cierpliwość, za sprawą których dłużej mogłam cieszyć się tą małą niespodzianką.

Odłożyłam dekorację na bok i zaczęłam rozchyłać papier prezentowy. Przez pierwszych kilka sekund mój mózg odmówił współpracy, a ja bezmyślnie zerkałam

na niewielkie pudełko, które znalazłam w środku. Będąc w szoku, raz po raz czytałam nazwę przedmiotu spoczywającego w moich dłoniach.

Otrzymałam od pana Collinsa taki sam smartfon, jaki rozbił się kilkadziesiąt metrów stąd! Między nimi była jednak znaczna różnica. O ile mój stary telefon był modelem sprzed niemal czterech lat, o tyle teraz trzymałam w rękach najnowszy model, o którym nawet nie śmiałam marzyć!

Boże! W moich dłoniach spoczywało ponad dwa tysiące złotych, które otrzymałam od zupełnie nieznanego mi mężczyzny! Najgorsze, że nie mogłam nawet tego podarunku zwrócić lub chociażby za niego podziękować!

„Jestem jak te pseudomodelki wyjeżdżające do Dubaju!” – pomyślałam natychmiast, chociaż nigdzie w pobliżu nie mogłam dostrzec podejrzanych sponsorów dybiących na to czy owo.

Złożyłam głowę w dłoniach i, cały czas wbijając wzrok w nieodpakowane firmowe pudełko, zaczęłam zastanawiać się, co zrobić. Czy w Singapurze jest coś takiego jak książka telefoniczna? A jeśli tak, to ilu Lee Collinsów może się w niej znajdować? Czy w ogóle uda mi się dotrzeć do niego? Tysiące myśli krążących po głowie sprawiły, iż świat zawirował, tworząc otaczającą mnie karuzelę światła. Spojrzałam na zegarek i dostrzegłam, iż wybiła północ.

– Koniec balu Kopciuszku – wyszeptałam, podrywając się ze schodów i zerkając tęsknie w stronę Marina Bay Sands.

Nie wiedząc, co ze sobą począć, zdecydowałam się na powrót do mieszkania Ann-Marie. A o odnalezieniu sprawcy mojego dylematu natury moralnej powinnam pomyśleć następnego dnia, po porannej dawce kawy i to podwójnej!

## Rozdział IV

### Nocne pogaduchy

Otworzyłam drzwi wejściowe najciszej jak tylko mogłam, nie chcąc zakłócać spokoju mojej gospodyni, która prawdopodobnie już dawno zasnęła po swojej randce z kolegą mającym potencjał, by stać się kimś więcej.

Właśnie chciałam przekroczyć próg swojego tymczasowego pokoju, gdy światła w holu rozbłysły pełnym blaskiem. Po chwili ujrzałam promieniującą szczęściem twarz poznanej kilka godzin wcześniej Australijki.

– Masz ochotę na kakao? – spytała, zupełnie nie przejmując się późną porą.

Doszłam do wniosku, że chyba już nic nie wprawi mnie w zdziwienie, więc tylko przytaknęłam, idąc za nią w stronę niewielkiego aneksu kuchennego, lśniącego polerowanymi meblami w kolorze soczystej czerwieni.

– Siadaj i opowiadaj – zachęciła mnie gestem dłoni.

Nie wiedząc od czego zacząć, przycupnęłam na skraju krzesła i, wzruszając ramionami, odbiłam piłeczkę na



drugą stronę słownego boiska.

– To nie ja byłam na randce stulecia.

Nalewając mleko do rondelka, zastygła na moment, wspominając minione godziny.

– Było miło – stwierdziła przygnębionym tonem, stojącym w opozycji do wypowiedzianych przez nią słów.

– Miło? Nie zabrzmiało to zbyt dobrze... Miły to może być pies sąsiadów! – zripostowałam, zastanawiając się co spowodowało takie ambiwalentne uczucia względem wieczornego spotkania.

Prychnęła ze śmiechu, dając tym samym upust swym uczuciom.

– Bystra jesteś – skwitowała szybko – no dobrze, było wspaniale! Chyba zbyt wspaniale, by można było uwierzyć, że to wszystko jest prawdą!

– Nie wierzysz w bajki? – spytałam, doskonale rozumiejąc, co ma na myśli.

– Niezbyt – mruknęła niechętnie, odstawiając do lodówki karton z mlekiem.

– Dlaczego?

– Bo nie jestem materiałem na Sierotkę Marysię, ani tym bardziej Roszpunkę – odparowała natychmiast, przyjmując pozycję obronną.

Tym razem to ja prychnęłam ze śmiechu, wyobrażając ją sobie z patelnią w dłoni, szarżującą

przeciwko domniemanemu wielbicielowi.

– Co cię tak rozbawiło? – spytała podejrzliwie.

– Patelnia – wyszeptalam, dalej śmiejąc się w najlepsze.

– Słucham?

– Może nie masz złotych włosów jak wspomniana księżniczka z wieży, ale sądzę, iż całkiem nieźle poradziłabyś sobie z patelnią – wyjaśniłam przepraszająco.

– Jesteś nieźle rąbnięta – rzekła z uznaniem, dołączając do spontanicznego wybuchu radości.

Siedząc przy gorącym kakao, opowiedziała mi szczegóły wieczornego spotkania i wpatrując się we mnie, niczym w wyrocznię, oczekiwała na moją opinię w tej sprawie.

– Wiesz, trudno mi jest coś powiedzieć – rzekłam dyplomatycznie – nie znam cię zbyt dobrze, nie mówiąc już o Alanie. Jednak jak sama zauważyłaś, bar w One Raffles Place jest jednym z lepszych w mieście. Chyba nie zaprosiłby cię tam, gdyby nie miał na myśli czegoś poważnego.

– Też tak sądzę, chociaż z drugiej strony...

– Z drugiej strony po prostu poczekaj na rozwój wypadków – poradziłam, wchodząc jej w słowo – skoro i tak znacie się już ponad dwa lata, to miesiąc czy nawet dwa nie powinny dla żadnego z was czynić znacznej

różnicy!

– Co racja, to racja – przyznała zgodnie – ale wiesz, odnoszę wrażenie, że ty też nie spędziłaś tego wieczoru samotnie! – zagadnęła, zmieniając temat.

Chciałam coś powiedzieć, ale najzwyczajniej w świecie nie potrafiłam wymyślić jakiegoś gładkiego kłamstewka, którym mogłam wykpić się od udzielenia jednoznacznej odpowiedzi. Zresztą Ann-Marie zaufała mi, zdradzając swoje sercowe rozterki, więc może i ja powinnam odwdziżyć się jej tym samym?

– Milczenie też bywa odpowiedzią – ponagliła mnie – opowiadaj!

– To historia trudna do ogarnięcia. Zresztą nie ma też szans na kontynuację – dopowiedziałam szybko, by nie wyobrażała sobie zbyt wiele – czasami ścieżki dwojga ludzi przecinają się tylko jeden raz.

– Raz czy sto! To nie jest ważne – skomentowała niecierpliwie – Kto to? Gdzie się spotkaliście? Co robiliście? Oczywiście jeśli nie jest to opowieść z cyklu tych po północy... chociaż technicznie rzecz biorąc, teraz jest na to najodpowiedniejsza pora – zachichotała zupełnie jak nastoletnia panienka, a nie ekonomistka z poważnej firmy.

– O nie, nie, nie! Nic z tych rzeczy! Wypiliśmy razem kawę w jednej z kawiarenek nad rzeką i tyle!

– Tyle?? Ale jak to? Jak się poznaliście? Przecież nie

powiesz mi chyba, że od tak po prostu dosiadł się do twojego stolika, tłumacząc, że nie lubi pić kawy w samotności.

Ta kobieta jest niemożliwa – pomyślałam, zerkając na nią znad kubka.

– Wpadł na mnie niedaleko Hotelu Fullerton. Niestety tak niefortunnie, że rozbił mój telefon...

– Straciłaś komórkę? Powinien ci to jakoś zrekompensować... Jestem pewna, iż tutejsze prawo mówi coś o zadośćuczynieniu za straty materialne... Jak chcesz, to spytam w poniedziałek firmowego prawnika. Wierz mi, facet nie powinien wykpić się jakąś tam kawą, bo zapłacił chociaż za tę kawę, prawda? – mówiła szybko, zupełnie nie dając mi dojść do głosu.

– Spokojnie! Zapłacił za kawę!

– Przynajmniej tyle... Ale to raczej nie rozwiązuje sprawy telefonu...

– W czasie spaceru po Boat Quay jakiś posłaniec dostarczył mi małą paczuszkę, która później została wręczona mi na pożegnanie – wyjaśniłam, przechodząc szybko do sedna sprawy.

– O! To był i jakiś spacer! Robi się coraz ciekawiej! – ponownie weszła mi w słowo, coraz bardziej podekscytowana.

– Dasz mi opowiedzieć czy mam zamilknąć? – spytałam, dając jej możliwość wyboru.

Ann-Marie wykonała gest symbolizujący zamykanie ust na klucz, który odrzuciła następnie daleko za siebie. Siadła spokojnie i, zerkając na mnie raz po raz, oczekiwała podjęcia przerwanej wątku.

– No więc pożegnaliśmy się i zostałam sama! Trafiłam na drogę ku bulwarowi nad wodą i tam, przyznaję, zasiedziałam się nieco. Kiedy już obejrzałam wieczorny pokaz, zajrzałam do środka paczuszki i...

Przerwałam, nie wiedząc czy powinnam w ogóle opowiadać jej całą tę szaloną historię.

– I? – ponagliła mnie Ann-Marie, niepomna obietnicy milczenia.

– W środku znalazłam nowy telefon... O trzy niebiosy lepszy, niż ten rozbity. Powinnam chyba odnaleźć tego mężczyznę i oddać mu ten podarunek...

– Rekompensatę, a nie podarunek – odpowiedziała rzeczowo, nie siląc się na żadne poczucie winy – ale jestem całkowicie za tym, byś odnalazła tego przystojniaka! Bo był przystojny, prawda? I spędziłabyś z nim kolejny wieczór, a może i kilka – stwierdziła, ukazując w szerokim uśmiechu dwa rzędy równych, perłowo białych zębów.

– Jesteś niepoprawną flirciarą! – skwitowałam, zanosząc się lekkim śmiechem – i kto wie, może na to też istnieje tu paragraf – odcięłam się, nawiązując do jej wcześniejszych słów.

Kobieta siedząca na sąsiednim kuchennym krześle podniosła się z niego z gracją i uroczyście przyłożyła dłoń do serca.

– Jeśli faktycznie tak jest, to przyznaję się do winy, wysoki sędzie! Nie potrafię brać życia na serio i uwielbiam dobrą zabawę! – dodała, próbując zachować śmiertelną powagę.

– Tym razem otrzymuje pani jedynie pouczenie, panno Ann-Marie – odpowiedziałam, wczuwając się w rolę sędziego.

– W takim razie, odpowiedz wreszcie czy był przystojny?

– Kto? – udałam, że nie wiem o kogo pyta.

– On! Tajemniczy nieznajomy z Hotelu Fullerton!

Uśmiechnęłam się na wspomnienie jego oczu. Ciemnych, lekko zmrużonych i otoczonych szeregami długich, niemal kobiecych rzęs.

– Z twojej miny wnioskuję, że było na czym oko zawiesić. A teraz szczegóły! – zażądała, przerywając przeciągającą się chwilę ciszy.

– Nie wiem jak go opisać. Na pewno nie widuje się takich mężczyzn na ulicy w Polsce. Przynajmniej ja nigdy takiego nie miałam okazji spotkać. Łączył w sobie wygląd Europejczyka i Azjaty. Wysoki, smukły, chyba dobrze zbudowany, ale tego nie było widać przez garnitur. Przypominał mi pewnego aktora, ale nie wiem

jak się nazywał...

– Hmm – zamyśliła się, próbując wyobrazić sobie tajemniczego mężczyznę na podstawie tego enigmatycznego opisu – gdzie grał? – spytała rzeczowo.

– „Romeo musi umrzeć.” Film stary jak świat, ale tamta rola utkwiła mi w pamięci! – odpowiedziałam bez zająknięcia, porównując obu mężczyzn w wyobraźni.

– Chyba nie masz na myśli Jeta Li – jęknęła nieco przerażona – do najwyższych to on jednak nie należy.

– Nie, nie, nie. Chodzi mi o tego grającego czarny charakter. W filmie nazywał się Kai. To z nim walczył Jet Li w finałowej scenie, pośród płomieni!

Widać było, że umysł Ann-Marie próbował z zawrotną prędkością przetwarzać otrzymane dane. Przymrużone oczy usiłowały przywołać w pamięci właściwy film.

– Russell Wang! – wyszeptała po chwili triumfalnie – oczywiście, że znam! Bardzo męski typ! Przystojny, silny. Jeśli ten twój uroczy rozbijacz telefonów odrobinę przypomina wspomnianego aktora, to powinnaś od samego rana biegać po mieście i rozwieszać plakaty z napisem „Poszukiwany”! Chociaż zważywszy na to, iż zaśmiecanie przestrzeni publicznej karane jest wysoką grzywną, a może i jeszcze czymś gorszym, nie powinnam ci tego doradzać – zafrasowała się, tracąc na chwilę swój entuzjazm.

– Nie mniej jednak prezent jest zbyt kosztowny, bym mogła go przyjąć.

– Bzdura. Skoro wieczorową porą wyczarował telefon, w dodatku dostarczony przez posłańca, to prawdopodobnie jego konto nawet nie odczuło owego zakupu! Tutaj byle kto nie nosi garniturów poza godzinami pracy, a te skończyły się na długo zanim wyszłaś z domu!

– Maniery miał niczym księżę z bajki – westchnęłam, przypominając sobie brzmienie jego głosu. Niskie, zmysłowe, lekko zachrypnięte.

Z rozmarzenia wyrwał mnie dźwięk odstawianego na blat kubka. Ann-Marie, nie siląc się na subtelność, podeszła bliżej i spojrzała mi prosto w oczy.

– Powinnaś go znaleźć i umówić się z nim jeszcze raz. Albo okaże się materiałem na wakacyjny romans, albo strącisz go z hukiem z piedestału, który właśnie teraz, na podstawie niedopowiedzianych szczegółów, budujesz!

Znaleźć go? Nie! To by było zbyt wielką nachalnością! A może nawet zostałyby uznane za prześladowanie!

– Chyba byłoby lepiej, gdyby wszystko zostało tak, jak jest. Ten facet to nie moja liga – rzekłam bez przekonania.

– A co masz na myśli, ustanawiając jakieś ligi? – spytała Ann-Marie, zachowując się bardziej jak stara



przyjaciółka, niż dopiero co poznana osoba.

– No wiesz – mruknęłam, nie chcąc wypowiadać na głos tego wszystkiego, co krążyło mi po myślach od momentu, kiedy usiadłam z panem Lee w kawiarence nad rzeką.

– Nie, nie wiem! Za stary? Za brzydki? Za gruby? Żle wychowany? Egocentryczny? A może po prostu idiota?

Lawina pytań pozbawiła mnie głosu i uświadomiła, jak bardzo brakowało w moim życiu osoby, która zamiast pogłaskać mnie po głowie w kryzysowej sytuacji, potrafiłaby wytknąć mi wszystkie minusy postępowania i rozumowania. Odsuwając w myślach na chwilę obraz Lee Collinsa, stwierdziłam, iż chciałabym pozostać w kontakcie z szaloną i bezpośrednią Australijką z drugiej półkuli.

– To ja jestem za stara, za brzydka, za gruba, niewystarczająco obeznana z manierami wyższych sfer, a może po prostu za głupia...

– Poczekaj, muszę wezwać lekarza. Dopadła cię chyba jakaś gorączka tropikalna, co czasami się tu zdarza, bo zaczynasz mówić od rzeczy! – stwierdziła całkiem poważnie – Bilet tutaj dostałaś na trzydzieste urodziny, więc kryterium wieku odpada! Za brzydka? Hmm... przyjrzyjmy się uważniej. Długie miodowo-złote włosy zaliczam na plus, chociaż mogłabyś upinać je jakoś staranniej, niż w ten chaotyczny kok na czubku głowy. Ba, powinnaś nawet zaszaleć i całkowicie je rozpuścić.

Błękitne oczy – rzekła, pochylając się nade mną – chociaż widzę również domieszkę szarości. Z pewnością potrafią oczarować niejednego faceta. Co do figury, to faktycznie do patykowanej modelki ci daleko, ale te dwa czy trzy kilogramy nadwagi również nikogo nie zabiły.

– Pięć kilogramów nadwagi – mruknęłam, niechętnie wspominając okrutną skalę w łazience, która wskazała siedemdziesiąt jeden kilogramów w dzień mojego wyjazdu na niespodziewane wakacje.

– Odrobina ruchu, jakieś zajęcia na świeżym powietrzu i zbędny balast zniknie – rzekła niezrażona – Co tam jeszcze wymieniłaś? – spytała bardziej retorycznie, niż z potrzeby przypomnienia – Coś o niewystarczających manierach? Zawsze możesz swoją niewiedzę złożyć na karb różnic kulturowych. Ja zawsze tak robię – dodała niespodziewanie.

– Jesteś niesamowita, wiesz? – szepnęłam pełna uznania dla jej sprytu.

Zamarła, ale tylko na moment, po czym uśmiechnęła się serdecznie i z głośnym westchnieniem opadła z powrotem na swoje krzesło.

– Znowu to robiłam. Przeraziłam swojego gościa nadmierną otwartością i wścibstwem. Wybacz.

Poczułam się głupio. Nie chciałam wpędzać jej w jakieś wydumane poczucie winy. Przecież okazała mi tak dużo serca i uwagi. W życiu bym się nie spodziewała, iż

ktoś zupełnie obcy może być w stanie tyle zrobić dla drugiego człowieka.

– Nie! Nie chodzi o to! – zaprotestowałam – po prostu masz odpowiedź na wszystko! Kipisz energią i optymizmem. Też bym tak chciała.

Spojrzała na mnie, jakby dopiero teraz mnie zobaczyła i zastanawiała się, co ta dziwna istota z innej planety robi pośrodku jej aneksu kuchennego.

– A kto ci broni?

– Nikt. Wszyscy. Ja... – odpowiedziałam nieskładnie, uświadamiając sobie, iż faktycznie nawet nie wiem dlaczego nie jestem tym, kim chciałabym być.

– Odpowiedź brzmi: Tchórz ukryty gdzieś na dnie serca! Konformistyczny leń, który bojąc się odrobiny pracy i wyjścia poza strefę komfortu, powstrzymuje cię przed wprowadzeniem zmian na lepsze!

Nie mogłam się z nią nie zgodzić. Od dłuższego czasu narzekałam, że jest źle, ale tak naprawdę nie zrobiłam nic, by to zmienić.

– Prawdopodobnie masz rację – przyznałam niechętnie, dopuszczając do świadomości opcję, której do tej pory starałam się nie widzieć.

– Jeśli więc jeszcze raz powiesz mi, że jakiś facet jest poza twoją ligą, to natrę ci porządnie uszu! Przynajmniej tak, jak zwykła to robić moja starsza siostra! – zagroziła, podając mi spodeczek z

herbatnikami, którego do tej pory nawet nie zauważyłam.

– Jest was więcej? – spytałam złęczona – W obliczu takiego zagrożenia chyba się poddam i przestanę wygłaszać kontrowersyjne teorie.

– I tak trzymać! A teraz pora iść spać! – rzekła, wstawiając puste kubki po kakao do zmywarki – śnij o swoim singapurskim księciu z bajki.

Już miałam coś odpowiedzieć na tę jawną prowokację, ale w ostatniej chwili zrezygnowałam. Uśmiechnęłam się jedynie pod nosem i doszłam do wniosku, że i tak nie przekonam jej do swojej racji.

– Dobranoc i dziękuję. Za wszystko!

Pomaszerowałam do łazienki, zastanawiając się jednocześnie, w jaki sposób życie może obrać zupełnie inną drogę. Kilkanaście dni temu, w zimny i ponury listopadowy wieczór, użalałam się nad sobą, swoim wiekiem i stratą pracy, której nawet nie lubiłam, a dziś siedzę w egzotycznej metropolii w gościnie u sympatycznej Australijki. Bajki jednak potrafią ziszczać się na jawie.

## Rozdział V

### Małe Indie

Obudziłam się z ogromnym bólem głowy. Otwierając powieki, stwierdziłam, iż słońce przenikające przez żaluzje świeci całkiem intensywnie, co mogło wskazywać na późną porę. Spojrzałam na zegarek i zaskoczeniem stwierdziłam, że minęła już dziesiąta rano. No tak, mój organizm przyzwyczajony do innej strefy czasowej doszedł do wniosku, że należy mu się przeciętna dawka snu!

Na wpół przytomna skierowałam się do łazienki, mając nadzieję, iż jest wolna. Zanim jednak zdołałam dotrzeć do jej drzwi, usłyszałam radosny świergot Ann-Marie.

– Dzień dobry! Masz ochotę na późne śniadanie w Little India?

Przetarłam zaspane oczy, zastanawiając się czy oby na pewno dobrze usłyszałam.

– Śniadanie brzmi świetnie – stwierdziłam w końcu – nie wiem tylko, co to jest Little India.

– Hinduska dzielnica miasta. Znajdziesz tam wszystko,

o czym tylko zamarzysz, a co zrodziło się na subkontynencie Indyjskim. Marzy mi się paratha... Pomyślałam, że jeśli nie masz innych planów, to pokażę ci co nieco w mieście.

– Nie chciałabym sprawiać zbyt wielkiego kłopotu. Już i tak udostępniłaś mi swój pokój...

– Couchsurfing to coś więcej, niż tylko kanapa czy łóżko... To styl życia i osobowości. Kiedy podróżowałam po Ameryce Południowej, moi gospodarze ciągle organizowali mi jakieś rozrywki i wyjazdy za miasto. Teraz staram się odpłacić się tym samym innym podróżnikom. Zresztą czuję, że my dwie mamy ze sobą więcej wspólnego, niż mogłoby się zdawać!

– Jeśli tylko dasz mi kwadrans na prysznic i ubranie się, jestem gotowa stawić czoła twojej parathcie, czymkolwiek by ona nie była!

– Masz piętnaście minut – rzekła, zerkając na elegancki zegarek na przegubie ręki – czas zaczyna tykać, więc go nie marnuj! – poradziła z uśmiechem.

Chyba nigdy w życiu nie przygotowywałam się tak szybko do wyjścia. Jeśliby dłużej nad tym wszystkim się zastanowić, to wiele rzeczy robiłam po raz pierwszy, a co najgorsze, a może najlepsze, miałam nadzieję, że takich „nigdy” uda mi się wykonać jeszcze wiele podczas tych dwóch tygodni w Azji. Zdawałam sobie sprawę, iż im więcej pewności siebie nabiorę, tym

więcej samozaparcia wykażę podczas poszukiwania nowej, tym razem dobrej i właściwej dla mnie pracy w Polsce!

Założyłam kolejne workowate spodnie oraz pasującą do nich koszulę, chwyciłam w locie torbę ze sprzętem fotograficznym i ruszyłam w stronę przedpokoju. Dopiero stając twarzą w twarz z Ann-Marie uświadomiłam sobie dwie rzeczy.

Po pierwsze, wczorajszego wieczora po spotkaniu z panem Collinsem nie zrobiłam ani jednej fotografii, co z pewnością było absolutną nowością. Chłonełam całe piękno i potęgę otaczającego mnie miasta, ale nie pomyślałam o uwiecznieniu tego wszystkiego na zdjęciach.

Po drugie, nieodpakowany telefon nadal spoczywał w torbie tuż obok aparatu, stanowiąc bezużyteczny balast obciążający mój bark. Powinnam albo odnaleźć tajemniczego przystojniaka Lee i mu go oddać, albo faktycznie uznać go za rekompensatę utraconego smartfona i zacząć używać. Cóż, opcja druga wydała mi się niezwykle kusząca, zwłaszcza iż niekiedy kamera w telefonie służyła mi równie dobrze, co obiektyw profesjonalnego sprzętu.

Postanowione! Podczas śniadania odpakuję to małe cacuszko, czyniąc je oficjalnie moim. A o resztę będę się martwić później. Pytanie tylko, jak dostaniemy się do dzielnicy, o której wspomniała Ann-Marie.

– Jak to jak? Krótki spacer nie powinien sprawić nam kłopotu. To, co zamierzamy zjeść, wymaga spalenia zawczasu dużej liczby kalorii – zaśmiała się, odpowiadając na pytanie zadane jej w windzie.

– Spacer? – spytałam z niedowierzaniem, zachodząc w głowę jak daleko zamierzała iść, by móc zjeść upragnione śniadanie.

– W trzydzieści minut powinniśmy się uwinąć. Po drodze zobaczysz wiele ciekawych rzeczy i zorientujesz się w okolicy. Ta wiedza przyda ci się z pewnością podczas samotnych wędrówek.

– Masz rację, ale teraz już chodźmy, bo mój żołądek zaczyna domagać się czegoś treściwego.

– Próbowowałaś już kiedyś hinduskiej kuchni? – spytała niespodziewanie, zatrzymując się tuż przed drzwiami prowadzącymi na ulicę.

– Raz czy dwa, w knajpce w moim rodzinnym mieście.

– Poczujesz różnicę już od pierwszego kęsa, który wyląduje na twoich kubkach smakowych – obiecała, zakładając na nos ciemne okulary.

Singapur powitał nas piękną słoneczną pogodą, która uprzyjemniła nam kilkadziesiąt minut marszu przez kolejne dzielnice niezwykłego państwa-miasta.

Konsumując mączny placek smażony na klarowanym maśle, rozmyślałam nad tymi wszystkimi pięknymi



aktorkami, które swego czasu podziwiałam w produkcjach rodem z Bollywood, i zastanawiałam się, jakim cudem zachowały swoje figury.

– Jak wrażenia? – spytała Ann-Marie, wgryzając się w swoją paranthę.

– Ciekawe – rzekłam niepewnie, nie chcąc jej urazić. W końcu było to jej ulubione danie.

– Nie smakuje ci – stwierdziła bez cienia urazy – prawie zawsze tak jest za pierwszym razem. Może z dodatkiem kalafiora albo ziemniaków bardziej przypadłaby ci do gustu – gdybała, wymieniając kolejne rodzaje hinduskiego śniadania.

– Prawdopodobnie – zgodziłam się z grzeczności – ale chyba na razie na tym zakończę moje eksperymenty z kuchnią hinduską.

– Bzdura! Zamów Mango Lassi – poradziła – nie znam nikogo, komu nie przypadłoby ono do gustu – mówiąc to, gestem dłoni przywołała kelnera i szybko złożyła zamówienie.

Na nic zdały się moje protesty. Kiedy tylko wysoka szklanka pojawiła się na stoliku, musiałam spróbować chłodnego napoju na bazie jogurtu i owoców. Ann-Marie nie odpuściła, dopóki nie umoczyłam ust w mlecznym, lekko żółtym płynie.

Niezwykły koktail rozchodzący się po kubkach smakowych otworzył przede mną zupełnie nowy

rozdział poszukiwań przeróżnych kombinacji, mogących powiedzieć mi znacznie więcej o świecie, niż nie jeden kamienny relikwiarz przeszłości. Podróże to smak... Czasami gorzki, czasami słodki, a niekiedy również trudny do zdefiniowania jak wszystko, czego przyszło mi spróbować podczas śniadania w Little India.

– A widzisz – triumfalnie rzekła w tym czasie Ann-Marie – przysłowiowe niebo w gębie, prawda?

Skinęłam szybko głowę, pojmując jak wiele czasu straciłam, zamiast odkrywać inne kultury, miejsca i style życia.

Przed oczyma mignęła mi sylwetka drobnej, szczupłej dziewczyny w sari. Piękny turkusowy kolor, harmonizując ze złotym odcieniem jej skóry, czynił ją boginią stającą po ziemi. Bransoletki na jej nogach, wydające delikatny dźwięk przy każdym stawianym przez nią kroku, przykuwały moją uwagę, wzbudzając nieskrywany zachwyt. Gdybym nie siedziała przy restauracyjnym stoliku, z pewnością pognałabym za tajemniczą nieznajomą, prosząc o przyzwolenie na zrobienie kilku zdjęć.

– Śliczne są, prawda? Takie drobne i gibkie... Czasami żałuję, że nie mogę wyglądać tak, jak one – westchnęła w tym czasie Ann-Marie, komentując obiekt mojego zachwytu – wtedy jednak uświadamiam sobie w jak trudnym społeczeństwie przyszło im żyć.

– Co masz na myśli?

Uśmiech zdobiący zwykle twarz mojej nowej znajomej zniknął nagle, ustępując miejsca zafrasowaniu.

– Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku, a mimo to większość z nich poślubi zupełnie obcego człowieka. Najczęściej wskazanego przez lokalnego swata i zaakceptowanego przez rodziców. Wiele z nich nie skończy nawet uniwersytetu, będąc zależną od woli męża i jego matki. Ich sytuacja w Singapurze jest o tyle trudna, iż przebywa tu znacznie mniej kobiet z Indii czy Bangladeszu, niż mężczyzn. Taka dysproporcja rodzi wiele problemów i chyba lepiej dla nas, byśmy w nie nie wnikali. Dam ci tylko jedną radę: nie przychodź tu sama wieczorową porą, bo może się zdarzyć, że czyjaś ręka niespodziewanie wyląduje na którymś z twoich pośladków.

– Zdarzają się przypadki molestowania? – spytałam, nazywając rzeczy po imieniu – nawet w stosunku do turystek?

– Chyba zwłaszcza w stosunku do nich – sprostowała natychmiast – Większość tutejszych mężczyzn może tylko marzyć o Europejce czy Amerykance grzejącej ich w łóżku, a co sobie taki jeden z drugim podotyka, to jego – rzekła, kręcąc się niespokojnie.

– Dobrze, że mi powiedziałaś, bo miałam ochotę wrócić tu któregoś wieczora.

– Możesz, ale lepiej byś miała jakieś towarzystwo. Na szczęście masz niebywałego farta. Wystarczy wyszeptać

smakowitą nazwę „Chicken Curry” i już wdziewam sandaalki, by przybiec tu na kolację – rzekła radośnie, próbując zmienić temat.

– Boże, wróć do domu o milion kilo cięższa!

– To może w końcu ruszysz się i coś ze sobą zrobisz – odpaliła, szczerząc zęby.

– Jesteś niezwykle miła – odparowałam, wcale się na nią nie gniewając – zanim jednak to nastąpi, mam do odpakowania paczuszkę, która od jakiegoś czasu domaga się mojej uwagi.

Wyciągnęłam pudełko na wprost jeszcze owinięte eleganckim papierem prezentowym i obracając je w dłoniach, przypomniałam sobie wczorajszy wieczór. Wolałabym jeszcze raz zobaczyć niezwykłego pana Collinsa, niż posiadać najnowsze osiągnięcie techniki wyprodukowane przez Samsunga.

– Co to? Gwiazdka? Nie baw się tym bez końca, tylko otwieraj! – poleciła mi w tym czasie Ann-Marie, kończąc swoje śniadanie.

– To tylko telefon! – stwierdziłam, przekonując nie tylko ją, ale i siebie samą.

Wyjęłam pudełko i już miałam zedrzeć z niego folię, gdy pomiędzy resztkami ozdobnego opakowania dostrzegłam coś jeszcze. Sięgnęłam po tę, jak mi się zdawało, ulotkę i wzięłam delikatnie w dłoń.

– Nieźle! Singapurska sim karta! Czyżby tajemniczy

przystojniaczek planował się do ciebie dodzwonić?

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami, próbując ukryć falę podekscytowania – może po prostu była dołączona do zestawu i dlatego znalazła się w tym pakiecie – stwierdziłam, wkładając baterię do telefonu, który w międzyczasie rozpieczętowałam.

– Jasne! A ja jestem królową Australii! Zobaczysz, przed wieczorem będziesz się szykować na randkę. Tylko uważaj, by nie rozbił ci przez przypadek kolejnego smartfona – dodała, ciesząc się jak mała dziewczynka, która właśnie coś zbroiła.

– W takim razie powinnyśmy chyba ruszyć na zwiedzanie tej namiastki Indii, zanim to się stanie – skwitowałam, zamykając telefon i uruchamiając go po raz pierwszy.

– Wiele do zwiedzania nie ma. Może uda nam się zajrzeć do jednej ze świątyń, ale ostrzegam, nie możesz liczyć, iż opowiem ci coś na temat ich religii. Mają zbyt wielu bogów, wcieleń i związanych z tym historii. Tak naprawdę potrafię nazwać jedynie kilku z nich, a i to nie zawsze...

– Nie spodziewałam się żadnych informacji. Wystarczy mi miłe towarzystwo i świadomość, że wspaniale się mną zajmujesz.

Ann-Marie milczała przez moment, tak jakby zastanawiała się, jak powinna skomentować moje słowa.

– Nie ma za co... Czasami osoba z drugiego końca świata może zrozumieć nas lepiej, niż najbliżsi. Zresztą kto wie, może kiedyś zawitam do Polski i zjawię się na progu twojego mieszkania – wróciła do raz już podjętego tematu.

– Jesteś mile widziana. O każdej porze dnia i nocy! – zapewniłam ponownie.

Po uregulowaniu rachunku ruszyliśmy wzdłuż głównej ulicy, zaglądając do mniejszych i większych butików, w których można było znaleźć praktycznie wszystko. To, co przykuło moją uwagę, to ogromna ilość sklepów jubilerskich oferujących z reguły dwudziestodwukaratowe złoto. Ku memu zdziwieniu, większość z nich tętniła życiem i na bieżąco obsługiwała kolejnych klientów.

W miarę zagłębiania się w tę hinduską ojczyznę na obczyźnie, miałam coraz większą ochotę zostać tam na dłużej i chociaż spróbować zrozumieć ich mentalność i odmienny system wartości. Niestety to, co dobre, szybko się kończy. Tuż po wczesnym lunchu Ann-Marie odebrała telefon od znajomych z zaproszeniem na partyjkę tenisa. Chciała zabrać mnie ze sobą, jednak wyczułam, iż było to tylko grzecznościowe zapytanie.

– Wolałabym pospacerować nieco po Marina Bay – wyznałam, nie chcąc narzucać się ze swoim towarzystwem. Poza tym miałam nadzieję na przypadkowe spotkanie czarującego pana Collinsa.

– Poleciłabym ci metro, ale będziesz musiała przynajmniej raz się przesiąść. Wsiądź w linię fioletową, a na przystanku Chinatown przesiądź się do niebieskiej. Do Marina Bay będzie ci znacznie wygodniej dojść od strony stacji Downtown.

– To niedaleko, pójdę pieszo – stwierdziłam, nie mając ochoty zamykać się w metrze, gdy dystans nie był zbyt duży – Muszę wreszcie zacząć robić zdjęcia – dodałam, wskazując na torbę ze sprzętem fotograficznym.

– Zatem udanych kadrów – pożyczyła mi Ann-Marie, machając na przejeżdżającą taksówkę.

Zostałam sama pośrodku zupełnie obcego mi świata i, co ciekawe, nie stanowiło to dla mnie problemu. Poczułam się jak Kopciuszek, który nagle odkrył potęgę czarów swojej dobrej wróżki. I chociaż żadna mysz nie przemieniła się w rumaka ciągnącego dyniową karocę, to stwierdziłam, że nawet zwykła rzeczywistość potrafi być zaczarowana. Wyciągnęłam z torby aparat i zaczęłam robić upragnione zdjęcia.

Mijający mnie przechodnie reagowali na aparat tak różnie, iż trudno by mi było opisać te wszystkie postawy w zaledwie kilku słowach. Widząc wycelowany w nich obiektyw, niektórzy z nich zasłaniali nerwowo twarze, przyspieszając kroku, inni uśmiechali się życzliwie, przystając na moment, by umożliwić mi uchwycenie lepszej statyki kadru. Wielu okazywało serdeczność

względem zabłąkanej turystyki, swoją postawą udzielając wsparcia mojej pasji. Inni, krzycząc coś w niezrozumiałym języku, próbowali przegnać mnie ze swego sąsiedztwa.

Najmilszym zaskoczeniem było dla mnie zachowanie dzieci. Te drobne istotki, niezależnie od szerokości geograficznej, w której przyszło im żyć, zawsze skore są do zabawy i pozowania przed obiektywem. Mała dziewczynka z długimi włosami zaplecionymi w staranny warkocz, ubrana w żółty kaftan, sama podeszła do mnie i spróbowała zwrócić na siebie moją uwagę, ciągnąc za brzeg koszuli.

– Lady! Photo! Photo!

Jej bezpośredniość oraz umiejętność pokonania bariery językowej urzekła mnie na tyle, iż zrobiłam kilka ujęć jej uśmiechniętej buzi. Na koniec podarowałam mojej małej modelce jedną z czekoladek schowanych do tej pory w przepastnej torbie, czym wywołałam szeroki uśmiech, ukazujący kilka miejsc, w których po utracie mleczaków nie wyrosły jeszcze stałe zębki.

– Thank you! – wyszeptało dziecko i z okrzykiem radości ruszyło w stronę swoich rówieśników.

To ja dziękuję – szepnęłam w ślad za małą – pokazałaś mi radość, którą dorośli tracą wraz z uzyskaniem pełnoletności. A przecież każdy dzień mógłby być wypełniony takim entuzjazmem, jak twój.



## Rozdział VI

### Sentosa

Do China Town dotarłam dopiero późnym wieczorem, marząc jedynie o chłodnym prysznicu i miękkiej poduszce, na której mogłabym jak najszybciej złożyć głowę i zasnąć. Nie chcąc przeszkadzać Ann-Marie, cicho otworzyłam drzwi i skierowałam się w stronę swojego tymczasowego pokoju.

– Adrianna, czy to ty? Jak się udała randka z księciem?

No tak, zapomniałam, iż jej zdaniem pan Collins powinien był skontaktować się ze mną w celu kontynuowania dobrze zapowiadającej się znajomości.

– Nijak – odpowiedziałam szczerze – od momentu naszego rozstania w Little India, aż do teraz byłam zajęta tylko i wyłącznie robieniem zdjęć. Zesłam całą dzielnicę biznesową, uwieczniając zarówno ogólną panoramę miasta, jak i ciekawe detale.

– Nie jadłaś kolacji?

– Przekąsiłam chińską zupę w jednej z knajpek przy moście. Zresztą nie wiem czemu, ale nie mam apetytu.

– To miłość – skwitowała Ann-Marie, stając obok mnie – tęsknisz za singapurskim księciem z bajki.

Wzruszyłam ramionami, nie bardzo wiedząc jak ukrócić romantyczne scenariusze nie mające cienia szansy na realizację.

– Jasne, uschnę z tęsknoty, albo jeszcze lepiej... przeprowadzę się do Singapuru, by wieczorami wystawać pod Hotelem Fullerton. Dzięki temu chociażby z daleka będę w stanie zobaczyć obiekt moich westchnień – zakpiłam, mając nadzieję, iż moja gospodyni zrozumie bezcelowość snucia planów o wielkiej miłości zrodzonej na wakacjach.

– Nie, no tak źle to chyba nie będzie. Ale wiesz co, przeprowadzka tutaj nie jest złym pomysłem! Co prawda trzeba załatwić masę papierów i pozwoleń, ale jest to jak najbardziej do zrealizowania. Jakie masz wykształcenie i co dokładnie mogłabyś robić?

– Ann-Marie! Nie przeprowadzę się do Singapuru! Nie mam pojęcia o ekonomii ani handlu międzynarodowym. Nigdy nie miałam do czynienia z ubezpieczeniami ani nowoczesnymi technologiami. Jestem prostym fotografem, który większość życia przesiedział za biurkiem korporacji, wklepując kolejne dane do komputera!

No i stało się! Podsumowałam całą swoją pseudokariere zawodową w dosłownie kilku słowach. Unaoczniałam, że ideały czasów studenckich i dawne

ambicje zostały pogrzebane pod przykryciem prozaicznej codzienności.

– To może nadszedł czas, by coś zmienić – rzekła, czytając mi w myślach.

– Może – mruknęłam nieprzekonana – Pomyślę o tym po powrocie do domu. Jeśli uda mi się wybrać kilkanaście dobrych ujęć, postaram się zorganizować jakąś wystawę...

– A nie myślałaś o sprzedawaniu zdjęć w bankach fotografii? Z tego, co wiem, całkiem nieźle można na tym zarobić. Oczywiście pod warunkiem, że masz oko do nietuzinkowych i oryginalnych ujęć.

– Nie, zawsze zdawało mi się, że to jeden wielki przekręt.

– Bzdura! Cała masa firm kupuje wybrane kadry właśnie w ten sposób. Po co organizować całą sesję, wynajmować sprzęt i ludzi, by zyskać jedno czy dwa potrzebne zdjęcia, które i tak nie przedstawiają jakiegoś szczególnego artykułu? Lepiej jest zapłacić za gotowy produkt!

– Hmm, nigdy nie myślałam o tym w ten sposób – przyznałam, zaczynając na poważnie rozważać zarejestrowanie się na jednym z takich portali.

– To zacznij. Ile fotek dziś pstryknęłaś?

– Prawie dwa tysiące...

– Daj mi kartę pamięci – zdecydowała, wyciągając w

oczekiwaniu pustą dłoń – zerkniemy na nie!

– Przejrzę je po powrocie do domu – rzekłam, czując lekki niepokój. Minęły wieki odkąd pokazywałam komukolwiek rezultat swojej współpracy z aparatem.

Ann-Marie pokręciła głową, niemal jak moja nauczycielka plastyki w podstawówce, gdy zbyt długo zwlekałam z oddaniem efektu swojej twórczości.

– Wiem co nieco o rynku fotografii reklamowej. Moja firma bardzo często korzysta z tej opcji. Chętnie zerknę czy masz w sobie to coś, czego szukamy w zakupowanych przez nas zdjęciach.

– Bank?

– Nie jesteśmy jedynie bankiem – sprostowała – ale nawet takie placówki zainteresowane są takimi usługami! Przecież muszą pokazać tych szczęśliwych ludzi, którzy cieszą się z zakupu nowego domu, samochodu czy czegoś tam jeszcze!

No i nici z odpoczynku. Chociaż z drugiej strony kto wie, może Ann-Marie zdoła otworzyć przede mną drzwi do nowego, lepszego życia zawodowego.

– Świetne! – mruknęła pod nosem – to dałabym do prospektu o rozwijającym się centrum biznesowym – wskazała jedną z fotografii – Oczywiście gdybym takowy tworzyła, czego niestety nie robię.

– No właśnie – mruknęłam na wpół zrezygnowana, na pół zmęczona – większość osób tak powie.

Odwróciła się w moim kierunku i popatrzyła ze złością w oczach.

– Gdyby Da Vinci rozumował podobnie, to prawdopodobnie nigdy nie stworzyłby Mona Lisy!

– Nie porównuj mnie do geniusza wszechczasów!

– Ok, może przesadziłam – zgodziła się nieco bardziej ugodowym tonem – nie mniej jednak powinnaś skupić się na fotografii! Te portrety dziewczynki w żółtym ubraniu zrobione w Little India – bomba! Prawie równie hipnotyzujące, co dziewczynka z Afganistanu, której wizerunek rozświetlił National Geographic!

– Co porównanie, to trafiasz w coraz to lepsze typy. Może powinnaś porzucić ekonomię na rzecz Public Relations? – zaśmiałam się, podchwytyjąc wreszcie radosną atmosferę wieczoru.

– Kto wie, kto wie – szepnęła pod nosem, próbując zatuszować nadchodzącą falę śmiechu – jeśli tylko uda mi się wypromować cię jako najnowszą gwiazdę światowej fotografii, to z całą pewnością rozważę możliwość przekwalifikowania się! Ale zanim to nastąpi, powinniśmy pomyśleć o bardziej przyziemnych sprawach i pójść w końcu spać – rzekła, wyjmując czytnik kart pamięci z portu USB.

Podniosłam się z krzesła i już chciałam powiedzieć dobranoc, gdy Ann-Marie, zastanowiwszy się chwilę, szepnęła:

– Nie lubię niedziel. Wtedy najbardziej brakuje mi rodziny. Masz ochotę wybrać się ze mną na małą wycieczkę?

Zanim odpowiedziałam na to wiele mówiące na jej temat stwierdzenie, poczułam, że właśnie zyskałam bratnią duszę. Nie gospodarza, który w ramach jakiejś wydumanej społeczności internetowej zgodził się mnie przenocować na przysłowiowej kanapie, ale najprawdziwszą przyjaciółkę, która właśnie podzieliła się ze mną najgłębszym ze swych lęków.

– Jasne. A gdzie tym razem mnie zabierzesz?

Usłyszałam westchnienie ulgi, jakby ktoś nagle zdjął ogromny ciężar z barków tej zwykle roześmianej i szczęśliwej kobiety.

– Dam ci wybór! Odwiedzimy Sentosa Island lub Pulau Ubin.

– Obie nazwy brzmią dla mnie równie obco – przyznałam, nie próbując nawet podejmować decyzji w ciemno.

– No tak, cały czas zapominam, że jesteś tu przejazdem. Pulau Ubin należy uznać za jedyne tereny Singapuru, które nie stanowią struktury miejskiej naszego państwa. Dopłynąć tam można jedynie z Changi Ferry Terminal.

Niezurbanizowana część azjatyckiego tygrysa? Brzmi fantastycznie – pomyślałam, czekając jednocześnie na

objaśnienie drugiej z nazw.

– Zaś Sentosa to miejsce rozrywki, szaleństwa i sztucznie usypanych, pięknych plaż – kontynuowała w tym czasie Ann-Marie.

Z barwy jej głosu bez trudu wyczytałam, które z tych dwóch miejsc lubiła najbardziej. Kiedy wspomniała o nadmorskim wybrzeżu uzdatnionym do wypoczynku, jej ton stał się cieplejszy.

– Sentosa brzmi ciekawie – rzekłam z udawanym entuzjazmem.

Spojrzała na mnie pełnymi nadziei, brązowymi oczyma.

– Jesteś pewna? Mam wrażenie, że dla ciebie ciekawszą może być wyspa Pulau Ubin.

– Nawet Pan Bóg odpoczywał dnia siódmego, więc i nam się to należy! Jeśli nadal masz ochotę na tę wycieczkę, to jutro udajemy się na plażę! – dodałam pewną słuszności swojej decyzji.

– O Universal Studios też możemy zahaczyć. Mają tam kilka ciekawych atrakcji – dodała cichym głosem, brzmiącym niemal jak ton małej dziewczynki, którą spotkałam dziś po południu.

– Robi się coraz ciekawiej. Sprawdzę tylko czy wzięłam ze sobą kostium kąpielowy – zachichotałam, poważnie zastanawiając się, czy faktycznie znajdę go w swoim bagażu.

– Nie żartuj! Wspomniałaś, że chcesz stąd wyskoczyć na Bali! Co zamierzasz tam robić bez plażowego ekwipunku?

– Odwiedzać świątynie, plantacje herbaty...

– Jeden dzień w zupełności ci na to wystarczy. O.K. może dwa, nie więcej. Koniecznie musisz odpocząć nieco na plaży!

– Tak jest! – zaslutowałam po wojskowemu – A teraz już idę spać, bo za moment zasnę tu na stojąco – stwierdziłam przeprasząco, czując jak moje powieki stają się coraz cięższe.

– Nie możemy do tego dopuścić. Marsz do łazienki i spać!

Położywszy głowę na poduszce, poczułam jak myśli rozmywają się w nicości, tworząc nieczytelną mieszankę barw, dźwięków i kształtów. Odpłynęłam do krainy snów, zapominając o cudach, które zobaczyłam, o problemach czekających na mnie po powrocie z wakacji, ale też o otwierających się przede mną możliwościach. Zapomniałam o wszystkim, z wyjątkiem pary ciemnych oczu zmrużonych w lekkim uśmiechu.

Tropikalne morze, słońce i rozmaite bary. Czy można chcieć czegoś więcej podczas leniwego dnia na plaży? Chyba nie! A jeśli doda się do tego wesołe miasteczko inspirowane filmami Universal Studio, kasyna, centrum podniebnego nurkowania pod dachem oraz olbrzymie



oceanarium, to skumulowane atrakcje zrekompensują niemal wszystkie rzeczy, z których zrezygnowało się, by tam przyjechać.

Zrobiłam milion zdjęć, no dobrze, może tylko kilka tysięcy i opadłam w końcu na leżak, rozkoszując się ciepłym słońcem ogrzewającym moje ciało.

– Wyskakuj z tych ciuchów – poradziła Ann-Marie, prezentując się jednocześnie w eleganckim czarnym bikini.

– No co ty? Jeszcze ktoś z krzykiem zacznie wzywać Green Peace prosząc, by ratowali wieloryba! Zostanę w spodenkach i koszulce.

– Nie po to leciałaś przez pół świata, by teraz wygłaszać takie bezsensowne teksty. Zaakceptuj swoje ciało albo zrób coś, by je nieco zmodyfikować!

– Dobrze już, dobrze... Za moment jeszcze mnie namówisz, bym wskoczyła do wody!

– A czemu by nie? Jest kryształowo czysta i przyjemnie ciepła!

Chcąc schować dopiero co zdjętą koszulkę, sięgnęłam w kierunku torby, w której upchnęłam wszystkie swoje rzeczy. Sprawdzając godzinę na telefonie komórkowym, spostrzegłam nieodebrane połączenie.

– Czemu zawiesiłaś się jak stary Windows spoglądając na ekran smartfona? – spytała Ann-Marie, wyrwijając mnie z chwilowej zadumy.

– Nieodebrane połączenie – odpowiedziałam, nie bardzo wiedząc, czy powinnam powiedzieć coś jeszcze.

– Nie radziłabym ci odbierać rozmów z Polski. Rachunek po powrocie może się okazać nieprzyjemnie wysoki – poradziła rzeczowo, smarując ramiona kremem do opalania.

– To nie jest polska sim karta...

Przyjemnością było zobaczyć, jak podekscytowana dziewczyna jednym susem zeskakuje ze swego leżaka i przysiada się do mnie, porzuciwszy na piasku buteleczkę z kosmetykiem.

– Powiadasz, że to miejscowe połączenie? Wiesz co to znaczy?

– Wiem. Ktoś źle wykręcił numer – stwierdziłam, bagatelizując całą sprawę.

– Bajdurzysz! Przystojniak prawdopodobnie spisał sobie numer telefonu, zanim ci go podarował, a teraz ma ochotę na kolejną kawę!

– Pleciesz trzy po trzy – odpowiedziałam jej pięknym za nadobne – na pewno nic nie spisywał.

– To taka figura retoryczna! Posłaniec lub ktoś ze sklepu mógł to zrobić za niego!

– Jeśli masz rację, to zadzwoni jeszcze raz...

– Nie oddzwonisz? Zwariowałaś?

– Być może faktycznie tutejsze słońce mi nieco

zaszkodziło – rzekłam, patrząc na mocno zaczerwienione ramiona – ale nie zamierzam ganiać za jakimś bogatym przystojniakiem.

– A pozwolisz mi za nim pobiegać? – zapytała filuternie Ann-Marie.

– Proszę bardzo – rzuciłam na pozór obojętnym tonem – Wskakuj w jakieś sportowe buty i do dzieła. Przynajmniej mieszkanie w tym samym mieście.

– Oj, uważaj, bo jeszcze ci uwierzę! – przestrzegła – Zresztą mam nadzieję, iż wkrótce nie w głowie będą mi podobne pogonie. Alan ponownie zaprosił mnie na kolację – wyznała w końcu, lekko się przy tym czerwieniąc.

– I nic mi do tej pory o tym nie wspomniałaś, chociaż sama na siłę wpychasz mnie w ramiona być może seryjnego podrywacza? – udałam oburzenie, ciesząc się jej szczęściem.

– Tak jakoś wyszło. Nie mniej jednak wieczorem muszę się zrobić na bóstwo. Wybaczysz mi, że cię porzucę?

– Nie jesteś moją niańką. I tak wiele dla mnie zrobiłaś! Wykorzystam twoją nieobecność i zarezerwuję bilety na Bali. Poszukam jakiegoś niewielkiego pensjonatu albo przyjaznego Couchsurfera... A na pewno sprawdzę pensjonaty w Singapurze.

– Aż tak ci źle u mnie? Wiem, że jestem wścibska,

ale...

– Nie, to nie to – przerwałam jej, widząc, iż zrozumiała mnie opacznie – jeśli tylko nadal mogę zostać do piątkowego poranka, to uczynię to z przyjemnością. Mam na myśli te dwie czy trzy noce po powrocie z Bali. Nie zamierzam nigdzie indziej jechać, skoro i tak mam zaraz wracać do Polski.

– Pamiętasz? Mi casa es su casa – powtórzyła słowa wypowiedziane w dniu naszego poznania.

– Wiem i dziękuję za to...

– Prosto z lotniska przyjeżdżasz do mnie! – poleciła – skoro wytrzymasz ze mną cały tydzień, to dasz radę i przez ostatnie noce!

– Wiesz, jest mi niezwykle głupio. Couchsurfing to z reguły jedna, może dwie noce, a nie prawie cały pobyt.

– W takim razie nic im o tym nie powiemy! A jeśli ci ulży, to obiecuję przyjechać do twojej ojczyzny i każe się obwieść po wszystkich możliwych miejscach!

– Nie ma sprawy. Zarezerwuj sobie przynajmniej rok!

– Przesadzasz!

– Naprawdę? Polska ma ponad trzysta dwanaście tysięcy kilometrów kwadratowych i całe mnóstwo obiektów na liście dziedzictwa UNESCO, że nie wspomnę o innych wyjątkowych atrakcjach, które nie są zarejestrowane w żadnych spisach czy międzynarodowych organizacjach.

– Hmm – zamyśliła się na moment – w takim razie zawężymy teren do twojego regionu.

Zaśmiałam się uradowana swoim własnym szczęściem oraz bezpośredniością mojej nowej przyjaciółki.

– Zobaczymy ile będziesz miała czasu i wybierzemy to, co najważniejsze! Z chęcią wrócę w twoje progi, ale pod jednym warunkiem – pozwolisz mi dorzucić się nieco do rachunków.

– Mowy nie ma!

– A już się cieszyłam na następne spotkanie... – rzekłam niewinnie, składając usta w smutną podkówkę.

– Szantażystka! – skwitowała.

– Nazywaj mnie jak chcesz!

– Porozmawiamy o tym po twoim powrocie z Bali, dobrze?

– Przedyskutujemy to jutro wieczorem, bo dziś jesteś już zajęta.

– Niech i tak będzie – zgodziła się w końcu, nie całkiem przekonana – a teraz chodź do wody, bo przyjechałyśmy tu się zrelaksować.

Nie skorzystałam z oferty, a jedynie zamknęłam oczy i rozkoszując się ciepłem, pięknym otoczeniem oraz wizją udanych wakacji, zasnąłam.

Po powrocie do China Town udałyśmy się razem na

małe zakupy mające na celu uzupełnienie zasobów spożywczych. W końcu, jak wyraziła się moja gospodyni, w lodówce powoli zaczynało dominować światło. Żartując w najlepsze, zrobiliśmy razem małą popołudniową przekąskę, by zregenerować zmęczone atrakcjami dnia ciało. Niestety ani posiłek, ani drzemka na plaży nie były dla mnie wystarczające. Mój organizm, prawdopodobnie dostosowując się do nowej strefy czasowej, zastrajkował wczesnym wieczorem, uniemożliwiając mi realizację większości z poczynionych planów. Kiedy tylko Ann-Marie wymknęła się z eleganckiej sukience w kolorze kości słoniowej na spotkanie z kolegą z pracy, zasiadłam przed jej komputerem i zaczęłam sprawdzać połączenia lotnicze z rajską wyspą Indonezji.

Porównując zarówno ceny, jak i terminy, zdecydowałam się zmienić nieco swoje plany i zamiast w piątek, wylecieć już w czwartkowy poranek, dając sobie tym samym nie trzy, a cztery noce w sercu tropikalnej dżungli. Czując, jak moje powieki stają się coraz cięższe, skoncentrowałam się na znalezieniu odpowiedniego noclegu. W końcu udało mi się trafić na niewielki, ale schludny pensjonat nad morzem, z dala od turystycznej części wyspy. Nie zwlekając z decyzją, od razu zarezerwowałam w nim pokój, by zyskać gwarancję udanego pobytu, pozbawionego zbędnych niespodzianek.

Po zakończonej sesji z komputerem zamierzałam wyjść do pobliskiej chińskiej knajpki po jakiś makaron na wynos lecz iestety poczułam, iż postawienie chociażby kilku kroków było wyzwaniem, któremu nie mogłam sprostać. Obiecałam sobie położyć się na jedną, krótką chwilę.

## Rozdział VII

### Gardens by the Bay

Zerknęłam na zegarek wskazujący szóstą rano. Czując uporczywe burczenie w żołądku, natychmiast przypomniałam sobie, iż nie udało mi się zjeść kolacji. Po szybkim prysznicu wkroczyłam do kuchni i pod wpływem chwili zdecydowałam się zrobić śniadanie – niespodziankę dla Ann-Marie, która wkrótce powinna się obudzić.

Zaparzyłam kawę, przygotowałam kanapki i zabrałam się za smażenie jajecznicy, gdy usłyszałam kroki zmierzające w moim kierunku.

– Kimkolwiek jesteś dobra wróżko, dziękuję ci za ten cudowny, apetyczny aromat świeżo mielonej kawy – rzekła, stając w drzwiach do kuchennego aneksu.

– O nie, nie, nie – zaprotestowałam – to ja posiadam dobre wróżki śpieszące mi z pomocą. Notabene, ty jesteś jedną z nich! Jako skromny Kopciuszek odwdzięczam się jedynie za twe wspaniałe serce okazane nieboraczcze w potrzebie.

– Pozwolisz, iż ripostę na ten temat wygłoszę po



porannej porcji małej czarnej. Jak na razie nie jestem w stanie sklecić sensownego zdania. Wróciłam do domu po pierwszej w nocy i spałam zaledwie kilka godzin – wyznała, sadowiąc się na jednym z kuchennych krzeseł.

– Rozumiem, że wieczór z Alanem należał do udanych – rzekłam domyślnie, podając jej filiżankę i dzbanek z naparem z ziaren kawowca.

– Mleko – mruknęła w odpowiedzi, łapczywie sięgając w stronę ciemnobrązowego, parującego jeszcze płynu – udany? Było fantastycznie!

– Cieszę się, że miło spędziłaś czas – skwitowałam, podając jej zarówno cukier, jak i dodatek, o który prosiła.

– Też mogłaś spędzić miło czas, gdybyś tylko oddzwoniła na ten nieznany numer, który się wczoraj do ciebie dobijał.

– Nie dobijał się, tylko raz zadzwonił – poprawiłam ją machinalnie – a wieczór należał do rewelacyjnych. Zarezerwowałam sobie zarówno bilet na Bali, jak i mały hotelik. Potem zaś rzuciłam się w ramiona bardzo przystojnego mężczyzny...

Nie dane mi było dopowiedzenie imienia mitycznego greckiego strażnika snów, bowiem Ann-Marie z wrażenia zakrztusiła się kawą i potrzebowała pilnej interwencji, na którą składało się kilka porządných uderzeń w plecy.

– Gdzie? Kiedy? Jak? Kto? – zasypała mnie pytaniami chwilę po tym, jak odzyskała możliwość swobodnego oddychania.

– Tu. Wczoraj. Zwyczajnie. Morfeusz – odpowiedziałam szybko na każde z jej pytań.

Zaśmiała się, nadal dusząc się chwilami kropelkami kawy tkwiącymi w tchawicy.

– Wyrabiasz się dziewczyno – pochwaliła w końcu – dałam się nabrać!

– Uczę się od mistrzyni – skwitowałam, podchodząc do patelni – jajeczniczy na bekonie?

– Chętnie. Ale uważaj, bo ja szybko przyzwyczajam się do dobrego. Rozpieść mnie, a nie wypuszczę cię potem tak łatwo.

– Już Alan postara się o to, byś była zajęta – rzekłam, stawiając przed nią talerz – Wymknę się jak pobiegiesz na następną randkę.

– A propo randek. Co zamierzasz robić, gdy ja będę zerkać niepewnie w kolejne rzędy cyferek na sprawozdaniach finansowych?

Dobre pytanie. Nie pomyślałam jeszcze o tym. Zastanawiając się nad odpowiedzią, zerknęłam na kwitnącą orchideę zdobiącą parapet okna. I to była właśnie odpowiedź na pytanie stulecia, a przynajmniej tego poranka!

– Zamierzam pogłębić swoją wiedzę botaniczną!

– Zatem ogrody. Teraz tylko pozostaje mi zgadnąć które! – stwierdziła, biorąc w usta kolejny kęs jedzenia.

– Oczywiście Gardens by the Bay – odpowiedziałam, ucinając wszelkie możliwe spekulacje – zafascynowały mnie, gdy przeglądałam strony turystyczne Singapuru.

– Faktycznie są niezwykle – przyznała – Gdybym tylko mogła, chętnie bym się tam z tobą wybrała. Niestety praca wzywa – rzekła, nieco nerwowo zerkając na zegarek – Znając twoje zamiłowanie do fotografii, nie wyjdiesz stamtąd przed wieczorem. Dlatego też, jeśli wolno mi coś doradzić, postaraj się wejść na SkyWay o zmierzchu, tak byś mogła zrobić zdjęcia ogrodów nocą.

– Z nazwy i opisu wnioskuję, że to jakaś atrakcja umiejscowiona powyżej poziomu ziemi...

– Nie będę psuła ci zabawy. Sama się przekonasz – odpowiedziała z uśmiechem, kończąc śniadanie – a teraz pora na mnie. Pysznic i do pracy. Miłego dnia!

– Wzajemnie – odpowiedziałam, jednak moje słowa rozplynęły się w pustce, bowiem Ann-Marie zdążyła już pobiec w stronę łazienki.

Przysiadłszy na krześle, zjadłam swoją porcję jajecznicy, ganiąc się jednocześnie w duchu za to, iż z tęsknoty za domowym jedzeniem pozbawiłam się okazji do spróbowania czegoś oryginalnego i niecodziennego w swym smaku. Cóż, zostało mi jeszcze kilka dni na

eksperymentowanie z nowinkami kulinarnymi.

Idąc futurystycznym, niezwykle zmysłnym w swym kształcie mostem, łączącym centrum z sercem Marina Bay, dostrzegłam dwie ogromne kopuły i wielkie drzewa przypominające koronkową konstrukcję. Natychmiast rozpoznałam w nich cel swojej wędrówki i gwóźdź programu dla wielu turystów odwiedzających Singapur.

Nie zważając na tłum ludzi, płynnie przemierzający się w obydwu kierunkach, przystanęłam przy barierce i sięgnęłam po aparat fotograficzny skryty w czeluściach torby. Naciskając przycisk raz po raz, słyszałam kolejne pstryknięcia migawki, świadczące o nowym zdjęciu zapisanym na karcie pamięci. Zdając sobie sprawę z unikalności światła lekko przedzierającego się przez pochmurne niebo, spróbowałam jak najlepiej uchwycić wyjątkowość i magię chwili. Zatraciwszy się we własnej pasji, zaczęłam robić fotografie nie tylko samej konstrukcji, ale i mijanego tłumu.

Jak zauroczona wpatrywałam się przez szkło obiektywu w małego chłopca, próbującego dogonić balonik, który chwilę wcześniej wyslizgnął się z jego drobnych, dziecięcych rączek. Niepomny nawoływań rodziców, biegł wprost przed siebie, śmiejąc się rozkosznie, zupełnie jakby jego radość mogła przywołać utraconą zabawkę, szybującą coraz wyżej ku niebu.

Przeniosłam oko aparatu na postać młodego chłopaka, który chwycił w dłonie niesioną przez siebie gitarę i, oparłszy się o balustradę mostu, zaczął niespodziewanie grać. Kilka melodyjnych taktów, które zakłóciły harmider miasta, skierowanych było w stronę grupy dziewcząt mijających go w międzyczasie. Nastolatki zaśmiały się tak czarująco, jak mogą dokonać tego niewiasty dopiero nieśmiało wkraczające w świat dorosłego flirtu. Jedna z nich posłała mu przy tym zalotne spojrzenie, w którym można było dostrzec tęsknotę, ale też strach przed zrobieniem pierwszego kroku.

Na koniec dostrzegłam parę staruszków trzymających się za ręce. Wpatrywali się w siebie z miłością i oddaniem, których na próżno szukać w większości współczesnych związków. Otaczając opiekuńczym ramieniem swoją towarzyszkę, mężczyzna wskazał jakiś nieokreślony punkt na horyzoncie, wywołując tym samym jej pełen nadziei uśmiech.

To wszystko działo się wokół mnie. Tam, na tym moście! W tym niezwykłym mieście! Dostrzegłam piękno codziennej chwili właśnie z perspektywy soczewek aparatu fotograficznego i starałam się uwiecznić je na zawsze. Pozwoliłam sobie marzyć, iż faktycznie moje prace mogą zyskać nowe życie i pokazać sens istnienia nie tylko grupie najbliższych przyjaciół, ale też zupełnie obcym ludziom, którzy staną

się ich odbiorcami.

Z uśmiechem na ustach szłam dalej, zbierając kolejne wspomnienia i ujęcia świadczące o niezwykłości dni spędzonych w małym państewku pośrodku Azji.

Robiąc sobie przerwę w spacerze po strefie śródziemnomorskiej kopuły Flower Dome, zasiadłam na ławce pod dorodnym drzewem, nie mogąc się nadziwić, w jaki sposób pod jednym dachem można było zebrać wszystkie strefy klimatyczne świata i rośliny najbardziej dla nich reprezentacyjne. Zaledwie krok dzielił mnie od olbrzymich baobabów i butelkowców, a dwa od kaktusów rosnących na bezdrożach Meksyku. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie słońce ogrzewające moją twarz gdzieś na wybrzeżu greckim. Uchylając powieki, spojrzałam na srebrzyste liście oliwki i wzięłam głęboki wdech.

Raj! Tak właśnie musiał wyglądać, zanim pierwsi mityczni ludzie zostali z niego wypędzeni. Piękno całego świata zebrane w jednym miejscu i tworzące harmonijną całość w swej odmienności.

Ruszyłam na spacer wśród kwiatów, których nazwy miałam okazję poznać dzięki tabliczkom informacyjnym. Dodatkowo piękne, delikatne światło spowijające wewnątrz Flower Dome sprzyjało wyjątkowo udanym ujęciom makro, wychwytyjącym niezwykle szczegóły poszczególnych kwiatów i roślin. Tyle cudów, a przecież czekała na mnie jeszcze kolejna

kopuła, kryjąca w sobie tropikalny las deszczowy!

Stojąc w kolejce do bramek prowadzących do Cloud Forest, poczułam jak ktoś delikatnie dotyka mojego ramienia. W mgnieniu oka przypomniałam sobie fakty dotyczące bezpieczeństwa w Singapurze. Zgodnie z informacjami zawartymi w niewielkiej broszurce internetowej, przestępczość była niezwykle mała, chociaż zdarzały się kradzieże kieszonkowe oraz „specjalne oferty” sprzedaży okazjonalnych przedmiotów naiwnym turystom. Nie było słowa o próbach napastowania w najsłynniejszych i najnowocześniejszych ogrodach tej niezwykłej wyspy! Ann-Marie ostrzegła mnie natomiast jedynie przed samotnymi, nocnymi spacerami po Little India.

Odwrociłam się gwałtownie, chcąc werbalnie napiętnować natręta, który naruszył moją przestrzeń osobistą. Już otwierałam usta, by wypowiedzieć pierwsze zdanie, gdy spojrzałam w piękne ciemne oczy otoczone firankami długich, naturalnych rzęs. Dokładnie tak, jak zapamiętałam, mrużyły się lekko, podkreślając uśmiech malujący się na ustach ich posiadacza.

– Witam, pani Adrianno – rzekł z radością w głosie pan Collins – spotykamy się ponownie!

Nie mogąc ukryć zaskoczenia, mieszającego się z błogością, wyszeptałam niezbyt wyraźnie:

– Dzień dobry... tak, faktycznie... co za niespodzianka.

– Plusem Singapuru jest jego wielkość. Zawsze można trafić na przyjazną twarz! Jak widzę oboje wybraliśmy się na zwiedzanie Cloud Forest. Czy pozwoli mi pani zatem towarzyszyć sobie?

„A kimże ja jestem, by ci tego zabraniać?” – pomyślałam, ciesząc się zarówno z jego obecności, jak i z właśnie wypowiedzianych słów.

– Będzie to dla mnie przyjemność. Los dał mi niespodziewaną okazję, bym podziękowała za prezent, który mi pan podarował.

Spojrzał na mnie zaskoczony, zupełnie jakby nie miał pojęcia, o czym mówię.

– Ja? Prezent? Nie przypominam sobie.

– Mówię o telefonie, który znalazłam w paczuszce wręczonej mi na pożegnanie – rzekłam, wyjmując smartfona z kieszeni plecaka.

– Pierwszy raz w życiu go widzę – stwierdził, idąc w zaparte – ale wydaje mi się, że nie warto tracić popołudnia na bezcelowe dyskusje o drobiazgach. Lepiej skupmy się na pięknie otaczającej nas natury.

– Zatem chodźmy na spotkanie tropikalnego lasu – rzekłam, wskazując ogromne wrota.

Kiedy tylko znaleźliśmy się w środku, poczułam jak pierwsze dreszcze zimna przeszywają moje ciało. Chociaż spodziewałam się wysokiej, wilgotnej temperatury, trafiłam na chłodne powietrze atakujące



mnie ze wszystkich stron. Usłyszałam szum wody i zobaczyłam ogromny wodospad. Opadał ku powierzchni ziemi z samego szczytu zielonej, porośniętej tysiącem roślin góry.

– Robi wrażenie, prawda? – zagadnął w tym czasie towarzyszący mi mężczyzna – gdy otworzono te ogrody, cały Singapur przyszedł je obejrzeć i chyba każdy oniemiał na widok tej konstrukcji.

– Nic dziwnego. Ta góra wydaje się nie mieć szczytu!

– Ma – zapewnił mnie szybko – nie mniej jednak to osiem poziomów podzielonych na sekcje tematyczne.

– Zatem, od czego powinniśmy zacząć zwiedzanie, panie Collins?

– Wystarczy Lee, jeśli tylko zgodzi się pani porzucić oficjalne formy.

– Myślę, iż jest to rozsądna propozycja – zgodziłam się chętnie – zatem, dokąd idziemy... Lee?

W chwili, kiedy wymówiłam głośno jego imię, poczułam jak lawina emocji nagle przewija się przez moje serce. Przyśpieszona akcja zdradziła podekscytowanie, fascynację, ale też niepewność. Przeszłam na kolejny poziom fascynacji kimś, kogo miałam już prawdopodobnie nigdy nie zobaczyć.

– Proponuję, byśmy wjechali windą na najwyższe z pięter, a następnie bez pośpiechu zeszli do podziemi.

– Brzmi świetnie! W drogę.

Zanim jednak dotarliśmy do doskonale ukrytych machin, przystawaliśmy minimum piętnaście razy, bowiem symbioza natury z formą użytkową, taką jak chociażby drewniane ławki, wprawiała mnie raz po raz w zachwyt.

– Jeśli dobrze się przyjrzesz, znajdziesz więcej rzeźb pochodzących z różnych zakątków Azji, chociaż nie przeczę, iż najwięcej jest tu okazów sztuki Timoru Wschodniego. Chociażby tam – wskazał niewielką, łatwą do przeoczenia figurkę, znajdująca się między pierwszym a drugim poziomem.

– Fascynujące – przyznałam, ustawiając jednocześnie ostrość aparatu – aż trudno uwierzyć, że człowiek mógł stworzyć coś takiego – rzekłam, robiąc przy tym serię zdjęć omawianej rzeźby.

– Ludzie od stuleci potrafią zaskakiwać samych siebie – odpowiedział nieco filozoficznie – weźmy na przykład takie piramidy. Wzniesiono je tysiące lat temu, a nadal trwają majestatycznie na środku pustyni, opierając się nie tylko pogodzie czy człowiekowi, ale też upływającemu nieuchronnie czasowi!

– To prawda. Niestety nowoczesność coraz bardziej rości sobie prawa względem Gizy. Współczesna, niestety niezbyt estetyczna, zabudowa podchodzi już niemal pod same wrota prowadzące do Sfinksa i zespołu świątynnego będącego przedsionkiem piramid.

Zatrzymał się na chwilę i zerkał z zaciekawieniem w

moim kierunku, podziwiając kwitnącą na biało orchideę.

– Jakże niesprawiedliwa bywa natura. Obdarza kwiaty cudownym aromatem i pięknym kolorem, ludziom dając niekiedy atrybut rozumu bądź przebłyski talentu – zaczęła tajemniczo, intrygując mnie swymi słowami na tyle, iż na moment zapomniałam o aparacie i zdjęciach, które zamierzałam wykonać – a w kreacji ciebie użyła nie tylko urody fizycznej, ale też umysłu, który może stać się powodem zazdrości wielu.

„Dobra! Facet ma gadane! Ma gadane jak jasna ciasna!” – pomyślałam, wpatrując się w niego, jak sroka w błyskotki. Cóż, nie zdarzało mi się codziennie, by ktoś obsypywał mnie na tyle wyjątkowymi i wyszukаныmi komplementami, bym mogła w sekundzie znaleźć na nie właściwą odpowiedź.

– Myślę, iż mogłabym polemizować z niektórymi punktami tej wypowiedzi, jednakże dziś po prostu podziękuję za tak miłe słowa – rzekłam w końcu, czując jak moje policzki powoli przybierają barwę dorodnej brzoskwini.

– Na dodatek skromna! – skwitował – ale na razie dość o tym. Chodźmy, bo powiem za dużo i uciekniesz speszona, nie dając mi szansy na wspólny spacer po moim ulubionym ogrodzie.

– Na taką zniewagę bym się nie zdobyła – zapewniłam, czując, iż za moment moje serce wywinie koziołka z radości.

By zatuszować nieśmiałość, ale też mieszane uczucia, zbliżyłam aparat do twarzy i wykonałam kilka zdjęć na chybił trafił, tylko po to, by skryć oblicze przed jego spojrzeniem.

Prawdopodobnie zorientował się, iż nie nawykłam do zbyt wielu komplementów, dlatego też płynnie zmienił temat i zaczął opowiadać o roślinach, które można było znaleźć we wnętrzu kopuły.

– Masz wyjątkowe szczęście. Wiele z nich właśnie zakwita, więc jeśli tylko fotografia makro znajduje się w obrębie twoich zainteresowań zawodowych, to zakładam, iż spędzimy tu kilka godzin... Jednak zanim tak się stanie, powinniśmy udać się do windy – stwierdził, ponaglając mnie nieco.

Podążając jego śladem, znalazłam się w niewielkim holu wyłożonym stalą czy też innym srebrzystym metalem. Ta chłodna konstrukcja dość mocno kontrastowała z naturą oddaloną o zaledwie kilka kroków.

– Myślę, że parę interesujących ujęć orchidei czy innych egzotycznych kwiatów mnie nie zabije – mruknęłam, zerkając na potężne drzwi, które zasunawszy się bezszelestnie, unieruchomiły nas w metalowej klatce mknącej w kierunku najwyższego piętra.

– Wspominałaś, że zamierzasz urządzić wystawę dotyczącą Singapuru, tak? – spytał, nawiązując do

rozmowy z naszego pierwszego spotkania.

– Jeśli tylko znajdę kogoś, kto będzie zainteresowany takim przedsięwzięciem – dodałam szczerze – w międzyczasie znajoma nasunęła mi jeszcze inny pomysł na wykorzystanie tych zdjęć.

– Zatem wakacje mimo wszystko okazują się całkiem pracowite?

– To nie praca, to czysta przyjemność – sprostowałam.

Kiedy tylko wygłosiłam te słowa, winda zatrzymała się bezgłośnie, a jej podwoje otworzyły się, wypuszczając nas na zewnątrz. Nie miałam szansy spojrzenia na niego, natomiast usłyszałam jego cichy chichot. Wiedziałam podświadomie, że w kącikach jego oczu czają się drobne zmarszczki mimiczne potwierdzające, iż jest człowiekiem ceniącym sobie uśmiech.

– Szczęśliwym jest człowiek, który kocha to, co robi – stwierdził, zatrzymując się i patrząc na mnie.

Czułam, że powinnam powiedzieć mu prawdę. Przecież poza kilkoma praktykami i skończoną fotografią na poziomie magistra nie miałam z tym zawodem wiele wspólnego. A jednak nie chciałam zniszczyć wizerunku Adrianny, jaki stworzył w swoich myślach. Próbując zignorować wyrzuty sumienia, ruszyłam przed siebie, zagłębiając się w zielony raj

pełen fascynujących roślin.

– Dość o mojej pracy. Jak to się stało, iż Lee mający ogromną wiedzę o historii i sztuce zajmuje się zawodem nie związanym z tymi dziedzinami życia? Wybierając świat eleganckich garniturów musiałeś zapomnieć o swoich pasjach – rzekłam, wskazując na jego niezwykle formalny ubiór, wyróżniający się na tle innych odwiedzających i samej natury.

– Lee kocha wszystko, co związane ze sztuką. Niestety jako jedynak utknął w firmie będącej spuścizną po ojcu, dlatego też stara się łączyć ze sobą te dwa odmienne światy. Fotografia może zawierać w sobie nie tylko walory estetyczne będące częścią składniową pojęcia „sztuki użytkowej”. Przy odrobinie wysiłku ze strony fotografa potrafi również nawiązywać do wiedzy ogólnej, dostępnej większości ludzi i w ten sposób, na poziomie podświadomości, ma szansę wywierać na nich oczekiwany wpływ. Poprzez obraz, tak samo jak i dźwięk, jesteśmy w stanie kształtować nie tylko popyt i podaż, ale również indywidualne potrzeby wybranych konsumentów.

– Mam wrażenie, że całkiem dobrze ci to idzie – stwierdziłam, zatrzymując się przy niewielkim stawie ozdobionym rzeźbami krokodyli – mieszkając tu można poczuć się, jakby żyło się na dachu świata. Wszystko, o czym zamarzysz, znajduje się na wyciągnięcie ręki – dodałam, wskazując na całe otoczenie.

Przystanął obok mnie, chociaż zdecydowanie zbyt blisko, by nazwać tę postawę wyłącznie przyjacielską. Kładąc delikatnie dłoń na moim ramieniu, spojrzał mi głęboko w oczy. Dostrzegłam w nich sympatię do świata, ale też smutek czający się w ciemnych źrenicach.

– Czasami życie tutaj przypomina złotą klatkę. Luksusową, zasobną, wygodną, nie mniej jednak nadal jest to tylko zamknięcie ograniczające to, kim jesteśmy w głębi naszych serc.

– Zawsze istnieje możliwość dobudowania tarasu, który da poczucie wolności – rzekłam, pozostając pod wpływem jego hipnotyzującego spojrzenia.

Uśmiechnął się, ale tym razem nie było w tym grymasie cienia radości.

– Taras powiadasz? Ale jak to zrobić?

– Krótki wyjazd, hobby, spotkanie z przyjaciółmi...

„Bliska sercu kobieta” – dodałam w myślach, nie mając odwagi wypowiedzieć tych słów na głos.

– Masz rację, ale taki pracoholik, jak ja, nie ma na to czasu. Zawsze jest jakiś kontrakt do zdobycia, podpisania lub zrealizowania. Wciąż istnieje obawa, że ktoś inny okaże się szybszy, lepszy, skuteczniejszy...

– Powinieneś być bardziej pewien swoich umiejętności i zespołu, którym dysponujesz. Zresztą chyba nieco przesadzasz z tym brakiem czasu. Dochodzi godzina druga po południu – zażartowałam, zerkając na

zegarek – a ty beztrąsko spacerujesz sobie po ogrodach, niepomyślny obowiązków zawodowych.

– A może rzuciłem wszystko, by skrócić chociażby kilka chwil z twego życia i nacieszyć się towarzystwem kogoś, kto w niewytłumaczalny sposób nie tylko mnie rozumie, ale też jest moją pokrewną duszą?

„Jak to możliwe, iż on ma odpowiedź na wszystko?” – pomyślałam gorączkowo – „Dodatkowo jeszcze każde z jego słów niebezpiecznie przyśpiesza mój puls, wywołując falę ciepła. Mam trzydzieści lat, więc nie powinnam ulegać ani chwilowym porrywom serca, ani też magii słów złotoustego przystojniaka”.

– Tak łatwo jest odnaleźć kogoś podobnego sobie?

– A kto powiedział, że jest to proste? Może po prostu tamtego wieczora miałem ogromne szczęście? Jakieś dobre duchy sprowadziły cię do Singapuru...

– Raczej dobre wróżki... – sprostowałam machinalnie, myśląc o swoich przyjaciółkach.

– Nazwij to jak chcesz... Spotkanie przed Hotelem Fullerton było nam pisane.

– I od razu wydrenowało twoją kieszeń – dodałam nieco kpiąco.

– Znowu wracasz do tej małej znaczącej sprawy? Nie warto, to tylko drobnostka.

Jasne! Dla ciebie! W Polsce to prawie półtorej przeciętnej pensji.



– Nie jestem podrywaczem ani naiwnym idiotą. Wiem, że nasze drogi zetknęły się tylko na moment, ale czy jest coś złego w tym, iż pospacerujemy razem po tym magicznym miejscu lub wypijemy kawę w przytulnej kawiarence?

Facet stawia sprawę jasno, niczego nie ukrywając. Punkt dla niego! Nie ma ochoty na dłuższy flirt ani złudny związek. I chyba tak jest właśnie najbardziej uczciwie – odpowiedziało mi serce.

– Nie – odpowiedziałam niemal szeptem, nadal wpatrując się w jego oczy – chyba każdy potrzebuje czasem przyjaciela spoza kręgu swojego codziennego życia – przyznałam – Pokaż mi zatem te ogrody i posprzeczaj się ze mną w sprawie sztuki, zupełnie jakby czas na moment stanął w miejscu.

– Piękna, utalentowana, skromna i wyrozumiała. Mężczyźni w Polsce muszą być wyjątkowymi szczęściarzami, mając szansę na zdobycie tak cudownych kobiet, jak ty.

– Nie zawsze doceniamy to, co życie podtyka nam pod sam nos – rzekłam, odwołując się nie tylko do jego ostatniej wypowiedzi, ale też do narzekania na życie w jednym z najbogatszych państw na świecie.

Reszta spaceru po Cloud Forest minęła w dużo luźniejszej atmosferze, a nasze rozmowy dotyczyły jedynie podróży, sztuki i drobnych radości życia codziennego. Lee po raz kolejny udowodnił, iż jest

doskonałym rozmówcą, ale też pokazał, że można z nim w przyjemny sposób pomilczeć. Nie czynił żadnych aluzji dotyczących mojej urody czy talentu, jakby nagle pożałował, że ośmielił się na coś takiego. Zachowywał niewielki dystans, ale był on raczej odgrodeniem sfery przyjacielskości od niebezpiecznego flirtu, o który nasza konwersacja niebezpiecznie ocierała się na wstępie.

Z anielską wprost cierpliwością czekał, aż obfotografuję poszczególne kwiaty, rośliny czy rzeźby, zasypując mnie w tym czasie kolejnymi ciekawostkami dotyczącymi danego okazu.

– Jest w tobie coś z dziecka – rzekł, kiedy spacerowaliśmy po ostatnim już poziomie kopuły – potrafisz dostrzec piękno w szczególe i uśmiechnąć się na widok niewielkiej roślinki. Zazdrozczę ci tego – wyznał niespodziewanie.

– Nie ma czego zazdrościć – skwitowałam jego słowa wzruszeniem ramion – po prostu spójrz na swoją codzienność z innej perspektywy. To, co tobie jawi się jako coś oczywistego, może być również nowym obiektem wymagającym dokładnych oględzin.

– Trudno jest wyzbyć się kulturowego filtru zwykłości – stwierdził nieco sceptycznie, nie wierząc, że można tego dokonać.

– Oczywiście. Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo. Jednak uwolnienie się od starych nawyków związanych z

postrzeganiem otoczenia jest możliwe. Kiedy będziesz jadł dziś kolację, weź kęs jedzenia, zamknij oczy i pozwól sobie poczuć smak każdego ze składników dania. Rozpoznaj słodkość, cierpkość lub ostrość danej potrawy. Rozkoszuj się nią, jakbyś jadł ją pierwszy raz w życiu. Wyjrzyj przez okno swego mieszkania, przypatrz się widokowi, który się za nim roztacza. Albo wyjdź na taras, jeśli go posiadasz i popatrz w górę. Spróbuj dostrzec gwiazdy. W nich ukryte są marzenia wszystkich ludzi i piękno całego świata.

Mówiąc to, poczułam, iż powinnam zastosować się do własnej rady. Wbrew temu, co prawdopodobnie myślał właśnie Lee, tych rzeczy brakowało od dawna również w moim życiu. Dopiero teraz, za sprawą tej podróży, zaczęłam je na nowo odkrywać i doceniać.

– Spróbuję i na pewno zawiadomię cię o wynikach tego eksperymentu. Oczywiście o ile tym razem odbierzesz.

– To byłeś ty? – spytałam, zapominając nagle o głównym wątku rozmowy.

– Oczywiście. Chciałem zapytać jak ci idzie zwiedzanie Singapuru.

Już miałam wyjaśnić dlaczego nie mieliśmy szansy porozmawiać przez telefon, gdy dźwięk jego komórki przerwał mi w pół słowa. Mężczyzna zerknął na wyświetlacz i lekko skrzywił twarz, po czym przeprosił mnie, odchodząc na bok. Do mych uszu docierały

jedynie strzępki rozmowy, jednak mogłam z nich wywnioskować, że tłumaczył się przed kimś ze swojej nieobecności.

– Przepraszam, wypadło mi coś ważnego... Obiecuję... Tak, tak na pewno...

Nie, wcale nie podsłuchiwałam! To nie moja wina, iż mówił tak głośno, że większość słów docierała do mych uszu bez większych zniekształceń.

„Swoją drogą, co i komu obiecuje?” – zastanawiałam się – „Czyżby spotkanie ze mną okupił wysoką ceną?”

Zagłębiając się w myślach nawet nie zauważyłam, kiedy mój towarzysz zakończył rozmowę i powrócił do mego boku.

– Ziemia do Adrianny, jesteś tu? – spytał, żartując z mego zadumania – Przepraszam, firma – wytłumaczył.

– Oczywiście, nie ma problemu. Nie masz oficjalnego urlopu, jak ja.

– Niestety – stwierdził ze smutkiem – o czym to mówiliśmy? A tak, nie odebrałaś mojego telefonu, a ja chciałem jedynie zapytać jak mija ci czas.

– Byłyśmy na wyspie Sentosa – wyjaśniłam – Wiesz... Plaża, morze... Nie słyszałam dźwięku dzwonka, zresztą nie spodziewałam się go.

– My?

– Ja i moja przyjaciółka...

– No proszę, zadamawiasz się tutaj. Kto wie, może z nami zostaniesz.

– Nie, to raczej niemożliwe – odpowiedziałam szybko. Może zbyt szybko.

– „Są rzeczy na niebie i ziemi, o których się filozofom nie śniło” – odpowiedział, cytując Williama Shakespeare’a – lub, jak to stwierdzili twórcy Bonda, „Nigdy nie mów nigdy”.

Nie mogłam się nie zaśmiać! Kompletnie podbił me serce zestawieniem słów wielkiego dramaturga i reprezentantów popkultury.

– Zatem powinnam chyba zamilknąć i przemknąć przez tę pamiątkową bramę w kształcie otwartej paszczy lwa – odrzekłam, podbiegając do rzeźbionego portalu.

Zachichotał beztrzesko, obserwując moje dziecinne zachowanie. Niespodziewanie wyjął z moich rąk aparat fotograficzny i, odbezpieczwszy blokadę, zaczął robić mi zdjęcia.

– Karma wraca – szepnął – skoro zrobiłaś tyle zdjęć, to teraz ktoś musi uwiecznić ciebie i twoją szaloną naturę – zażartował, nie odrywając palca od przycisku zwalniającego migawkę.

W odpowiedzi na jego słowa pokazałam język i zawirowałam wokół własnej osi, robiąc przy tym wymyślone i przerysowane pozy słynnych modelek, znanych z pierwszych stron czołowych magazynów.

– Świetnie – podsumował – zrób dzióbek, inaczej żadna z tych fotek nie będzie miała racji bytu na Facebooku! – dodał, nawiązując do mody panującej wśród nastolatek.

– To bez znaczenia. Nie bawię się w żadne portale społecznościowe. Nie mam na to ani czasu, ani ochoty... Zresztą co bym zrobiła z trzema czy czterema znajomymi?

Zamarł i opuścił aparat, ukazując swoją twarz. Wyglądał na zaskoczonego.

– Nie prezentujesz swojej twórczości w mediach społecznościowych lub na własnej stronie internetowej? Nie udzielasz się na forach dla fotografów? Przecież teraz nawet domorośli amatorzy tworzą profile reklamujące ich ujęcia.

– Jakoś nigdy nie było ku temu okazji – mruknęłam niezadowolona, iż beztroski nastrój przysł niczym mydlana bańka.

– Powinnaś! Dobre fotografie reklamują się same. Zyskałabyś wiele zleceń – zapewnił.

– Być może, ale nie chcę myśleć teraz o pracy.

– Przepraszam, masz absolutną rację – przyznał skruszony.

Przeszliśmy przez ogromne wrota i nagle rajski świat został gdzieś za nami. Wróciliśmy do teraźniejszości i tętniącego życiem miasta. Sklep z pamiątkami

przypomniął o tymczasowości naszego spotkania.

– Ann-Marie wspominała coś o SkyWay, wiesz gdzie to jest?

– Nie byłaś jeszcze w ogrodach na wolnym powietrzu?

Pokręciłam przecząco głową, czując, iż popełniłam jakieś wielkie niedopatrzenie, które prawdopodobnie nie było godne wybaczenia.

– Nie – przyznałam w końcu – widziałam je jedynie z daleka. Zaciekawiły mnie te ogromne koronkowe konstrukcje górujące nad całością.

– Niestety muszę już wracać do pracy – rzekł, zerkając na elegancki zegarek zdobiący przegub jego lewej ręki – ale uważam, że powinnaś zobaczyć Super Drzewa i dowiedzieć się o nich czegoś więcej. A na SkyWay warto się wybrać o zachodzie słońca i zobaczyć panoramę miasta nocą.

– To samo powiedziała moja przyjaciółka... – przyznałam, nie chcąc komentować pierwszej części jego wypowiedzi.

– Zatem doskonale wiedziała, co mówi.

Przytaknęłam, milcząc. Czując, że zaraz usłyszę nieuchronne „do widzenia”, skoncentrowałam się na tym, by nie okazać zawodu spowodowanego jego nagłą ucieczką.

– Dziękuję za to miłe popołudnie. Muszę przyznać, że

było znacznie ciekawsze, niż potencjalne spotkanie z udziałowcami – zachichotał niczym mały, postny chłopiec – zastosuję się do rady, której mi udzieliłaś i zadzwonię poinformować o efektach.

– Zgoda. Będę czekać na wiadomość czy udało ci się chociażby przez chwilę cieszyć życiem – wyszeptałam, podając mu dłoń na pożegnanie.

Jego ciepłe palce lekko, ale zdecydowanie ścisnęły moją rękę i przyciągnęły mnie delikatnie do niego. Mrużąc lekko powieki, spojrział mi głęboko w oczy.

– Jesteś chodzącą radością życia. Nie sposób zapomnieć o cudach codzienności, gdy jesteś blisko i stale o nich przypominasz samą swoją obecnością.

Oniemiałam. Spodziewałam się wielu różnych słów, jednak nic nie przygotowało mnie na to, co właśnie usłyszałam. Lee w tym czasie wykorzystał moje zaskoczenie – mrugnął do mnie zalotnie, skłonił się lekko i odszedł w stronę centrum.



## Rozdział VIII

### Pulau Ubin

Soczysta zieleń otaczająca mnie ze wszystkich stron nagle straciła swój urok, a i nastrój nagle zmienił się na gorszy. Mimo, iż znalazłam się w sercu Gardens By the Bay, mojego marzenia, zapragnęłam nagle wrócić do domu.

„Uważaj! Zakochujesz się” – przestrzegłam w myślach samą siebie – „a on przecież zaznaczył, że nasze drogi zetknęły się tylko na chwilę. Czy oby na pewno chcę tęsknić za kimś, kogo już więcej nie zobaczę? Nie! Więc prawdopodobnie powinnam wziąć się w garść i zobaczyć te Super Drzewa, o których wspomniał sprawca moich dylematów”.

Zadarłam głowę i spostrzegłam kilka form tworzących coś na kształt drzew z rozłożystymi koronami, dającymi ochronę niższym poziomom lasu. Konstrukcje wzniesione przez człowieka idealnie zharmonizowały się z otaczającą je naturą.

Podchodząc do jednej z nich, zorientowałam się, iż Super Drzewa stanowią unikalną symbiozę naturalnej

roślinności regionu i nowoczesnej architektury użytkowej. Setki bluszczy, storczyków i innych pnączy, których nie potrafiłam nazwać, pięło się systematycznie do góry, pokrywając żywą powłoką metalowy szkielet.

Rozejrzałam się, niepomna innych odwiedzających mogących zwrócić uwagę na moje niecodzienne zachowanie. Pośpiesznym krokiem podeszłam do kolejnej olbrzymiej struktury tylko po to, by przekonać się, iż została stworzona w dokładnie ten sam sposób, co poprzednia.

Zerknęłam na ulotkę, którą wciśnięto mi podczas zakupu biletów do jednej z kopuł i czytając pośpiesznie zamieszczone informacje, dotarłam w końcu interesującej mnie wzmianki. „Niemal samowystarczalne ekosystemy kumulujące: wodę potrzebną do przetrwania i rozwoju roślin, jak również energię słoneczną, niezbędną do wieczornej iluminacji parku”.

Technika, techniką, ale trzeba przyznać, że projektanci tego miejsca wykazali się nie tylko inteligencją, ale też doskonałym smakiem i wyważeniem w zastosowanych proporcjach natury i nowoczesności.

Idąc ku sercu całego parku, spostrzegłam, iż najwyższe z drzew połączone są ze sobą kładką, po której przechadzali się turyści. Nie trudno było się domyślić, iż właśnie udało mi się odnaleźć ostatni punkt programu.

Do zachodu słońca zostało jeszcze trochę czasu, dlatego też skoncentrowałam się na ujęciach z poziomu ziemi. Uwieczniłam również ludzi odpoczywających na ławkach i leżących na chodniku.

Grupa młodzieży, skupiona pod jedną z konstrukcji, w tym czasie dyskutowała głośno na temat zasadności istnienia ruchów ekologicznych oraz potrzebie uświadamiania większych grup społecznych. Przystanąłam na moment, przysłuchując się jednemu z młodych ludzi, który wypowiadał się dość radykalnie na ten temat. Zdecydowanym tonem opowiadał o zagrożeniach i tym, iż bez rychłej zmiany podejścia do ochrony środowiska nasze wnuki odziedziczą zupełnie wyniszczoną i niezdatną do życia planetę. W myślach, ze smutkiem, przyznałam mu rację.

Powoli zaczynało zmierzchać, dlatego ustawiłam się najpierw w kolejce po bilety, a później do widny unoszącej zwiedzających na poziom podniebnej kładki. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam po wjechaniu na górę, była tablica przedstawiająca szereg zakazów i nakazów. No tak, nadal znajdowałam się w Singapurze, mieście słynącym z wszelkiego rodzaju kar. Przecież nawet za żucie gumy na ulicy można dostać mandat!

Krok po kroku, nie śpiesząc się, ruszyłam na przód, podziwiając nie tylko niezwykłą panoramę ogrodów, ale i fragmentu miasta. Ostatnie promienie słońca sprawiały, iż okolica wyglądała, jakby została

stworzona z czystego złota. Delikatne refleksy na powierzchni morza, zdradzające lekką falę od południa, stanowiły dopełnienie idyllicznego obrazka.

Wraz z ogarniającym świat mrokiem, Super Drzewa powoli zaczęły rozświetlać się jasnym, różowym bądź fioletowym blaskiem. Podkreślał on nie tylko czystą formę struktur, ale przede wszystkim urodę i różnorodność porastających je roślin. Współczesny las, wzniesiony w sercu światowej metropolii, rozjaśnił się tysiącem lamp, tworząc niezwykle widowisko cieszące oczy zebranych ludzi.

Przystanąłam w połowie drogi i, zmieniawszy obiektyw, dostosowywałam na bieżąco manualne ustawienia aparatu. Warunki, w jakich przyszło mi robić zdjęcia, nie należały do najłatwiejszych, bowiem wymagały ode mnie nie lada zwinności, mającej na celu uniknięcie barierek zabezpieczających. Oczywiście mogłabym usunąć je w Photoshopie, ale nie byłaby to już sztuka fotografii w pełnym tego słowa znaczeniu. Dlatego też cierpliwie, bez pośpiechu, niekiedy przepuszczając kolejnych turystów, skupiałam się na swojej pracy.

Ujęcie po ujęciu przekonywałam się, iż nawet wieczorową porą ogrody mogą być cierpliwą i pełną wewnętrznego wdzięku modelką. Co prawda kilka kadrów trzeba było powtórzyć, bowiem wyszły lekko zamazane i rozmyte, ale musiałam się z tym liczyć,

skoro nie używałam statywu.

Niestety nie było mi dane nacieszyć się do woli pięknym widokiem roztaczającym się z podniebnej kładki. W pewnym momencie podszedł do mnie jeden ze strażników i upomniał mnie, iż pobyt na SkyWay ograniczony jest czasowo. Dodał również, iż powinnam niezwłocznie udać się w stronę windy zabierającej turystów z powrotem na poziom ziemi. Przeprosiłam za swoją niewiedzę i obiecałam, że już ruszam przed siebie, mrużąc pod nosem co bardziej obrazowe przekleństwa skierowane przeciwko restrykcyjnym przepisom. Zerkając na nieboskłon przybierający barwę ciemnego granatu, zorientowałam się, iż prawdopodobnie faktycznie zasiedziałam się na górze skandalicznie długo. Spojrzałam na zegarek i z przerażeniem odkryłam, iż minęła dziewiąta wieczorem. Jakby na potwierdzenie tego faktu, poczułam silne ssanie w żołądku, świadczące o wielogodzinnym, niezaspokojonym głodzie.

Rozmyślając o Singapurze oraz o czarującym Lee, zasnęłam zanim jeszcze Ann-Marie wróciła do domu. Obudziłam się dopiero nad ranem, stwierdzając, iż poranek nadszedł zdecydowanie zbyt wcześnie. Pod wpływem pierwszego, wewnętrznego impulsu zamarzyłam o pozostaniu w łóżku jeszcze przez kilka godzin, jednak rozsądek szybko wziął górę nad lenistwem, przypominając o wyspie opisanej w niedzielę

przez Ann-Marie. Pulau Ubin będące ostatnią ostoją dzikiej natury, nie zagarniętą przez wielkie koncerny, kryjące się za jeszcze większymi fasadami wieżowców.

Wstałam i po szybkim prysznicu wkroczyłam do kuchni, by przygotować śniadanie dla siebie i Ann-Marie, która powinna pojawić się w drzwiach żadna czegokolwiek nadającego się do spożycia.

– Kawy! – usłyszałam od progu, rozpoznając schrypnięty głos Australijki – potrzebuję kawy!

– Już się robi – zapewniłam, podając jej filiżankę i dzbanek z gorącym płynem – mleko i cukier? – spytałam, odwracając się w stronę lodówki.

– Tak. Jesteś nieoceniona.

– Dzięki, a ty wydajesz się przemęczona – stwierdziłam rzeczowo, pozwalając sobie na dozę szczerości.

– Alan wyciągnął mnie na spacer nad rzeką, a potem wypiliśmy jeszcze po piwie w jednym z barów – przyznała, ciesząc się jak dziecko – nie wiem, co mu się stało, że tak nagle zwrócił na mnie uwagę, ale nie zamierzam nawet wnikać. Niechaj trwa to jak najdłużej.

– Odezwała się kobieta dwudziestego pierwszego wieku, której mężczyzna jest zbędny – podsumowałam nieco sarkastycznie – wiesz, że feministki zjadłyby cię żywcem za podobną wypowiedź? – spytałam już bardziej łagodnym tonem.

– Jasne, z zazdrości, że mam szansę na takiego cudownego faceta – odparła z coraz szerszym uśmiechem.

– Prawdopodobnie masz rację. Kanapkę?

Dostrzegłam w jej oczach zdziwienie, ale i wdzięczność.

– Wzięłaś sobie za cel matkowanie mi? Po co wstajesz tak wcześnie? Naprawdę nie trzeba! Mogę kupić jakiegoś croissanta po drodze do pracy.

– Tracić czas na spanie? Niedoczekanie twoje – zaśmiałam się – zaraz pędzę na metro, bo muszę się dostać do Changi Ferry Terminal.

– Pulau Ubin?

– Jakżeby inaczej? Powinnam właściwie zagospodarować ten dzień.

– Jasne. A jak tam Gardens by the Bay? Podobało ci się? Zdarzyło się coś godnego uwagi, o czym chciałabyś poplotkować przy śniadaniu?

Gdybym nie wiedziała, że to niemożliwe, od razu pomyślałabym, iż Ann-Marie wiedziała coś na temat mojego przypadkowego spotkania z Lee Collinsem. Oczywiście był to nedorzeczny pomysł, dlatego z miejsca odrzuciłam jakiegokolwiek próby stawiania podchwytliwych pytań.

– Ciekawe, nie powiem. Zarówno obie kopyły, jak i Super Drzewa zachwyciły mnie. Nie tak jednak, jak

towarzystwo pewnego gentlemana, który przez krótki moment wczorajszego dnia spacerował wraz ze mną.

– Słucham? Znowu kogoś poderwałaś? Jakim cudem? Ja kilka ostatnich miesięcy nie mogłam trafić na nikogo właściwego – rzekła z udawanym oburzeniem, ale i z niedowierzaniem.

– A kto powiedział, że to ktoś nowy? – spytałam niewinnym głosem, wgrzyzając się w kanapkę.

– Spotkałaś tajemniczego przystojniaka o twarzy aktora z Hollywood? – wykrzyknęła, odstawiając filiżankę z kawą na stolik – Ale jak to?

– Samo jakoś tak wyszło. Stał w kolejce do Cloud Forest. Tak samo, jak ja. Podszedł i przywitał się. Spacerując razem, porozmawialiśmy nieco na temat sztuki, życia, pracy... Nic nadzwyczajnego.

Ann-Marie przyjrzała mi się uważnie, przechylając nieco głowę, jakby spoglądała na niesforne dziecko.

– Pomyśl, biznesmen w środku dnia wybrał się do egzotycznych ogrodów? Przecież to pachnie szwindlem na kilometr! Musiał cię zauważyć jak szłaś ulicą albo, co gorsza, śledzi cię!

– Bez historii spiskowych proszę – upomniałam ją szybko – zanim go spotkałam, zdążyłam już zwiedzić kopułę prezentującą roślinność całego świata. Gdyby szedł za mną od jednej z głównych ulic, to dlaczego zwlekałby tak długo z ujawnieniem się?



– By to spotkanie naprawdę wyglądało na przypadkowe?

– Bzdura.

– Zatem pozostaje tylko druga z możliwości. Ktoś na jego polecenie śledzi cię od piątkowego wieczoru. Adrianno, proszę cię, uważaj! Co prawda nie słyszałam o fali tajemniczych zaginięć w Singapurze, ale w pobliskiej Malezji czy Tajlandii zdarzają się porwania młodych dziewcząt. W ich efekcie kobiety trafiają do burdeli albo gorzej, kończą na stole operacyjnym jako nielegalne dawczynie narządów wewnętrznych!

– No to ładnie mnie zachęciłaś do dalszego zwiedzania. Ta informacja na pewno uprzyjemni mi samotny pobyt na Bali!

– Nie chcę, by coś ci się stało. Po prostu proszę cię, uważaj na tego faceta. Wiesz przynajmniej, jak on się nazywa? – spytała z troską w głosie.

– Oczywiście. Lee Collins.

Oczy mojej rozmówczyni momentalnie się rozszerzyły, a ona sama niespodziewanie usiadła z powrotem na krześle, które zajmowała jeszcze kilka chwil temu.

– Collins? To znane nazwisko w branży reklamowej... ale kojarzy mi się w Bradem Collinsem, przyjemnym starszym panem... Podobno zdobyli kontrakt na kampanię promującą fioletowe złoto.

– Promującej co? – powtórzyłam za nią jak papuga, pierwszy raz w życiu słysząc o podobnym cudzie.

– Fioletowe złoto to wytwór tutejszych mistrzów jubilerskich. Singapur opatentował tę metodę, dzięki czemu tylko kilka miejscowych firm ma prawo je produkować. Gdybyś zajrzała do jakiegokolwiek złotnika, poza tymi w Little India oczywiście, bez trudu znalazłabyś te wyroby na najbardziej wyeksponowanej części witryny. Są fantastyczne!

– Singapur potrafi zaskakiwać na każdym kroku – stwierdziłam rzeczowo – jednak zapewniam cię, Lee nie jest starszym panem. Na pewno przekroczył już trzydzistkę, może nawet stuknęło mu trzydzieści pięć lat, ale do zaawansowanego wieku jeszcze mu daleko.

– Zaraz go sobie sprawdzimy – rzekła z wyważonym spokojem, sięgając po tablet leżący na kuchennym parapecie.

Kilka wprawnych ruchów po powierzchni ekranu, szybkie wstukanie imienia i nazwiska na niewidzialnej klawiaturze i wyszukiwarka ukazała przeszło tysiąc rezultatów na zapytanie „Lee Collins, Singapur”.

– Faktycznie, niczego sobie ciasteczko – rzekła, powiększając jedną z fotografii – niestety kochana, mimo iż wcześniej zachęcałam cię do potrzymania tej znajomości, teraz chyba powinnam ci ją odradzić! I to zdecydowanie!

– Nie moja liga? – spytałam domyślnie, powracając pamięcią do jednej z naszych wcześniejszych rozmów.

Milcząc, Ann-Marie zerkała co chwila na kronikę towarzyską, pełną doniesień na temat młodego dziedzica reklamowej fortuny. Największe osobistości świata biznesu, ale też najpiękniejsze z modelek, lśniące niczym nieskazitelne diamenty, obracały się w jego towarzystwie.

– W tej lidze gra może pół procenta całej światowej populacji – odpowiedziała grobowo poważnym tonem – nie chciałabym, by złamał ci serce, bo wiem, jak dużo ten wyjazd dla ciebie znaczy.

– Spokojnie, zdaję sobie sprawę, że jestem tylko chwilowym kaprysem. Zresztą Lee sam powiedział wczoraj, że nasze drogi życiowe zetknęły się tylko na moment. Nie mam złudzeń, więc niemożliwością byłoby zranienie mnie emocjonalnie. Poza tym w czwartek wczesnym rankiem lecę na Bali, zapomniałaś?

– Po prostu uważaj na siebie i baw się dobrze na Pulau Ubin – dodała szybko, chcąc złagodzić ostrzeżenie zawarte na początku zdania – pędzę do pracy.

– Miłego dnia! – rzekłam, patrząc jak biegnie w stronę holu.

Nagle Ann-Marie zamarła, obróciła się w moją stronę i wydukała niepewnie:

– Wybierzemy się gdzieś na kolację wieczorem?

Zaskoczyła mnie tą propozycją. Przecież jeszcze zaledwie kilkanaście chwil temu pozostawała pod całkowitym urokiem Alana, będącego powodem jej chronicznego niewyspania i zmęczenia.

– Nie jesteś umówiona ze swoją nową sympatią?

– Odwołam. Muszę mieć na ciebie oko.

– Nie jestem dzieckiem, by mnie doglądać – skwitowałam szybko.

– Ty nie, ale pan Collins przyzwyczajony jest sięgać po każdą zabawkę, która wpadnie mu w oko. Tym razem jednak ktoś musi mu tego zabronić – rzekła hardo.

– Ale...

– Do wieczora. Wychodzimy punkt dziewiętnasta! – odkrzyknęła z holu i zatrzasnęła za sobą drzwi wejściowe.

Co dzieje się z Kopciuszkiem, gdy jedna z dobrych wrózek, bo Ann-Marie niewątpliwie nią była, staje się przewrażliwiona? Cóż, dziewczę dostaje zakaz wychodzenia z domu i musi przegapić uroczysty bal, na którym powinno spotkać swego księcia z bajki! Ciekawe, jak bracia Grimm poradziliby sobie z taką ewentualnością w swojej wersji tej historii?

Jeśli ktokolwiek ma ochotę uciec od cywilizacji, drapaczy chmur i wszystkiego, co nowoczesne, to paradoksalnie Singapur jest jednym z lepszych wyborów. To niezwykle rozwinięte państwo oszczędziło

przed cywilizacją niewielką wysepkę, na której można urządzić sobie piknik i zetknąć się z prawdziwą, dziką przyrodą.

Po przybyciu na miejsce trafiłam na wypożyczalnię rowerów. Tam którejś miła starsza kobieta poinformowała, iż doskonałe trasy, po których można poruszać się jednośladem, doprowadzą mnie do wielu ciekawych zakątków, o jakich do tej pory mogłam jedynie marzyć. Jedno trzeba jej przyznać: Nie kłamała!

Gęsta dżungla, pnące się ku górze palmy, zarośla tak gęste, iż można by było ciąć je maczetą, puste plaże, małe laguny i tereny podmokłe. Udało mi się nawet ujrzeć na własne oczy lasy namorzynowe, o których do tej pory jedynie czytałam w pismach podróżniczych. Trudno by mi było opisać to wszystko, co zobaczyłam w ciągu kilku godzin na tej nieznannej wyspie Singapuru, dlatego też zrobiłam prawie trzy tysiące zdjęć, mając nadzieję, że chociaż niektóre z nich ukażą jej wspaniałość.

Absolutnym hitem wyprawy stało się spotkanie małpek bawiących się na poboczu wąskiej drogi, którą podążałam w nieznanne. Zatrzymałam rower zaledwie kilka metrów od nich, a one – bacznie mnie obserwując – zrobiły trzy kroki naprzód, cały czas spoglądając na mnie podejrzliwie. Ośmielone moim bezruchem, zakradły się tak blisko, iż niemal mogłam dotknąć ich ręką. Powoli, nie wykonując gwałtownych ruchów,

włączyłam aparat, który do tej pory wisiał bezwładnie na ramieniu i zrobiłam im kilka zdjęć, decydując się na duże zbliżenie. Dwie małpki uciekły w gąszcz, trzecia natomiast, prawdopodobnie odważniejsza, została na poboczu i, nadal bacznie mi się przyglądając, pozwoliła utrwalić się na fotografiach.

Miałam okazję podziwiać również kolorowe, egzotyczne ptaki, jakie widuje się w Polsce jedynie w dużych ogrodach zoologicznych lub ptaszarniach. Tam, w swoim naturalnym środowisku, wydawały się być dużo bardziej szczęśliwe, niż w klatkach oświetlanych sztucznym słońcem. Szybowały po niebie, rozpościerając szeroko skrzydła, dowodząc tym samym swojej niezależności. Podkreślając wolność i związek z matką naturą, prezentowały swoje wdzięki.

Z jakiegoś trudnego do sprecyzowania powodu zazdrościłam mieszkańcom wiosek, które mijałam podczas przejażdżki na rowerze. Żyjąc w symbiozie z naturą, za nic mieli sobie pościg mający na celu zapewnienie im współczesnych dóbr konsumpcjonalizmu. Ograniczając się do swojej niewielkiej przestrzeni, zdawali się być zadowoleni ze spokojnego stylu życia, jaki przyszło im wieść.

Wsiadając na prom, mający na powrót rzucić mnie w objęcia nowoczesności, zerknęłam jeszcze jeden, ostatni raz w stronę zielonej ściany tropikalnego lasu i obiecałam sobie, że jeszcze kiedyś tam wrócę. Może nie

za rok czy dwa. Być może uda mi się tego dokonać dopiero za dekadę lub trzy, ale zawitam ponownie w gościnne progi Pulau Ubin i sprawdzę czy ten tropikalny raj na ziemi nadal istnieje w formie, jaką miałam okazję zobaczyć tamtego dnia.

## Rozdział IX

### Oferta nie do odrzucenia

Otwierając kluczem drzwi mieszkania Ann-Marie, spodziewałam się zastać ją w domu, niestety srodze się zawiodłam. Wygaszone światła dały mi do zrozumienia, iż wewnątrz było zupełnie puste. Zdezorientowana, zrzuciłam klapki i poszłam się odświeżyć, zachodząc w głowę, gdzie podziała się radosna Australijka.

Kolejne mijające minuty sprawiły, iż zaczęłam obawiać się, że coś złego stało się z moją nową znajomą. Na tyle, na ile zdążyłam ją poznać, wiedziałam, iż jest niezwykle punktualną osobą, starającą wywiązywać się z raz podjętych zobowiązań. Robiąc na prędcie kanapkę, doszłam do wniosku, iż po prostu do niej zadzwonię, jeśli nie pojawi się w przeciągu pięciu minut. Właśnie miałam wgryźć się w smacznie wyglądającą przekąskę, kiedy usłyszałam dzwonek telefonu komórkowego. Odebrałam nawet nie zerkając na przychodzący numer.

– Halo!

– Cześć podróżniczko! – w słuchawce rozległ się



radosny, męski głos. – Kto dziś stał się ofiarą twego bezlitosnego obiektywu, ujawniającego wszelkie niedoskonałości?

No tak, Lee postanowił wykorzystać swoje poczucie humoru do nadania tonu całej rozmowie. Skoro tak, to i ja mogłam się nieco pobawić.

– Niedoskonałości? Raczej prawdziwą naturę rzeczy. Lepiej powiedź, ilu potentatów finansowych przyprawiłeś o zawał, wystawiając fakturę za usługi swojej firmy...

– Tylko dwóch, ale wiesz, tydzień dopiero się zaczyna – odparł niezrażony moim pytaniem – powiedz mi więc, jak minął ci dzień.

– Wspaniale. Miałam okazję podziwiać piękno w najczystszej postaci: małpki, namorzyny, piękna natura, dzikie plaże. O niczym więcej nie mogłam marzyć.

– Cóż, potraktuję to jako wyzwanie i zaproponuję coś, co cię, mam nadzieję, zainteresuje.

Powiedzieć, że mnie zaintrygował, to mało. Niemal wyskoczyłam z kapci, czekając na to, co miał mi do powiedzenia.

– Zamieniam się w słuch.

– Jutro robimy zdjęcia do mini katalogu promującego wyroby jubilerskie...

Od razu przypomniała mi się poranna rozmowa z Ann-Marie i jej opowieść o wyjątkowym patencie.

– Rozumiem, że perełką będzie fioletowe złoto, z którego słynie Singapur – stwierdziłam rzeczowo, zastanawiając się do czego zmierza mój rozmówca.

– Jestem pod wrażeniem! Jak widzę pozostajesz na bieżąco z każdą dziedziną życia.

– Staram się trzymać rękę na pulsie. Wracając do tematu – nie wiedziałam, że zajmujecie się fotografią produktową...

– Nie znajduje się ona w naszej standardowej ofercie, ale to zamówienie również do takich nie należy. Dość nudnych szczegółów...

– Propozycja – przypomniałam mu.

– Tak. Oferta jest następująca: Jeśli tylko masz ochotę, zapraszam byś do mnie dołączyła i fachowym okiem zerknęła na całe przedsięwzięcie. Co prawda moi kontrahenci wskazali jasno, który fotograf powinien wykonać całą sesję, jednak przydałyby mi się twoje wskazówki.

Chyba naprawdę źle zrozumiał mnie i moją rolę w świecie fotografii. Co prawda na studiach zajmowaliśmy się tym zakresem działalności zawodowej, jednak od kilku lat nie śledziłam nawet najnowszych trendów w tej kwestii.

– Wiesz, to nie jest dokładnie to, czym się zajmuję... – rzekłam niezdecydowanym głosem, nie wiedząc jak grzecznie odrzucić jego propozycję.

– Nie musisz być specjalistą. Po prostu wytłumaczysz mi kilka kwestii, a przy okazji zobaczysz coś nowego. Myślę, że taka sesja może cię coś niecoś nauczyć, nawet jeśli nie wiążesz z nią swojej przyszłości.

Cóż! Ma rację. Podglądanie zawodowca potrafi dużo wnieść do znajomości warsztatu, gry świateł, ale też wyeksponowania samego produktu. Jeśli faktycznie chciałabym wreszcie pracować w swoim zawodzie, to owe doświadczenie byłoby dla mnie dobrą lekcją.

Odczytując moje długie milczenie, jako niemą odmowę, ponownie zabrał głos.

– No dobrze, chciałbym cię zobaczyć, a nie mogę wyrwać się z pracy – wyznał niespodziewanie.

– Więc postanowiłeś zaprosić mnie do siebie?

– Muszę wykazać się elastycznością myślenia i działania, jeśli chcę spędzić z tobą chwilę czasu i wykonać prestiżowe zlecenie.

– Zgadza się. Dobrze. Bardzo chętnie stanę u twego boku i udzielę ci kilku informacji.

– Może zrobisz kilka ujęć próbnych...

– A nie całą sesję? – zażartowałam, widząc, iż ponownie próbował nadać lekki ton całej rozmowie.

– Kto wie? Weź ze sobą swój sprzęt. Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

– Jasne! Lepiej powiedz gdzie i kiedy mam się stawić.

Muszę sprawdzić tę lokalizację na mapie. Mam szczęście, że wujek Google dokładnie zna Singapur.

Odpowiedział mi radosny śmiech zdradzający, że mój rozmówca pozwolił sobie na chwilę relaksu, który z pewnością był mu potrzebny.

– Wyślę po ciebie samochód z kierowcą. Powiedz mi tylko, w którym hotelu się zatrzymałaś.

– Mieszkam u przyjaciółki. Pamiętasz? Wspominałam ci o niej.

– Tak, faktycznie. Zatem podaj mi proszę adres i bądź gotowa o dziesiątej rano.

Nie podałam mu nazwy ulicy, a jedynie poprosiłam, by samochód czekał na mnie przed fascynującym mnie ciągle od nowa ParkRoyal Hotel Garden, porośniętym cudowną roślinnością.

– Zatem do zobaczenia jutro o dziesiątej – rzekł na pożegnanie.

– Do widzenia – odpowiedziałam. Zastanawiałam się jednocześnie, jakim cudem przystojny, bogaty facet zwrócił uwagę na przeciętną kobietę z lekką nadwagą, jaką niewątpliwie jestem.

Wciskając czerwoną słuchawkę, zakończyłam połączenie. Nawet nie zauważyłam, iż, zajęta rozmową, umazałam całą rękę majonezem z przygotowanej kanapki. Uśmiechnęłam się pod nosem, widząc swoją niezdarność i szybko skierowałam się w stronę

kuchennego zlewu, by umyć dłonie.

Poprzez szum wody usłyszałam charakterystyczny zgrzyt zamka w drzwiach wejściowych i głos dochodzący od progu.

– Adrianna! Jesteś tam?

„Co za ulga” – pomyślałam w duchu, zakręcając kurek.

– Jestem w kuchni, właśnie przegryzam małe co nieco.

W ułamku sekundy Ann-Marie znalazła się obok mnie, zdecydowanym ruchem dłoni poderwała talerz ze stolika i oznajmiła:

– Umówiliśmy się na kolację, a ty tu urządzasz samowolę i konsumujesz posiłek w domu? Niedoczekanie twoje!

– Wróciłam głodna, a ciebie nie było... – zaczęłam nieskładnie się tłumaczyć.

– Ale już jestem i zabieram cię do Lau Pa Sat.

– Które serwuje kuchnię...

– Jakąkolwiek zechcesz. To jedno z najstarszych Hawker Centres. Jest ono zadaszoną przestrzenią, w której znaleźć możesz przeróżne stanowiska serwujące rozmaite potrawy. Na pewno znajdziesz tam coś dla siebie, a jeśli znam życie, to obie wyjdziemy stamtąd objedzone do granic możliwości – stwierdziła,

uśmiechając się przy tym radośnie.

– Trzymam cię za słowo.

Szybkim krokiem doszliśmy z China Town do centrum i minawszy stację metra Raffles Place, dotarliśmy do celu naszej wyprawy.

Tak, jak obiecała Ann-Marie, znalazłam się w kulinarnym raju! Do wyboru zyskałam dziesiątki najróżniejszych dań, przez co zamówiłam więcej, niż ktokolwiek miałby możliwość zjeść.

– Wiesz, że przez ciebie moja lekka nadwaga stanie się chorobliwą otyłością? – spytałam Ann-Marie, jedząc przepyszną samosę.

– Nie przesadzaj. Codziennie robisz pieszo tyle kilometrów z tym swoim aparatem, iż nie byłabym zdziwiona, jeśli wrócisz do domu znacznie lżejsza... – uspokoiła, podkradając jednocześnie z mojego talerza jeden ze smakołyków.

– Obiecanki cacanki, a głupiemu radość! Niedługo nie zmieszczę się w ulubione spodnie.

– Phi, lepsze to, niż zostać patykiem w rozmiarze zero – mruknęła, po czym zamarła na moment, wpatrując się we mnie uważnie – zakochałaś się prawda? Zakochałaś się w Lee Collinsie!

Jej bezpośredniość po raz kolejny zaskoczyła mnie do tego stopnia, iż mimo szczerych chęci nie mogłam z siebie dobyć żadnego głosu.

– Adrianno przepraszam, że to powiem, nie miej mi tego za złe, ale to nie jest męczyzna dla ciebie. By zawrócić mu w głowie musiałybyś schudnąć przynajmniej dwadzieścia kilo i odnieść międzynarodowy sukces bądź okazać się dziedziczką jakiegoś europejskiego księstwa.

Wbrew jej obawom, nie obraziłam się na nią, dobrze wiedząc, iż mówiła szczerą prawdę. Dla mnie też było to dziwne, iż takie dziecko szczęścia zainteresowało się kimś takim, jak ja.

– Mówisz jakbyś znała to z autopsji – stwierdziłam po chwili.

– Znam – rzekła, zaskakując mnie swoją szczerością – był jednym z powodów mojego wyjazdu z Australii. Dlatego zdaję sobie sprawę, że takie romanse nie mogą się skończyć dobrze...

– To nawet nie jest romans – zapewniłam ją – nic się między nami nie wydarzyło. To tylko flirciarskie rozmowy o niczym i dyskusje na temat sztuki czy fotografii. Dam ci przykład – dziś zadzwonił nie po to, by zabrać mnie na kolację ze śniadaniem, a po to, by zaprosić mnie na jutrzejszą sesję fotograficzną, gdzie mam mu służyć radą.

– Kochana, jego firma nie organizuje sesji fotograficznych...

– Cóż, tym razem robi wyjątek – powtórzyłam słowa

Lee.

– I naprawdę wierzysz, że nie miał pod ręką kogoś, kto zna się na zdjęciach?

Punkt dla Ann-Marie! Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale faktycznie naiwnością było sądzić, iż nie mógł sobie pozwolić na wynajęcie profesjonalisty. Zaraz, zaraz, uznając za podstawę dyplom, ja też jestem profesjonalistką, chociaż niezbyt czynną zawodowo!

– Skończyłam fotografię – stwierdziłam, próbując się bronić.

– Na uniwersytecie, o którym nawet nie słyszałam! Nie chce cię oszukiwać, ani pomniejszać talentu, który sobą reprezentujesz, ale Singapur posiada szkoły, w których studenci z całego świata uczą się projektowania, gotowania czy właśnie fotografii!

Głupia, głupia, głupia! Powinnam odgadnąć, że w tym zaproszeniu tkwił jakiś haczyk! Ale jakie ukryte cele mógł mieć przystojny, bogaty facet względem skromnej dziewczyny bez majątku? Przecież nie robił tego wszystkiego tylko po to, by mnie przelecieć. Jestem pewna, że tabuny chętnych, a co najważniejsze pięknych, dziewczyn pojawiłyby się na jego jedno skinienie.

– Myślisz, że powinnam odwołać jutrzejsze spotkanie? – spytałam, zupełnie nie wiedząc, co zrobić i myśleć o całej tej dziwnej sprawie.

– Zgodziłaś się, więc pojedź. Nie możesz okazać



strachu czy tchórzostwa. Ale pod żadnym pozorem nie powinnaś dać się zwieść jego czułym słówkom czy gestom. I proszę cię, jak siostrę – wyszeptała łamiącym się głosem Ann-Marie – nie zakochaj się w nim! Pamiętaj również, że pojutrze lecisz na Bali. Tam szybko wybijesz go sobie z głowy. Nie pozwól, by po powrocie do Singapuru przypomniał ci o sobie.

Analizując wszystko, co mi powiedziała, zaczęłam bezmyślnie grzebać widelcem na talerzu, masakrując przy okazji kilka smakowicie wyglądających kąsków.

– Jestem bezdenną idiotką, prawda? Pozwoliłam sobie uwierzyć, że skoro dobre wróżki wysłały mnie tutaj, to księżę z bajki też może okazać się równie prawdziwy, jak cała ta przygoda.

– Teraz to już bajdurzysz! – ofuknęła mnie szybko – kto wie? Może na rajskiej wyspie znajdziesz przystojniaka, który oszaleje na twoim punkcie. A teraz dość już o facetach! Powiedz mi lepiej, jak zamierzasz spędzić te cztery noce na Bali. – poprosiła – Kiedyś latałam tam praktycznie co miesiąc na kilka dni, teraz jednak chyba nie będę miała na to czasu... – westchnęła ciężko.

– Masz więcej pracy czy...

– Alan! Zapowiedział, że kiedy już mój gość wyjedzie, to zamierza spędzać ze mną każdą wolną chwilę – wyznała na pozór radosnym tonem, jednak gdzieś w tle można było również wyczuć w nim strach.

Przyjrzałam się jej uważnie i w wyrazie twarzy odnalazłam potwierdzenie tego, co wychwyciłam w brzmieniu jej głosu.

– Czemu mam wrażenie, że nie do końca cię to cieszy?

– Nie wiem. To wszystko dzieje się za szybko. Przez dwa lata nawet nie zaprosił mnie na kawę, a teraz nagle nie może przeżyć beze mnie chwili?

– Może ostatnio był u okulisty – zasugerowałam.

– Może. I co z tego?

– Wiesz, wizyta u lekarza i dobrze dobrane soczewki sprawiły, że wreszcie przejrzał na oczy i odkrył skarb, który cały czas miał przed sobą! – odparłam, śmiejąc się serdecznie.

Chciałam poprawić jej humor, by nie próbowała sabotować rodzącego się związku swoimi, miejmy nadzieję bezpodstawnymi, obawami.

Ann-Marie wybuchnęła śmiechem i jakby odetchnęła, pozbywając się obaw. Zgodnie z jej wcześniejszą sugestią, nie powróciłyśmy już do tematu mężczyzn, szczęśliwych związków, ani fatalnych zauroczeń.

O poranku tradycyjnie wstałam wcześniej, niż moja gospodyni i przygotowałam jej śniadanie. Tym razem była to owsianka z miodem i brzoskwiniami, które kupiłyśmy wieczorem w drodze do domu.

– Rozpieszczasz mnie! – wykrzyknęła po pierwszym

kęsie – Zobaczysz, nie wypuszczę cię stąd i każę przygotowywać takie pyszności codziennie.

– Uważaj, bo jeszcze ci uwierzę i odstąpię bilet jakiemuś nieznajomemu na ulicy! – odgroziłam się natychmiast.

– Zgoda! W jaki sposób przeprowadzimy casting wyłaniający owego szczęśliwca?

Udałam, że nie słyszę jej pytania i zajęłam się przygotowywaniem kawy. Zanim jednak życiodajny płyn został rozlany do filiżanek, uświadomiłam sobie pewną kwestię.

– Ann-Marie – szepnęłam głosem pełnym przerażenia...

– Pobladłaś. Coś się stało? – zapytała z troską, podchodząc do mnie i wyjmując z moich rąk gorący dzbanuszek – Źle się poczułaś?

– Gorzej.

– Adrianno, mów w tej chwili co się dzieje!

– Nie mam się w co ubrać! Nie wiem nawet jakie ciuchy będą na tę okazję odpowiednie!

Spojrzała na mnie zdezorientowana, nie rozumiejąc, o co mi chodzi.

– Na casting? Jakkolwiek! W końcu to ty ofiarowujesz bilet, a nie się o niego starasz – odpowiedziała, sądząc, iż mówię o jej niewinnym żarcie.

Pokręciłam nerwowo głową.

– Na sesję fotograficzną w firmie Collinsa!

– Aaaaaa – mruknęła, pojmując w końcu, o co mi chodzi – nie masz nic eleganckiego, ale nie wieczorowego?

Ponownie pokręciłam przecząco głową, nie chcąc otwarcie przyznać, że nawet nie przyszło mi do głowy, by zabrać podobne rzeczy na wakacje w egzotycznym Singapurze!

– Nie planowałam tego typu atrakcji.

– Pozwól, że przełknę ostatnią łyżkę tej pysznej owsianki i na prędko dokonam inspekcji twojej walizki.

– Proszę bardzo, ale boję się, że niewiele w niej znajdziesz.

– Nie znasz mojej inwencji twórczej – stwierdziła tajemniczo.

Nie mówiąc nic więcej, porwała w dłoń filiżankę ze swoją ukochaną kawą i ruszyła w stronę holu, patrząc na mnie ponaglająco.

– Chodźmy wreszcie, nie można marnować cennego czasu!

Podreptałam w ślad za nią, próbując zignorować narastające uczucie paniki.

Z lustra spoglądała na mnie zupełnie obca kobieta. Taka, za jaką prawdopodobnie obejrzałabym się na

ulicy, podziwiając świeżość stylizacji. Ann-Marie, korzystając z rzeczy znalezionych w moim bagażu i kilku dodatków pożyczonych z jej garderoby, stworzyła coś, czego nie powinna się wstydzić nawet stylistka z Vouge'a! Czarne, proste spodnie, za sprawą łańcuszkowego paska nabrały charakteru, podkreślając talię i uwydatniając moją klasyczną figurę klepsydry. Biała koszula, wzbogacona rzucającym się w oczy naszyjnikiem, zyskała nieco szlachetności, a lekko postawiony kołnierzyk stworzył piękną linię w kształcie litery V, podkreślając zgrabnie biust. Zaś czarne szpilki, podkradzione z szafy osobistej stylistki, wyszczupliły nieco moją sylwetkę, dodając jej powabu.

– Całkiem niezłe jak na taką pośpieszną improwizację – rzekła, oglądając mnie z każdej strony.

– Żartujesz? Chyba nigdy nie wyglądałam lepiej!

– Przesadzasz Adrianno – stwierdziła pośpiesznie – po prostu częściej powinnaś robić makijaż i podkreślać swoje piękne, błękitne oczy. I wiesz co? Miałam rację! Twoje włosy zostały stworzone do tego, byś nosiła je rozpuszczone! Do końca pobytu masz oficjalny zakaz spinania ich.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – rzekłam zupełnie szczerze – raz po raz stajesz się moją dobrą wróżką na obcej ziemi.

– W takim razie, jak na dobrą wróżkę przystało, nakazuję ci dobrze się bawić i nie wracać do domu

przed północą – zaśmiała się, wychodząc z pokoju.

– Przeczysz sama sobie!

– Cóż, jestem kobietą, więc mogę – odcięła się szybko – a tak z ciekawości, co w moich słowach staje w opozycji do wcześniejszych wypowiedzi? – spytała, zatrzymując się na progu.

– Wczoraj przestrzegałaś mnie przed Collinsem, a dziś życzysz, bym dobrze się bawiła – wytknęłam jej niekonsekwencję.

Zaśmiała się radośnie, niczym matrona wprowadzająca nieopierzona dziewczę w świat flirtów i dorosłości.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Masz na niego uważać i się nie zakochiwać – przypomniała nie wiem który raz – ale nieco się pobawić i nadgryźć zawsze możesz – dodała z błyskiem w oku.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć na tak śmiałe słowa, Ann-Marie odwróciła się na pięcie i pognęła w stronę wyjścia, krzycząc na pożegnanie:

– Jestem już spóźniona!

Drzwi zamknęły się za nią z hukiem, a ja jeszcze raz zerknęłam w stronę lustra. Jedno było pewne – jeśli tylko piszą cię tak, jak cię widzą, to ja wyglądałam jak milion dolarów trzymający w dłoni aparat fotograficzny. Dzień zapowiadał się więc ciekawie!

## Rozdział X

### Sesja

Czarny Bentley zaparkowany obok ParkRoyal Hotel Garden prezentował się wspaniale i chociaż przesadą byłoby oczekiwać, że został przysłany akurat po mnie, to miło było przez chwilę pofantazjować, iż właśnie tak się stało.

Wypatrując środka transportu zaoferowanego mi przez Lee, zerkałam raz po raz na ulicę pełną aut. Niestety żadne z nich nie zatrzymało się przy mnie, by zaoferować przejazd do biura firmy reklamowej pana Collinsa.

Spoglądając coraz bardziej nerwowo na zegarek, zaczynałam dochodzić do wniosku, że być może sesja została odwołana lub w ostatniej chwili jej organizator zrezygnował z mojego towarzystwa, nie uznając za stosowne poinformować mnie o tym. Zacisnęłam palce na rączce torby ze sprzętem fotograficznym, dając spóźnionemu kierowcy ostatnie pięć minut na pojawienie się we wskazanym miejscu.

Odliczając ostatnie sekundy, spostrzegłam, iż z

Bentleya, który kilka chwil temu rzucił mi się w oczy, wysiadł szofer i wolnym krokiem ruszył w moim kierunku, przyglądając mi się niepewnie.

– Pani Adrianna Shynska? – spytał, próbując wymówić moje nazwisko.

– Drzyńska – poprawiłam go machinalnie – tak, to ja.

– Pan Lee Collins prosił, abym przywiózł panią do biura. Zapraszam do samochodu. Przepraszam, że nie podszedłem wcześniej, ale nieco inaczej mi panią opisano.

„Założę się” – pomyślałam, uśmiechając się w duchu – „To znaczy, że metamorfoza okazała się pełnym sukcesem. Suknia balowa Kopciuszka stała się codziennym strojem do biura. Niesamowite jak ten postęp zmienia sens starych opowieści...”

Po kilku kilku minutach jazdy auto zatrzymało się przed jednym z wieżowców w centrum biznesowym. Zanim zdążyłam nawet pomyśleć, iż jesteśmy na miejscu, mężczyzna otworzył przede mną drzwiczki i wskazał dłonią szklane drzwi budynku.

„To tu?” – miałam ochotę zapytać – „Przecież spokojnie mogłam się przespacerować!”

Nie wypowiedziałam jednak swych myśli na głos, a jedynie podziękowałam szoferowi za jego usługi i skierowałam się w stronę wejścia.

Przy recepcji czekała na mnie młoda dziewczyna w



eleganckim kobiecym garniturze w kolorze ecru, który pięknie podkreślał jej karnację. Wnioskując po jej stroju, była zapewne jedną z firmowych asystentek. Podczas jazdy windą zyskałam okazję przyjrzenia się jej dokładniej. Ciemne, błyszczące włosy spięta w tak ciasny kok, iż uwięzione pukle napinały całą skórę na twarzy, dając efekt naturalnego liftingu. Wiem, brzmi to strasznie podle. Nie mniej jednak, tak to właśnie wyglądało.

Niewiele natomiast mogłam powiedzieć na temat jej charakteru, bowiem zamieniłam z nią jedynie kilka zdawkowych słów wymuszonych sytuacją. Chłodna, ale uprzejma postawa nie zachęcała mnie do wchodzenia z nią w przyjacielskie relacje. Dodatkowo nieznaną całą czas przyglądała mi się z nieukrywanym zainteresowaniem, oceniając moją sylwetkę od miodowo-złoty włosów, po czarne pantofelki należące do Ann-Marie. Zapewne interesowało ją kim właściwie jestem. Nie do mnie jednak należało zaspakajanie ciekawości pracowników, dlatego też z przyjemnością zachowałam narzucony profesjonalny dystans.

– Pan Collins czeka na panią w gabinecie – rzekła, przepuszczając mnie w windzie i prowadząc do wielkich drzwi.

Uchylając je niczym wrota do zaczarowanego zamku, poczułam się jak mała dziewczynka wkraczająca nagle

w świat dorosłych. Być może trochę przesadzam, ale elegancja i luksus, które po chwili zobaczyłam, zaparły mi dech w piersi. Mimo, iż pracowałam w korporacji, to nigdy nie widziałam podobnego przepychu w przestrzeni biurowej.

Okna, zastępujące jedną ze ścian pomieszczenia, eksponowały wspaniałą panoramę miasta i widok na najpiękniejszą jego część – Marina Bay. Kolejna ogromna powierzchnia została ozdobiona nowoczesnymi grafikami, które w szaleństwie kolorów krzyczały ze ścian, jakby walcząc z szeregami książek usytuowanych po drugiej stronie gabinetu. Na środku znajdowało się duże, oszczędne w swej formie biurko. Ustawiono na nim jedynie kilka biurowych przedmiotów oraz laptop w stalowej oprawie, harmonizujący z zimną stylistyką wybitnie męskiej przestrzeni do pracy. Za zgrabnym meblem siedział zaś on!

– Witam, w czym mogę pani... – przerwał w połowie zdania, przyglądając mi się uważnie – Adrianna, czy to naprawdę ty? – spytał w końcu z niedowierzaniem.

– Dzień dobry, Lee – odpowiedziałam z niemałą satysfakcją, obserwując wyraz podziwu malujący się na jego obliczu.

– Wyglądasz fantastycznie – rzekł, wstając z fotela.

– Dziękuję. Jak tam przygotowania do sesji? – zagaiłam, chcąc zmienić temat.

– Świetnie, świetnie. Jeśli jesteś gotowa, to możemy iść do studia już teraz.

– Jasne – zgodziłam się chętnie, czując się nieco nieswojo pod ostrzałem jego uważnego spojrzenia.

Już miał do mnie podejść, gdy drzwi gabinetu otworzyły się bez ostrzeżenia, a do środka wkroczyła młoda kobieta, która kilka chwil temu powitała mnie chłodno w recepcji.

– Lee, myślę, że powinniśmy już zaczynać. Pożegnaj proszę swoją znajomą i zajmijmy się naszą pracą – rzekła tonem, którego nie spodziewałam się po asyście.

– Zaprosiłem Adrianę na naszą sesję. Jest fotografem. Muszę skonsultować z nią kilka interesujących mnie kwestii, zatem jej obecność w studiu jest wysoce wskazana! – rzekł, na wpół tłumacząc się, na wpół próbując udowodnić, kto ma większą władzę.

Dziewczyna przez moment zawahała się, próbując zdecydować czy powinna się w tej sytuacji wycofać, czy też dalej próbować chronić swoją własność za wszelką cenę.

Nie miałam wątpliwości. Piękna nieznajoma traktowała Lee jak swoją własność. Weszła niespodziewanie do gabinetu, by sprawdzić łączące nas relacje i zasygnalizować, iż ona sama nie musi przejmować się normami powszechnie stosowanymi w

korporacjach na całym świecie.

Po chwili, podjąwszy decyzję, wyszła z biura równie niespodziewanie, jak się w nim przed chwilą pojawiła.

– Przepraszam – rzekł, zerkając na moją zaskoczoną twarz – Yu Tian jest córką jednego z naszych udziałowców. Pracuje jako moja asystentka, wdrażając się w firmową rutynę, zanim przejmie stanowisko ojca.

– Nie ma za co. Moje pojawienie się musiało wzbudzić ciekawość kilku osób.

„Zwłaszcza tych roszczących sobie prawa do ciebie”  
– dodałam w myślach.

– Możemy już przejść do studia?

– Oczywiście – odparłam, czując ulgę, że za moment otoczy nas tłum ludzi.

Chyba pierwszy raz od początku naszej znajomości rozmowa jakoś się nie kleiła, stanowiąc jedynie zlepek różnorodnych zdań, wypowiedzianych w celu wypełnienia nieznośnej ciszy.

Przepuścił mnie w drzwiach, by szybko dołączyć do mego boku i zaprowadzić do prowizorycznego studia na końcu holu. Wkraczając do środka, poczułam się jak dziecko w sklepie z cukierkami. Ze zdziwieniem stwierdziłam, iż otacza mnie sprzęt o jakim wielu fotografów nadal tylko marzy. Ktoś prowizorycznie zainstalował lampy światła ciągłego, poustawił softboxy i zorganizował stół z całą gamą obiektywów

obejmujących różne spektrum ogniskowej. Poczułam chęć zrobienia kilku ujęć, by na spokojnie, w domu, rozpracować przeznaczenie poszczególnych sprzętów będących aktualnie w użyciu.

– Myślisz, że zgromadziliśmy tu wszystko, co może być niezbędne do dobrej sesji? – cichy głos Lee wyrwał mnie ze świata snów na jawie.

– Jasne! – odparłam z nieukrywanym entuzjazmem, zaciskając nieco mocniej palce na rączce torby z własnym sprzętem.

– Świetnie! Słuchaj Adrianno, jeśli tylko masz ochotę, zrób proszę parę ujęć dokumentujących przebieg całego tego przedsięwzięcia. Masz moją akredytację na fotografowanie wszystkich i wszystkiego. Oczywiście tak, by nie przeszkadzać gościowi przysłanemu przez naszego kontrahenta.

– Kuisz – odpowiedziałam, mając ochotę wyjąć aparat i niezwłocznie wprawić migawkę w ruch.

– Ja? – spytał zdziwiony – to raczej ty przemieniłaś się w kusicielkę skupiającą na sobie spojrzenia wszystkich mężczyzn.

Chciałam coś na to odpowiedzieć, ale zrezygnowałam nie znalazłszy właściwych słów. Po prostu postawiłam swój neser na podłodze i przysiadłam przy nim, grzebiąc wśród potrzebnego sprzętu.

Wykonałam kilka próbnych ujęć, a później skupiałam

się na obsłudze krzątającej się po pomieszczeniu przekształconym w całkiem profesjonalne studio fotograficzne. W ciągu kilku chwil dostrzegłam stanowisko makijażystów i stylistów przygotowujących modelki do sesji. Wolnym krokiem podeszłam w ich kierunku i zrobiłam kilka ujęć pięknych młodych twarzy, ozdobionych już eleganckimi kolczykami z kolekcji.

Muszę przyznać, iż nigdy nie byłam zbytnią fanką biżuterii, ale te drobiazgi wprawiły mnie w zachwyt. Eleganckie, fioletowe dzieła sztuki stanowiły doskonałe tło dla błyszczących, kryształowo przejrzystych diamentów. Wyrafinowane kształty oraz sama tonacja złota z pewnością wprawiłyby nie jednego kolekcjonera drogocennych precjozów w zachwyt graniczący z ekstazą.

Ujęcie za ujęciem, czując jak wraca do mnie dawna pasja tworzenia, zdecydowałam, że muszę na dobre powrócić do tego typu aktywności. Zastosuję się do wszelkich rad, które otrzymałam zarówno od Ann-Marie, jak i towarzyszącego mi Lee. Zaryzykuję, nawet jeśli miałabym jeść przez kilka miesięcy suchy chleb popijany wodą. Nikt nie stanie w obronie moich własnych marzeń, jeśli sama w nie nie uwierzę!

Do studia wkroczył wysoki, niezwykle szczupły mężczyzna ubrany w czerń. Golf, świetnie współgrający z eleganckimi, obcisłymi rurkami, podkreślał płynność

każdego kroku. Pewność siebie bijąca z jego postaci była tak silna, że niemal raniąca dla otoczenia. Bez zbędnych formalności odgadłam, iż miałam przed sobą profesjonalistę świadomego swej sławy. Z pewnością nie stanowiło dla niego problemu znalezienie pracy. Wręcz przeciwnie, przebierał w ofertach jak w ulęgałkach. Zanim drzwi zamknęły się z hukiem, do środka wślizgnął się również krępy mężczyzna przed trzydziestką, ściskający w rękach niewielką torbę.

– Witamy, mistrzu – rzekł Lee, podchodząc do mężczyzny nawykłego do tego typu powitań – jesteśmy gotowi.

– Świetnie. Nie mam zbyt wiele czasu, więc zaczynamy.

„To jest podejście fotografa?” – pomyślałam, przyglądając się nieznanemu mężczyźnie jeszcze raz – „Przecież zawodowiec nie ogranicza się czasowo. Jeśli zachodzi potrzeba, powtarza ujęcie nawet pięćdziesiąt razy, aż do uzyskania absolutnej perfekcji! Z tego, co zrozumiałam, to zlecenie jest niezwykle ważne, zarówno dla firmy reklamowej Collinsa, jak i jubilerów chcących wypromować produkt posiadany na wyłączność! Cóż, jedno jest pewne, najbliższe kilka godzin zapowiada się naprawę ciekawie!”

Ktoś włączył energiczną muzykę, ocierającą się o granice transu. Mogła ona pomóc lub, wręcz przeciwnie, zaszkodzić właściwemu skupieniu się

podczas pracy. Asystent usłużnie podał mężczyźnie w czerni jeden z aparatów, a w tym czasie pierwsza z dziewczyn, wysoka brunetka o azjatyckiej urodzie, stanęła przed obiektywem i zaczęła pozować według wskazówek fotografa, wyginając się na wszystkie możliwe strony.

Ustawiając się nieco z boku, znalazłam idealne miejsce do zrobienia kilku zdjęć mogących ukazywać zarówno ciekawą ekspozycję samej modelki, jak i ogólną kompozycję planu. Kilkakrotnie zmieniając obiektyw, próbowałam nadażyć za artystą wciąż zmieniającym koncepcję. Zmęczona zarówno harmidrem panującym w studiu, jak i samą sesją wykonywaną w pośpiechu, opadłam na jedno z krzeseł ustawionych w tyle pokoju. Zanim zdążyłam wykonać chociaż kilka głębszych oddechów, Lee dosiadł się do mnie z pytaniem wypisanym na twarzy.

– Jak wrażenia?

– Mieszane – odpowiedziałam zupełnie szczerze, nie wiedząc, czy jest to najlepsze wyjście z sytuacji.

Spojrzał na mnie uważnie, najwidoczniej nie rozumiejąc, co mam na myśli.

– Co przez to rozumiesz?

– Myślę, że lepiej będzie, jeśli ta rozmowa odbędzie się po skończonej pracy. Być może fotograf, którego zaangażowaliście jest tak fantastycznym profesjonalistą,



iż nie jestem w stanie tego zauważyć i stąd wynikają moje obiekcje. Musiałabym zerknąć na efekty jego pracy, by właściwie zinterpretować odczucia.

– Czyli masz wątpliwości co do osoby, a nie sprzętu?  
– podsumował zgrabnie moją wypowiedź.

– Wyposażenie zebrane tutaj jest marzeniem wielu fotografików – wyjaśniłam szybko – sama dużo bym dała za możliwość zrobienia chociażby kilku ujęć w takich warunkach. Zdjęcia wykonane tutaj stałyby się perełką mojego portfolio. A teraz przepraszam, kolejna modelka szykuje się do wyjścia na plan.

Była to oczywiście wymówka mająca na celu zakończenie niewygodnej dla mnie rozmowy. Chwyciłam aparat i, stanąwszy się za jedną z lamp, od niechcienia robiłam serię zdjęć olśniewająco pięknej blondynki. Naszyjnik z fioletowego złota na jej mlecznobiałej skórze prezentował się nad wyraz efektownie.

– Następna – ryknął w tym czasie donośnym głosem mężczyzna, odstawiając z hukiem aparat na stolik wypełniony sprzętem – Szybko, szybko, nie mamy czasu! – ponaglił przestraszoną modelkę idącą w jego stronę.

Nie czekając nawet, aż dziewczyna oswoi się ze światłem skierowanym prosto na nią, przystąpił do pracy. Wydając polecenia ostrym, rozkazującym tonem, nie zaskarbił sobie mojej sympatii, bowiem fotograf

powinien współpracować z osobą fotografowaną. Brak porozumienia między nimi może źle wpłynąć na efekt końcowy ich współpracy.

Ostatnia, piąta modelka skończyła pozowanie, a mężczyzna w czerni oddał aparat w ręce asystenta i obwieścił zakończenie zdjęć. Głosy, do tej pory szepczące cicho w obawie przed rozproszeniem uwagi mistrza, przybrały teraz głośniejsze tony, a każdy z zebranych dzielił się wrażeniami z pozostałymi osobami w studiu. Wszyscy jednak zamilkli, kiedy Lee zabrał głos.

– Mistrzu, czy mogę rzucić okiem na efekty dzisiejszej sesji?

Wstrzymałam oddech, niemal marząc, by móc się im przyjrzeć i zobaczyć je w wersji nieobrobionej żadnym programem graficznym.

– Prześlę gotowe ujęcia przez posłańca we wtorkowy poranek. Tak właśnie umawiałem się z naszym zleceniodawcą.

– Ale... – Lee próbował zaproponować, jednak nie miał możliwości dokończenia swojej wypowiedzi.

– Wtorek o dziesiątej – powtórzył mężczyzna i ruszył w kierunku wyjścia, nie oglądając się za siebie.

Tuż za nim, niemal jak cień, biegł krępy mężczyzna, który wcześniej zdążył odebrać z rąk firmowych asystentów karty pamięci ze wszystkim aparatów

wykorzystanych przez wielkiego fotografa.

No więc po zawodach. Nigdy nie będzie mi dane zobaczyć efektów dzisiejszego dnia. No, chyba że w Internecie.

Myśląc o tym, machinalnie zerknęłam na zegarek i z zaskoczeniem odkryłam, iż minęła dopiero dwunasta. Sesja dla prestiżowego zlecenia trwała mniej niż dwie godziny? Sama, jeszcze na studiach, uczestniczyłam w różnych, co prawda niewielkich zamówieniach, ale trwających zdecydowanie dłużej!

– Dochodzi pora lunchu, masz ochotę coś przekąsić?  
– niespodziewanie spytał Lee, stając za moimi plecami.

– Nie... to znaczy tak. Myślę, że wystarczy mi filiżanka kawy – odpowiedziałam nieco chaotycznie, nadal odtwarzając w pamięci przebieg ostatnich kilkudziesięciu minut.

– Wszystkim nam należy się solidny posiłek. Ostatnie dwie godziny minęły nam na szybkich obrotach.

– Faktycznie – mruknęłam, wspominając autokratyczne podejście fotografa.

– Chwila oddechu, lunch, a potem wracamy do codziennej pracy. Dziękuję wszystkim za wysiłek włożony w tę sesję – obwieścił w tym czasie Collins, dając tym samym do zrozumienia, iż docenia wkład wszystkich swoich pracowników.

I to się nazywa szef, który potrafi zmotywować

podwładnych do efektywniejszego działania –  
pomyślałam, patrząc na niego z podziwem. Takich, jak  
on, należało ze świecą szukać w większości firm.

## Rozdział XI

### Biesiada zmysłów

Wysiedliśmy z samochodu przed niewielką, niepozornie wyglądającą restauracyjką przywodzącą mi na myśl styl bliskowschodni. Zapach dochodzący z wnętrza podrażnił przyjemnie mój żołądek, obiecując wyśmienitą ucztę.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko kuchni arabskiej – ponieważś zmitygował się mój towarzysz – jeśli chcesz, możemy wrócić do centrum – zastrzegł szybko, pragnąc naprawić swoje niedopatrzenie.

– Powinnam spróbować wszystkiego, prawda? W końcu jutro już mnie tutaj nie będzie – wzruszyłam ramionami, wchodząc do przyjemnego, bardzo przytulnego wnętrza.

– Jak to?

Odwróciłam się tylko po to, by zobaczyć parę ciemnych oczu wpatrzoną w moją postać.

– Nie wspominałam ci? Lecę na Bali... Plaże, morze, dżungla, pola herbaciane i piękne świątynie – stwierdziłam z wymuszonym uśmiechem, siadając przy

jednym ze stolików.

– Wiem, co można znaleźć na Bali – ofuknął mnie nieco szorstko – sądziłem jednak, że zrezygnowałaś z tego pomysłu.

– Zaczyna mi się nudzić w Singapurze i postanowiłam nieco zmienić otoczenie – skłamałam gładko, uświadamiając sobie, że Ann-Marie miała absolutną rację mówiąc, iż powinnam jak najszybciej wybić go sobie z głowy.

– Nie poczekasz, by zobaczyć efekty dzisiejszej sesji? A co ze zdjęciami, o które cię prosiłem... – spytał, siadając naprzeciwko mnie.

Wyraz jego twarzy był na tyle zagadkowy, że nie mogłam odgadnąć uczuć motywujących wypowiedane przez niego słowa.

– Możemy wymienić się mailami. Prześlę ci wszystko jak tylko wrócę do domu.

– Kiedy wracasz? – zagaił, zupełnie ignorując kwestię zdjęć, która jeszcze chwilę wcześniej była kluczowym zagadnieniem.

– Do Polski? Wyląduję w Warszawie piętnastego grudnia po południu.

– I nie zamierzasz wrócić przedtem do Singapuru?

– Oczywiście, że tak, ale tylko na chwilę.

– Hmmm – mruknął przeciągle, nie ujawniając myśli

chodzących mu po głowie – wrócimy do tego tematu później – zdecydował w końcu – teraz powiedz na co masz ochotę, abyśmy mogli złożyć zamówienie

– Jagnięcina brzmi całkiem nieźle – odpowiedziałam, zadowolona, iż w końcu zmienił wątek.

– Chyba zdecyduję się na to samo. Zanim przyjdzie do nas kelner, czy możesz mi w końcu powiedzieć, co myślisz o dzisiejszej sesji? Jestem strasznie ciekawy twojej opinii.

– Mam względem niej bardzo mieszane uczucia. Tak, jak stwierdziłam jeszcze będąc w studiu.

Zamilkłam, bowiem przy stoliku pojawił się starszy mężczyzna i przywitał Lee jak starego, dobrego przyjaciela. Po chwili rozmowy spisał w małym notesiku wszystkie potrawy, które miały pojawić się na naszym stole i z uśmiechem odszedł w kierunku kuchni.

– Wyjaw więcej szczegółów. Prawdę mówiąc, ja też mam kilka spostrzeżeń, którymi chciałbym się z tobą podzielić.

– Nawet nie wiem, czy powinnam... To prawdopodobnie znany fotograf, z którym nawet nie mogę się równać. Kim jestem by go krytykować?

– Specjalistką, której ufam. Słyszałem wiele pochlebnych słów o Philu Adamsie, niestety znacznie kontrastują one z opiniami mówiącymi o jego chybionych wizjach artystycznych. Nie zwracaj uwagi na

jego manierę wielkiej gwiazdy, tylko powiedz mi szczerze, z pozycji osoby obeznanej z tym zawodem. Czy sesja twoim zdaniem była udana?

„Nie, nie była!” – korciło mnie, by obwieścić mu w dość brutalny sposób, co myślę o tej dwugodzinnej farsie, która miała miejsce w jego firmie. Ostatecznie jednak zdecydowałam się złagodzić nieco ton odpowiedzi.

– Jak już powiedziałam wcześniej, wyposażenie studia wywarło na mnie ogromne wrażenie. Nie wiem, kto dobierał sprzęt, jeśli zakupiliście go... A może wypożyczyliście?

– Kupiliśmy. Doszliśmy z ojcem do wniosku, iż w przyszłości postawimy również na ten segment usług reklamowych – uzupełnił natychmiast, wchodząc mi w słowo.

– Osobiście uważam, że to świetny krok. Teraz potrzebny jest wam fotograf, który doceni nakłady i starania jakie włożyliście w ten projekt. Wracając do dzisiejszego przedpołudnia - pan Adams poświęcił każdej modelce nie więcej niż dwadzieścia minut. Być może byłoby to wystarczające, gdyby fotografował spódniczki, bluzeczki czy dodatki mające znaleźć się w katalogu podrzędnej firmy odzieżowej. Osobiście przeznaczyłabym znacznie więcej czasu tak wyrafinowanemu produktowi, jakim jest biżuteria. Zamiast na dziewczynach i ich kolejnych wydumanych



pozach oraz uśmiechniętych lub zwiniętych w dzióbek ustach, skupiłabym się na uwydatnieniu detalu i piękna samej biżuterii, ale też harmonii z noszącą ją kobietą.

– Mnie przekonałaś – mruknął, patrząc z podziwem – Słuchając, odnoszę wrażenie, że dopiero teraz ktoś poważnie traktuje to zlecenie. Adams podczas naszej rozmowy skupił się jedynie na swoich wymaganiach, nie przedstawiając żadnych szczegółów dotyczących kwestii technicznych owego przedsięwzięcia.

– Jeśli kiedyś przyjdzie ci zorganizować podobną sesję, to masz moje oficjalne przyzwolenie do wykorzystania owego pomysłu – zaśmiałam się niemal pijana szczęściem, które zrodziło się na skutek jego pełnych uznania słów.

– Uważaj, bo nie zawaham się go użyć! – zagroził, mrugając do mnie zalotnie – Masz jeszcze jakieś uwagi à propos dzisiejszego dnia?

– Jasne, całą masę – mruknęłam niechętnie, czując się nieswojo z powodu krytyki warsztatu fotografa, którego prac nawet nie miałam okazji zobaczyć.

– Zamieniam się w słuch – szepnął, wpatrując się w me oczy.

„Ciekawe, co by na to powiedziała urocza Yu Tian” – pomyślałam zgryźliwie, przypominając sobie jej zaborcze spojrzenie utkwione w siedzącym przede mną mężczyźnie.

Rozmawialiśmy tak długo, iż ostatnie kęsy jedzenia, podanego nam w międzyczasie, zdążyły całkowicie ostygnąć, zanim miały szansę wylądować w naszych żołądkach. Przeżuwaszając kawałek płaskiego chlebka pita, myślami przeniosłam się do wtorkowego poranka.

– Strasznie jestem ciekawa efektu – wyznałam wbrew sobie – chciałabym go zobaczyć.

– Wróc do Singapuru – poprosił niespodziewanie – Spotkamy się na kolacji. Obiecuję zabrać ze sobą wszystkie zdjęcia, jakie łaskawie przekaże mi pan Phil Adams – dodał, wymawiając nieco ironicznie nazwisko fotografa.

Niemal usłyszałam głos Ann-Marie ostrzegający mnie przed pchaniem się w coś, co może jedynie złamać mi serce. Z drugiej jednak strony, jak mogłam przepuścić okazję, być może jedyną w życiu, by bezkarnie zapomnieć o konwenansach, tym co należy oraz nie należy robić i po prostu dać ponieść się fali. Bez chłodnego kalkulowania, gdzie to szaleństwo mnie zaprowadzi!

– Muszę przemyśleć kilka kwestii, przeorganizować plan podróży, porozmawiać z moją przyjaciółką, u której goszczę. Sprawdzić czy w ogóle mój wcześniejszy powrót do Singapuru jest możliwy – zaczęłam wymieniać punkt po punkcie, by przez przypadek nie pomyślał, iż jestem w stanie rzucić dla niego wszystko i przybiec na każde wezwanie.

– Ciężko z tobą negocjować – stwierdził, zerkając na mnie z nieukrywanym zainteresowaniem.

– To my coś negocjujemy?

– Oczywiście. Próbuję, niemal siłą, zyskać chociażby kilka dni w twoim towarzystwie – wyznał cicho, patrząc mi w oczy.

– Kiedy to jedna kolacja, na której miałabym obejrzeć zdjęcia z dzisiejszej sesji, zmieniła się w kilka dni? – powtórzyłam wolno, cedząc każde ze słów.

– Przecież nie mogę pozwolić, byś nudziła się w Singapurze, kiedy już wrócisz z Bali – odparł, lekko się uśmiechając.

Ten delikatny gest mimiczny sprawił, iż jego oczy stały się na moment niemal niewidoczne, ginąc pod firanką długich, gęstych rzęs.

– Jakież jest pan troskliwy, panie Collins – odparowałam natychmiast, próbując oderwać spojrzenie od jego twarzy.

– Cóż, każdy szczegół musi być dopracowany, inaczej musiałbym liczyć się z ryzykiem klęski, a na to nie mogę sobie pozwolić...

Miał dodać coś jeszcze, ale jego słowa zostały stłumione przez dyskretny sygnał telefonu komórkowego. Zanim zdążył go pochwycić w dłoń, dostrzegłam napis na ekranie.

Yu Tian.

Biorąc pod uwagę jej dystans względem mnie, odważne słowa wygłoszone w gabinecie Lee oraz to, iż próbowała się z nim skontaktować w czasie lunchu, mogłam uznać za pewnik, iż to ona przerwała nasze miłe sam na sam w ultranowoczesnych ogrodach w Marina Bay.

Czy warto ryzykować czyjś związek dla kilku chwil spędzonych na degustacji zakazanego owocu, jakim niewątpliwie był siedzący naprzeciwko mnie mężczyzna? Zdecydowanie nie. Nie posiadam zadatków na Famme Fatale igrającą z mężczyznami.

Poprzez niewidzialną zasłonę moich myśli dotarły do mnie ściszone słowa wypowiedane przez młodego przedsiębiorcę.

– Jestem zajęty! Ile razy mam ci to tłumaczyć? – spytał ze źle skrywaną niecierpliwością – Będę w firmie wtedy, gdy do niej wrócę! – stwierdził na koniec nieprzyjemnym tonem i natychmiast zakończył połączenie.

Odkładając telefon na stolik, wcisnął przycisk wyciszając głos dzwonka.

– Przepraszam – zaczął przeproszającym tonem – czasami moja asystentka nie rozumie, co znaczy przerwa w pracy.

„Taaak, Yu Tian na pewno nie jest tylko podwładną, skupioną zbytnio na sprawach zawodowych” –

pomyślałam, spoglądając w jego ciemne, pełne tajemnic oczy.

– W dzisiejszych czasach faktycznie trudno o profesjonalnych współpracowników – stwierdziłam przesłodzonym tonem kamuflującym sarkazm.

Niestety chyba zbyt głęboko go skryłam, bowiem został on całkowicie pominięty przez mojego rozmówcę.

– Masz rację. Niestety nie mogę jej po prostu zwolnić. Jej ojciec posiada piętnaście procent akcji firmy.

– Pozostaje mieć zatem nadzieje, że szybko awansuje. Wracając jednak do naszej rozmowy – rzekłam, nie chcąc kontynuować omawiania cech dziewczyny będącej prawdopodobnie jego sympatią, a kto wie, czy nie kimś więcej – nie wiem, czy wrócę i na chwilę obecną nie mogę ci tego obiecać.

Jeśli tylko miałabym zgadywać jego odczucia na podstawie grymasu twarzy, to prawdopodobnie absolutnie go zaskoczyłam.

– Nie takiej odpowiedzi się spodziewałem – przyznał po chwili milczenia – byłem wręcz skłonny twierdzić, iż nasze negocjacje idą w dobrym kierunku.

– Jeśli chcesz odnieść sukces, musisz potrafić zmylić przeciwnika – poradziłam, zerkając na niego spod przymkniętych powiek.

– Zapamiętam tę niespodziewaną lekcję biznesu –

obietą – ale tylko pod pewnym warunkiem – zastrzegł, kończąc swoją wypowiedź.

– Przegrywasz, a mimo wszystko stawiasz warunki?

– Może nie wierzę, iż znajduję się na przegranej pozycji? – stwierdził, nie przestając mnie prowokować.

– Słucham zatem. Być może, w przypływie miłosierdzia względem pokonanego, spełnię któreś z twoich żądań – dodałam znudzonym tonem.

– Pozwól byśmy codziennie rozmawiali przez telefon – poprosił.

– Będę na Bali! – przypomniałam natychmiast.

Ciekawe czy przez przypadek, w ferworze dyskusji naprawdę zapomniał o tym niewielkim, ale znaczącym szczególe?

– To nie ma znaczenia – wzruszył ramionami.

– Myślę, że jednak ma. Jadę na Bali by odpocząć, zrelaksować się, zrobić, miejmy nadzieję, kilka dobrych zdjęć i przygotować się na powrót do Polski.

– Proszę tylko o dziesięć minut każdego z twoich dni w Indonezji.

„Dlaczego po prostu nie potrafię powiedzieć jednego, zdecydowanego nie? Czemu względem siedzącego przede mną mężczyzny nie mogę okazać swojej asertywności?” – pomyślałam w panice, raz po raz zerkając na jego urocze dołeczki w policzkach.

„Bo nigdy nie przejawiałaś zdecydowanej postawy, zwłaszcza w przypadku facetów, za którymi mogło się obejrzeć przynajmniej pięćdziesiąt procent żeńskiej populacji świata” – stwierdziłam, odpowiadając samej sobie w myślach.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł – stwierdziłam w końcu niezdecydowana, widząc jego wyczekującą minę.

– Dlaczego? Przecież to rozwiązanie jest doskonałe! – przekonywał mnie, sięgając w stronę talerzyka z małymi arabskimi ciasteczkami, które w magiczny sposób pojawiły się w międzyczasie na naszym stoliku.

– Jeśli tylko znajdę czas, by odebrać ten telefon – stwierdziłam, czując jak podświadomie poddaję się jego woli.

Uśmiech, który zagościł na jego obliczu mógł mówić sam za siebie. Wyrażał samozadowolenie, i to najwyższego stopnia. Gdyby nie był tak przystojny i czarujący, to zupełnie poważnie zaczęłabym rozważać opcję starcia tego szczęśliwego wyrazu twarzy za pomocą zaciśniętej pięści.

– Zatem umowa stoi – rzekł, chwytając dłonią koniuszki moich palców.

Ten niespodziewany kontakt fizyczny zaskoczył mnie. Słowny flirt, którego elementy można było znaleźć w naszych rozmowach, był czymś innym niż ciepły,

delikatny dotyk jego skóry. W moim odczuciu decydując się na ten gest, wkroczył na kolejny, wyższy poziom naszej nieco dziwnej i niecodziennej znajomości.

Nerwowo spojrzałam na zegarek, chcąc dać mu do zrozumienia, iż nadeszła pora pożegnania, jednak nie odczytał lub po prostu nie chciał zrozumieć tego gestu właściwie.

– Masz ochotę na spacer? Powinniśmy rozprostować nogi po tak wyjątkowej uczcie...

– A nie powinieneś przypadkiem wracać do pracy?

– Jestem prawie pewien, że ojciec nie zwolni mnie ze stanowiska za jedno popołudnie spędzone na wagarach – zażartował.

– A co jeśli się mylisz?

– Przyjdzie mi żyć z procentów funduszu powierniczego odziedziczonego po mamie – odpowiedział bez zająknięcia, nic sobie nie robiąc z wizji utraty rodzinnej firmy.

Jakaś część mnie nieustannie szeptała imię lodowato pięknej Yu Tian, podczas gdy serce próbowało przekonać mnie, że powinnam skupić się na sobie.

– Zabiorę cię do East Coast Park – zaproponował w tym czasie Lee – co prawda nie są to Gardens by the Bay, a zaledwie malownicza plaża wśród zielonych terenów, ale myślę, że może ci się tam spodobać.

– Lee, nie sądzę, aby... – zaczęłam protestować resztką



swojej silnej woli.

– Wyłącz na chwilę swój analityczny umysł i skup się na tej oto chwili – przerwał mi w pół zdania – Bez odrobiny spontaniczności życie staje się nudne, a to bez wątpienia znajdzie odzwierciedlenie w twoich fotografiach. Czy naprawdę chcesz, by ludzie ziewali na wystawie, którą zorganizujesz po powrocie? A może po prostu się mnie obawiasz?

„Od teraz to sprawa honoru! Ja nudna? Banalna? Tchórzliwa? Tego już za wiele! Nawet jak na przystojniaka z drugiego końca świata! Ja mu jeszcze pokażę!”

– Obawiam się? Panie Collins, oby to pan nie uciekł przed końcem dnia z krzykiem! Może się bowiem okazać, iż sztywne reguły skryte za fasadą tego gustownego garniturku zostaną skruszone przez moją spontaniczność!

– Wyzwanie? Uwielbiam wyzwania – zadeklarował, chwytając moją dłoń i niespodziewanie podrywając mnie z krzesła.

Wykorzystując zaskoczenie i zdezorientowanie, wyprowadził mnie z restauracyjki, niemal wepchnął do samochodu i porwał w nieznane.

## Rozdział XII

### East Coast Park

Zsiadłszy z roweru, stanęłam gołymi stopami na piasku i zapatrzyłam się na zachód słońca. Łapiąc oddech, zerknęłam również nieśmiało w stronę mojego towarzysza.

– Muszę przyznać, że masz całkiem niezłą kondycję, jak na sztywniaka w garniturze.

– Regularnie grywam w tenisa z moimi partnerami biznesowymi.

Spojrzałam na niego z lekkim podziwem. Mimo wysokiej pozycji zawodowej, a może właśnie dzięki niej, znajdował czas na sport, relaks, prawdopodobnie również jakieś inne pasje. Ja, odbębniając swoje osiem godzin za biurkiem, czułam się tak wycieńczona, jakbym pracowała w kamieniołomach.

„Czy możliwe, że od naszego własnego nastawienia zależy jakość życia, które prowadzimy? A może to brak stresów związanych z codzienną ekonomią warunkuje lepszą organizację poszczególnych stref naszej codzienności?” – zastanawiałam się, szybko analizując

fakty.

– Dziękuję – szepnęłam, patrząc jak złota kula znika w toni błękitnego morza.

– To ja dziękuję – odpowiedział, stając za moimi plecami – to dzięki tobie chociaż na moment poczułem, że żyję. Udowodniłaś, że mogę się wyrwać z zakłętego kręgu rutyny, w którym sam zamknąłem się kilka lat temu, pragnąc udowodnić sobie, iż świat kręci się dalej i nie stanął w miejscu wraz z jej oddechem...

W tonie jego głosu odnalazłam skrywany ból i pretensje, które rościł względem życia i tajemniczej kobiety, której śmierć zmieniła go w rekina biznesu.

– Lee... – zaczęłam, nie wiedząc co tak naprawdę powinnam powiedzieć w momencie, gdy zdecydował się zaufać mi na tyle, by wypowiedzieć tak osobiste słowa.

– Odeszła zbyt wcześnie – kontynuował w tym czasie, spoglądając w kierunku horyzontu – nie doczekała nawet chwili, kiedy z myślą o niej i jej marzeniach kończyłem studia. Tak bardzo chciałem, by była ze mnie dumna...

– Na pewno jest! Poszedłeś w ślady ojca! Mimo młodego wieku zyskujesz uznanie w branży... – stwierdziłam, próbując podtrzymać go na duchu i zrozumieć, o kim on w ogóle mówi.

– Mama chciała, bym zajął się ochroną środowiska. – wyznał – Ubolewała, że zielone tereny Singapuru

zostają poświęcone na rzecz postępu i techniki. Nie miała okazji przekonać się na własne oczy, że można przekształcić drapacze chmur w miejskie parki, zapewniające tlen niezbędny do życia. Oczywiście wiele ekosystemów uległo zagładzie i nie uda się ich odtworzyć, ale przynajmniej te ocalałe są chronione na tyle, na ile pozwalają na to przepisy i potrzeba wprowadzenia innowacji.

Mówił nieprzerwanie, pozwalając słowom płynąć swobodnie. Przy każdym kolejnym zdaniu wyczuwałam ulgę i spokój, które stopniowo zaczęły dominować w jego głosie.

Emocje wywołane tą wypowiedzią sprawiły, iż poczułam potrzebę przytulenia go, pocieszenia oraz ukojenia jego bólu. Odwróciłam się w jego kierunku i byłam gotowa przysiąc, iż dostrzegłam łzy w kącikach jego oczu. Łamiąc konwenanse, położyłam dłoń na jego barku i utonęłam w smutnym spojrzeniu, którym mnie obdarzył.

– Na pewno cały czas na ciebie patrzy i uśmiecha się, widząc jakiego cudownego syna podarowała temu światu – wyszeptalam.

Nieśmiało i nieporadnie objął mnie swymi ramionami i przyciągnął do siebie. Nie było w tym dotyku nic zmysłowego. Kryła się w nim jedynie potrzeba bliskości i akceptacji. Po chwili, nie doczekawszy się protestu z mojej strony, przytulił mnie

jeszcze mocniej, próbując w ten sposób zyskać odrobinę ludzkiego ciepła, zupełnie jakby brakowało mu go w codziennym życiu.

Staliśmy objęci w ostatnich promieniach słońca. Milcząc, zagłębiliśmy się w świecie swoich własnych myśli, przenosząc się nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni do miejsc, które były najbliższe naszym sercom.

– Dziękuję – szepnął w pewnym momencie, niechętnie odsuwając się ode mnie – chociaż chyba powinienem zacząć od przeprosin – dodał skruszony.

– Nie masz za co przepraszać – zaprotestowałam natychmiast – wszyscy jesteśmy ludźmi.

– Nie powinienem był okazywać tak otwarcie swoich uczuć. Masz na mnie zupełnie niezwykły wpływ. Sprawiasz, że inaczej patrzę na swoje życie, cele, marzenia. Przywodzisz mi na myśl dawno zapomniane fantazje i sprawiasz, że zaczynam wierzyć, że ich spełnienie wydaje się całkiem prawdopodobne.

Nie powiem, że jego słowa nie sprawiły mi przyjemności. Naprawdę mile połechtały moje ego. Być może to jedno z naszych ostatnich spotkań, ale dobrze było mieć świadomość, że nasze zetknięcie się na drodze życia wzbogaciło nie tylko moje podejście do świata, ale również jego.

– Wiesz, myślę, że czasami pod wpływem chwili

otwieramy się i wyznajemy nasze skrywane uczucia obcym. Łatwiej jest wyznać coś osobie, która nie ma udziału w naszym codziennym życiu.

– Nie jesteś kimś obcym... – zaoponował.

Pokręciłam delikatnie głową, zastanawiając się, co właściwie powinnam mu powiedzieć.

– Sam stwierdziłeś, że los zetknął nas ze sobą tylko na moment. Może miał w tym jakiś cel. Przekonałeś mnie, bym zajęła się lepszą promocją moich prac, więc być może ty też zrobisz coś w kierunku spełnienia swoich marzeń. Nie myślałeś o jakiejś kampanii społecznej na rzecz ochrony środowiska? Może nie tu, w Singapurze, ale na przykład w Malezji czy Indonezji.

Spojrzał na mnie, jakby doznał objawienia.

– Wiesz, że jesteś niezwykła?

– Nie, ostatnio nikt mi tego nie mówił – zaśmiałam się radośnie widząc, iż jego humor znacznie się poprawił.

– To ja to powiem. Jesteś absolutnie i niezaprzeczalnie niezwykła!

Spojrzałam na niego, chcąc zobaczyć cudowne dołeczki w policzkach pojawiające się zawsze wtedy, gdy uśmiechał się czarująco. Jednak nigdzie ich nie spostrzegłam, bowiem jego oblicze wyrażało absolutną powagę.

– Chyba powinniśmy już wracać – mruknęłam

speszona, nie wiedząc w jaki sposób odnieść się do jego słów.

– Ale...

– Wczesnym rankiem muszę być na lotnisku – przypomniałam mu szybko.

– Powiedz o której, a wyślę ci mojego kierowcę.

„No tak, zupełnie inna liga” – uświadomiłam sobie, słysząc jego propozycję – „Nikt z moich znajomych nie wypowiedziałby podobnych słów na poważnie”.

– Dziękuję za propozycję Lee, ale metro w zupełności mi wystarczy.

– Po co męczyć się z walizką i przeciskać między innymi pasażerami?

– Bo tak robią normalni ludzie.

– Co masz...

– Lee, pochodzimy z dwóch zupełnie odmiennych światów – uświadomiłam mu to, co on cały czas starał się ignorować – Nie mam sztabu pracowników gotowych do wypełniania moich poleceń. Nie posiadam samochodu z kierowcą i prawdopodobnie nigdy nie chciałabym go mieć! Podróżuję komunikacją miejską, niezależnie od miejsca w którym przebywam, zupełnie tak samo, jak miliony ludzi na całym świecie. Nie chodzę w markowych ciuchach, których cena znacznie przewyższa średnią krajową pensję, ani też nie grywam w tenisa z partnerami biznesowymi.

– Mam przeproszać za to kim jestem? Po prostu korzystam z tego, co dał mi los, ale też chcę się tym podzielić z ludźmi, którzy pojawiają się w moim życiu. Po prostu pomyślałem, że odwiozę cię na lotnisko.

„Zaraz, zaraz, czy ja się oby nie przesłyszałam? On? Osobiście? Chce mnie pożegnać? Hmmm, a może raczej upewnić się czy na pewno wyjeżdżam” – pomyślałam od razu złośliwie, wiedząc, że niesprawiedliwie go oceniam.

– Będzie mi niezwykle miło – przyznałam po chwili – ale jeśli faktycznie chcesz mi towarzyszyć w drodze do portu lotniczego, to spotkajmy się o piątej trzydzieści rano przy stacji metra China Town.

Szok malujący się w jego oczach powiedział mi więcej, niż się spodziewałam. Wyrażał zdumienie, ale też niedowierzanie, iż w ogóle mogłam coś takiego zasugerować.

– Metro? Nie wygodniej będzie pojechać samochodem?

– Potraktuj to jak przygodę. Niech to będzie niezapomniane przeżycie. Jak dzisiejsza wyprawa na East Coast Park – dodałam, wskazując dłonią opustoszałą plażę przypominającą, że za moment robi się całkowicie ciemno.

Zaśmiał się radośnie, przeczesując dłonią włosy. Ten niepozorny gest sprawił, iż poczułam chęć zanurzenia



palców w jego ciemnych puklach.

„Oj, źle z tobą Adrianno” – pomyślałam, próbując zignorować to irracjonalne pragnienie.

– Potrafisz drobnostkę przerodzić w wyzwanie – stwierdził w tym czasie Lee – Zgoda! Wpół do szóstej rano widzimy się przy wejściu do metra.

– Uważaj, bo jeszcze ci uwierzę – zagroziłam.

Podszedł do mnie. Blisko. Zdecydowanie zbyt blisko. Zmysłowy, ciężki, nieco drażniący zapach jego wody po goleniu zaczynał niebezpiecznie oddziaływać na moje zmysły, wywołując fantazje, których nawet nie powinnam śnić!

– Mam nadzieję – wyszeptał, patrząc mi prosto w oczy – musimy już chyba iść, bo wiem mam wrażenie, że jeszcze nie spakowałaś walizki.

„Skąd on do diabła o tym wiedział? Cóż, mimo iż nie zabrałam ze sobą zbyt wielu rzeczy, przydałoby się je jakoś ułożyć zanim odleczę na Bali”.

– Walizka to nie problem, muszę naładować baterie aparatu. Kto wie czy sprzącznik nie przyda mi się w drodze – mruknęłam, próbując przekonać go, że bagaż mam w zasadzie przygotowany.

Uzuciowy mężczyzna, a raczej zagubiony mały chłopiec tęskniący za matką zniknął równie nagle, jak się pojawił. Zastąpił go chłodny profesjonalista, który na powrót przywdział krawat i elegancką marynarkę.

Gdyby nie szalona wyprawa na obrzeża Singapuru, nigdy nie ujrzałabym drugiej, wrażliwej strony jego osobowości.

Otwierając drzwi do mieszkania, spodziewałam się ostrej reprymendy i wykładu na temat zakochiwania się w niewłaściwych i zupełnie niedostępnych dla mnie facetach. Cóż, nie otrzymałam jej! Usłyszałam za to stłumione chichoty i szepty należące niewątpliwie do dwóch zupełnie różnych osób.

– Adrianna?

– Tak, to ja, Ann-Marie. Przepraszam, że tak późno... – odkrzyknęłam, próbując wymyślić jakieś sensowne kłamstwo – Sesja przeciągnęła się dłużej, niż się spodziewałam – palnęłam w końcu, mając nadzieję, że mi uwierzy.

– Jaaaasne – długie, znacząco przeciągnięte słowo rozwiało moje złudzenia – chodź do nas, będziesz miała okazję poznać Alana.

A niech mnie! Słynny tajemniczy wielbiciel we własnej osobie? Nie sądziłam, że będzie dane mi go ujrzeć. Machinalnie przeczesałam dłonią włosy, postawiłam ciężką torbę ze sprzętem na podłodze i ruszyłam w stronę pokoju dziennego.

Po godzinie spędzonej w towarzystwie uroczej pary, jaką niespodziewanie okazała się ta dwójka, doszłam do wniosku, że czasami związki niemożliwe też mają prawo

bytu. Ann-Marie określała swoją sympatię jako przystojnego faceta po trzydziestce, a ja ujrzałam przeciętnego mężczyznę, którego nawet nie rozpoznałabym w tłumie. Patrząc na nich, odniosłam wrażenie, że zmieniałam bajki i zamiast pławić się w kolejnych epizodach opowieści o Kopciuszku, na moment znalazłam się w historii Belli i Bestii! Oczywiście prędzej dałabym się pokroić, niż przyznałabym to na głos.

Szybko spakowałam walizkę i położyłam się spać, marząc o swoim prywatnym księciu z bajki. Mając świadomość, iż wraz z wybiciem północy, a raczej nadejściem przyszłego piątku, wszystko rozpłynie się on w nicości. Podobnie jak królewski zamek w którym, wśród świateł i blichtru wielkiego świata, bawił się niegdyś Kopciuszek.

Zasnęłam żałując, iż nie wykorzystałam dziś okazji, by zrobić chociaż kilka ukradkowych ujęć twarzy Lee. Mimika jego oblicza zafascynowała mnie od pierwszego momentu naszej znajomości. Potrafił zachować pokerową twarz, tak by całkowicie zmylić potencjalnego przeciwnika, zaś innym razem okazywał całą gamę ukrytych emocji bez wypowiedania ich na głos.

Śniłam o kolejnych skradzionych przeznaczeniu chwilach, w których zwierzał mi się ze swoich marzeń, trosk i radości. Trzymał mnie w ramionach, tulił i

całował, tak jak tylko księżę z bajki potrafi to robić. Na koniec, przyjechawszy na białym rumaku do mojej skromnej chatki na końcu świata, zabrał mnie do swego królestwa, obiecując dozogonną miłość i podarowanie mi wszystkich aparatów fotograficznych świata.

Obudziłam się szepcząc imię Lee. Jego obecność była dla mnie taką oczywistością, iż mało brakowało, żebym zaczęła szukać wokół siebie fizycznych śladów jego obecności. Na szczęście szybko się zorientowałam, gdzie jestem i pojęłam, że niektóre marzenia powinny zostać w sferze snów.

Ubrałam się szybko i zebrałam ostatnie elementy osprzętowania fotograficznego. Próbując zachować absolutną ciszę, by nie obudzić Ann-Marie, przeszłam na palcach w stronę kuchni i zagotowałam wodę na kawę. Przysiadłam na krześle i wtedy właśnie usłyszałam melodyjny głos mówiący Dzień dobry!

Odwróciłam się gwałtownie i w drzwiach ujrzałam uśmiechniętą, chociaż lekko zaspaną gospodynię.

– Gotowa na relaks na plażach Bali?

– Tak... Nie... – zaczęłam się plątać, sama nie wiedząc, jak powinna brzmieć odpowiedź na to banalne w gruncie rzeczy pytanie.

– Zakochałaś się... – rzekła, a w tonie jej głosu brzmiała pewność, o jaką nie mogłabym jej posądzić.

– Nie, to nie tak. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Wczoraj opowiedział mi o swoich marzeniach i o zmarłej matce... Takich rzeczy nie mówi się przecież na randkach.

– Na randkach z wypchnionymi laskami nie, ale jeśli widzi się w człowieku coś więcej, to kto wie... – spuentowała moją nieporadną linię obrony.

– Wyjeżdżam, zapomniałaś?

– Ale wrócisz! Bo wrócisz, prawda? Mam wyjść po ciebie na lotnisko w poniedziałek wieczorem?

Jej słowa potwierdziły to, co myślałam na jej temat. Chociaż dopiero co się poznałyśmy, stałyśmy się przyjaciółkami, których więź przetrwa, mam nadzieję, dzielący je dystans.

– Wrócę, jeśli tylko nie masz mnie jeszcze dość...

– Jak dla mnie możesz zostać na zawsze. Pod warunkiem, że będziesz mi codziennie robić pyszne śniadania – zaśmiała się, podając mi filiżankę.

Napełniłam ją czarnym, gorącym płynem i postawiłam przed nią na kuchennym blacie.

– Łąduję o dwudziestej czterdzieści pięć – powiedziałam, mając nadzieję, że ta informacja wystarczy za wszystkie słowa, których nie potrafiłam w sobie odnaleźć.

– Będę – zapewniła – czy teraz też powinnam wskoczyć szybko w jakieś džinsy i podkoszulek, aby odeskortować cię na lotnisko?

Hmmm, powiedzieć jej czy nie powiedzieć? Oto jest pytanie! Powiedzieć! Bo jeśli tylko ruszy ze mną, to sama dowie się prawdy.

– Mam już obstawę – wyznałam nieśmiało.

– Przynajmniej sąsiedzi będą mieli o czym plotkować – zachichotała radośnie, niczym mała, psotna dziewczynka.

Spojrzałam na nią pytająco, nie rozumiejąc jaką drogą podąża jej tok rozumowania.

– Wypasiony Bentley parkujący przed naszym budynkiem nie zdarza się codziennie – wyjaśniła niezwłocznie.

– Niestety twoi sąsiedzi będą musieli znaleźć sobie jakiś temat zastępczy. Jedziemy na lotnisko metrem!

– Czy możesz powtórzyć? Chyba coś źle zrozumiałam, bo przecież niemożliwością jest, by Lee Collins podróżował komunikacją miejską jak zwykły zjadacz chleba!

– A jednak! – stwierdziłam tajemniczo, skrywając uśmiech za filiżanką kawy, z której wypiłam ostatni łyk.

– Dużo bym dała, by to zobaczyć... – westchnęła Ann-Marie, kręcąc się nerwowo na krześle.

– Dużo byś dała, by zobaczyć jego! – poprawiłam ją natychmiast, parafrazując jej wypowiedź.

Miałam dodać coś jeszcze, ale nie zdążyłam. Słowa

zamarły mi na ustach, bowiem całą uwagę skoncentrowałam na uchyleniu się przed kuchenną ścierką szybującą w moim kierunku.

– Myślisz, że mam ochotę na faceta przyjaciółki? – spytała głosem pełnym urazy.

– Nie, ale sądzę, iż masz chętkę poznać go i wydać bardziej racjonalną opinię na jego temat.

Ann-Marie przechyliła lekko głowę, nieświadomie podkreślając tym gestem swoje zamyślenie.

– A wiesz, że prawdopodobnie masz rację? Powinnam go poznać! To mój moralny obowiązek, bo coś w kościach mówi mi, że zamierzasz się z nim spotkać po powrocie z Bali.

– Na razie tylko to rozważam – odpowiedziałam dyplomatycznie, zerkając nerwowo na zegarek.

– Może i jestem ekonomistą, ale znam się trochę na mowie ciała – mruknęła Ann-Marie – poza tym zdrowy rozsądek podpowiada mi, że musisz już pędzić na swoją randkę w miejskim metrze. Zostaw to wszystko, pozmywam później – rzekła, wskazując filiżanki i niewielki talerzyk – uściskaj mnie i pędź ku przeznaczeniu! Zrób też coś dla mnie. Znajdź sobie na Bali przystojniaka naprawdę wartego ciebie i potrafiącego docenić skarb, który niespodziewanie wpadł mu w dłoń.

– Nie będzie żadnych przystojniaków. Ani

przyjezdnych, ani lokalnych – rozwiałam jej nadzieje – będzie plaża, ryksza albo jeszcze lepiej rower, długie sesje zdjęciowe i może kilka masaży w lokalnym SPA.

– Nigdy nie mów nigdy.

– Hmm, ktoś mi to już ostatnio mówił – mruknęłam, przypominając sobie Lee wypowiadającego słowa przywodzące mi na myśl niepokonanego agenta Jej Królewskiej Mości.

Zebrałam swoje rzeczy i uściskałam drobną szatynkę serdecznie, dziękując jej za wszystko.

– Nie dziękuj tylko wracaj do mnie cała i zdrowa – poleciła, odprowadzając mnie do drzwi – a jak znajdziesz moment, to napisz mi w mailu co tam u ciebie słychać.

– Wyślę ci wiadomość jak tylko zamelduję się w hotelu. Z informacji na ich stronie wynika, że mają internet w lobby.

– Będę czekać – obiecała.

Chwyciłam rączkę walizki, zarzuciłam torbę ze sprzętem fotograficznym na ramię i wymknęłam się cichutko z mieszkanka Ann-Marie, machając jej na pożegnanie. Czekala mnie przygoda, której nie mogłam pominąć odwiedzając ten zakątek Azji. Czując się jak Kopciuszek wyruszający na zupełnie nowy i odmienny bal, organizowany przez księcia z innego królestwa, ruszyłam pustą ulicą w kierunku stacji metra.



## Rozdział XIII

### Bali

Wychodząc z za rogu, dostrzegłam go. Stał i rozglądał się nerwowo. Ubrany w markowe džinsy i elegancki blezer wyglądał na przedstawiciela singapurskiej klasy średniej. Wyróżniał się szykiem, ale nie rzucał się w oczy tak bardzo, jak w większości momentów, gdy miał na sobie koszmarne drogi, prawdopodobnie ręcznie szyty garnitur.

„Cóż, podołał wyzwaniu” – pomyślałam, stawiając krok naprzód. Wtedy właśnie dostrzegłam czarnego Bentleya zaparkowanego nieopodal. Oczywiście! Nie byłby sobą gdyby nie stawił się na miejscu spotkania w sobie tylko właściwym stylu.

Usłyszawszy dźwięk kółeczek walizki sunącej po trotuarze, podszedł do mnie pośpiesznym krokiem. Przejmując opiekę nad ciężkim bagażem, szepnął cicho:

- Witaj.
- Dzień dobry, Lee – odpowiedziałam, przywołując sny, które dręczyły mnie ostatniej nocy.
- Cieszę się, że cię widzę.

Tak, wiem, z pewnością to tylko standardowa formułka, którą wypadało wypowiedzieć, bez przywiązywania szczególnej wagi do jej treści, ale z jakiegoś powodu te pięć prostych słów sprawiło mi przeogromną radość i rozpaliło ciepłe uczucie umiejscowione w okolicach serca.

– Ja też – odpowiedziałam w końcu łamiącym się głosem.

– Gotowa na podbój nowego zakątka świata?

– Jak najbardziej. Nie mogę się już doczekać.

– Zatem w drogę. Chciałbym dodać powóz czeka, ale chyba nie jest to określenie właściwe dla transportu miejskiego.

Zamarłam. Moje gdybania o bajkach i Kopciuszku to jedno, ale jego nawiązanie do tego tematu, to już zupełnie inna para kaloszy. Ciekawe skąd w ogóle coś takiego przyszło mu do głowy.

– Dlaczego by nie? Samolot, którym tu przyleciałam był moją prywatną, chociaż całkiem publiczną, karocą.

– Skoro tak na to patrzysz, to faktycznie masz rację – przyznał – komu w drogę, temu czas – dodał szybko – jeśli faktycznie nie zamierzasz zostać w Singapurze dłużej, to chyba powinienem odstawić cię na lotnisko.

– Jest to wysoce wskazane, Wasza Wysokość. Kopciuszek musi umknąć, nim zegar na zamkowej wieży wybije godzinę odlotu.

Zaśmiał się radośnie. Zupełnie tak samo, jak podczas naszego przypadkowego spotkania w Gardens by the Bay. Wtedy nie wiedziałam jeszcze jak bardzo bogatym jest człowiekiem. Nie miałam też świadomości istnienia Yu Tian. Cóż, Kopciuszek tym razem będzie musiał zadowolić się samym balem, a księcia oddać prawowitej księżniczce.

Kiedy weszliśmy do wagonu wypełnionego ludźmi, z zaskoczeniem zauważyłam, iż Lee niespokojnie się rozgląda, bacznie obserwując otoczenie.

– Czy coś się stało? – spytałam zdezorientowana jego zachowaniem.

– Nie, nie – odparł, nie zaprzestając wodzenia wzrokiem to tu, to tam.

– Singapur jest jednym z najbezpieczniejszych państw świata – przypomniałam mu, mimo że to on powinien wiedzieć o tym lepiej.

– Faktycznie – zgodził się ze mną, po czym odetchnął głęboko – Wiesz, nie jestem przyzwyczajony do ciasnych, tłocznych przestrzeni poruszających się z ogromną prędkością.

– Wiesz, że właśnie opisałeś samolot? Nie uwierzę, że nie podróżowałaś z jego pomocą.

Lee uśmiechnął się ponuro i jakby ważąc słowa szepnął:

– Tylko pierwszą klasą.

– No tak, głupia ja – mruknełam, ponieważ zastanawiając się nad tym szczegółem – zatem to jest następne wyzwanie! Zmusić się do lotu w klasie ekonomicznej – dodałam, szczerząc zęby z radości.

Towarzyszący mi mężczyzna zmrużył oczy i uśmiechnął się jak kot, który właśnie pochwyił tłąstą, dorodną mysz.

– Zatem przewidujesz następny raz! Jak rozumiem będąc na Bali odbierzesz telefon ode mnie...

„Cholera, cholera, cholera! Że też musiałam palnąć coś takiego!”

– Kto wie? Wyzwanie mogę przekazać jakieś miejscowej piękności. Myślę, że Yu Tian nie miałyby nic przeciwko wycieczce w twoim towarzystwie.

Wiem, postawiłam wszystko na jedną kartę, ale kto nie ryzykuje, ten tak naprawdę nigdy nie wygrywa.

Lee skrzywił się nieznacznie na dźwięk wymienionego imienia, zupełnie jakby musiał nagle przełknąć łyżkę soku z cytryny.

– Ja nie mam nic do powiedzenia w kwestii wyboru osoby, z którą przyjdzie mi wypełniać owo zadanie? Zresztą, między nami mówiąc, nigdy by jej do głowy nie przyszło jechać metrem czy lecieć klasą ekonomiczną.

– I tu mnie masz! Nasze światy są absolutnie różne, nie posiadają żadnego wspólnego mianownika. Zapewne

również nasze wieczorne rozrywki diametralnie się od siebie różnią.

– Teatr, koncert tradycyjnej muzyki chińskiej – zaczął wymieniać.

– Opera, ale też i jakiś klub taneczny, niekoniecznie wymagający złotej karty członkowskiej – rzekłam, sprowadzając go na ziemię.

– Naprawdę lubisz to włoskie zawrodożenie działające na bębenki słuchaczy?

O.K., tego się nie spodziewałam. Jak widać nie wszystkie wyższe sfery muszą przepadać za dorobkiem kulturowym Europy. Ta tradycyjna muzyka chińska powinna była mi to podpowiedzieć.

– Nie tylko lubię, ale wręcz uwielbiam! – oburzyłam się natychmiast – Jeśli pojmiesz nie tylko głębię treści, ale i ukryty dowcip, możesz odkryć, że już przed wiekami doskonale scharakteryzowano ludzkie przywary, które są równie aktualne teraz, jak w momencie powstania danej opery. Nie mówiąc już o tym, iż np. utwory Wagnera sięgają do bogatej, ale mało znanej mitologii nordyckiej.

Pochylił się lekko, zupełnie jakby chciał oddać mi szacunek.

– Nie mam o tym zbyt dużego pojęcia, ale chętnie wezmę u ciebie korepetycje z tego tematu. Musimy tylko uzgodnić gdzie i kiedy!

– Jeśli kiedykolwiek zawitasz do Polski, to obiecuję zabrać cię do opery, chociaż łoży vipowskiej nie gwarantuję – zażartowałam, plotąc bzdury i nawet się nad nimi nie zastanawiając.

– Panno Adrianno, daje mi pani coraz to większe nadzieje. Nie wiem, czy powinienem się cieszyć, czy też martwić! – odparł frywolnym tonem, nie zdradzając nic więcej.

– Ani to, ani to – wyjaśniłam szybko – właśnie lecę na Bali, a za tydzień wracam do Polski i niestety nie sądzę, bym szybko tu wróciła. Jak już wspominałam, profilu na Facebooku nie posiadam, a maila zmienię zaraz po naszej małej wymianie zdjęć.

– O nie, nie, nie! Fotografiami wymienimy się podczas wtorkowej kolacji i nawet nie protestuj, bo i tak nie przyjmę odmowy!

– We wtorek będę na Bali – skłamałam gładko – jeśli tylko doleczysz na miejsce, to z chęcią zjem z tobą kolację.

– O nie, nie moja panno – zaprotestował ponownie – nie możesz tak po prostu porzucić mnie bez słowa, łamiąc serce i nie dając mi możliwości spędzenia z tobą więcej czasu...

Zamurowało mnie! Chociaż nie, nawet to określenie nie było dość adekwatne do stanu, w który wprowadziły mnie jego słowa. Na szczęście jednak przeznaczenie

okazało się być po mojej stronie. Kiedy ostatnie dźwięki jego wypowiedzi przebrzmiały w gwarze otoczenia, miły kobiecy głos oznajmił przybycie do stacji przesiadkowej, skąd odchodziła linia do terminalu lotniska Changi. Jakkolwiek by na to nie patrzeć, zostałam ocalona przez metro!

Bagaż zdany, bilet odebrany, pozostało już jedynie się pożegnać. Zatrzymałam się i zerknęłam na niego niepewnie.

– To już, prawda? – spytał, chociaż prawdopodobnie doskonale znał odpowiedź na to banalne pytanie.

Skinęłam głową, nie znajdując w sobie dość siły, by powiedzieć jedno proste „tak”.

– Udanego lotu i wracaj bezpiecznie do Singapuru. Będę na ciebie czekał.

Pokręciłam przecząco głową, zdając sobie sprawę, że kontynuowanie tej znajomości nie ma najmniejszego sensu.

– Lee, jesteś cudownym człowiekiem, ale nie wiem, czy powinieneś poświęcać mi swój czas...

– Pozwól, że sam o tym zdecyduję.

– Wydaje mi się, że Yu Tian też ma coś do powiedzenia w tej sprawie – mruknęłam, odsłaniając wszystkie karty.

– Słucham? A co moja tymczasowa asystentka ma wspólnego z nami?

„To są jacyś my”? – pomyślałam w panice, próbując zrozumieć jakim sposobem zostałam pokonana bronią, którą sama wytoczyłam – „Skup się na temacie rozmowy!” – poleciłam sobie natychmiast.

– Lee, z zachowania córki twojego wspólnika wywnioskowałam, że jesteście parą i być może nawet poczyniono plany względem waszej wspólnej przyszłości. Nie wiem do czego zmierza nasza krótka i niewinna znajomość, ale nie chcę w żadnym razie stać się zmartwieniem dla jakiegokolwiek kobiety, dlatego zawczasu powinnam usunąć się w cień.

Westchnął ciężko, a w tym jednym dźwięku zawierała się nie tylko potężna dawka zmęczenia, ale też strapienia.

– Owszem, zarówno Yu Tian, jak i jej ojciec, z ogromną radością powitaliby diamentowy pierścionek świadczący o połączeniu aktywów firmy, ale nie leży to w moich osobistych zamierzeniach. Zauważyłem roszczeniową postawę mojej asystentki, ale starałem się ją po prostu zbywać. Nie sądziłem jednak, że jest ona tak oczywista również dla postronnych obserwatorów.

Nie powiem, ulżyło mi. Przynajmniej nie byłam podrywaczką cudzych narzeczonych!

– Myślę, że ignorowanie jej poczynań jedynie zachęca ją do kolejnych tego typu zachowań i utwierdza w przekonaniu, że ma szansę na wspomniany drobiazg – powiedziałam zupełnie szczerze, nie chcąc dopuścić do głosu rozbudzonych nadziei.



Lee skrzywił się nieco, zupełnie jakby podjęty niespodziewanie wątek był dla niego wyjątkowo nieprzyjemny.

– Kobieca logika – mruknął w końcu – dlaczego nie dołączono do was instrukcji obsługi?

– Powód jest prosty – każda z nas musiałaby mieć indywidualną, zupełnie unikatową.

– Prawdopodobnie masz rację. Nie mniej jednak, chciałbym się z tobą jeszcze spotkać. Wróc we wtorek i spędź ze mną wieczór – poprosił niespodziewanie, powracając do porzuconego na chwilę tematu.

Co ja powinnam z nim zrobić? Bajka i wiara, że prosta dziewczyna może związać się z księciem to jedno, a rzeczywistość i przepaść kulturowa, ekonomiczna, społeczna i geograficzna to zupełnie inna historia. Nie chciałabym, aby ta krótka znajomość zaważyła na moim ewentualnym związku w przyszłości. Przecież żaden mężczyzna nie będzie miał szans w porównaniu ze stojącym przede mną gentlemanem.

– Pomyślę o tym – obiecałam – teraz niestety muszę już iść. Zanim dotrę do właściwego terminalu, pewnie po drodze zagubię się kilka razy – zażartowałam, próbując w ten sposób ukryć swoje zmieszanie.

Skinął na znak zgody, po czym nagle, bez żadnego ostrzeżenia, chwycił mnie i zamknął w delikatnym, ale stanowczym uścisku. Patrząc w jego ciemne oczy,

zrozumiałam, co zamierzał uczynić.

Kiedy jego pięknie wykrojone usta dotknęły moich warg, odruchowo przymknęłam oczy i spróbowałam chłonąć ten niespodziewany pocałunek wszystkimi możliwymi zmysłami. Czując ciepło jego policzka ocierającego się o moją skórę, poczułam się odurzona zapachem jego wody po goleniu, której aromat zdawał się przesiąkać mnie samą. Siła jego ramion kontrastująca dość ostro z subtelnością dotyku dłoni, wprawiła mnie w stan porównywalny z hipnozą lub otumanieniem. Tymczasem jego usta wypalały na mej duszy ślad i wspomnienie chwili, której z pewnością nigdy nie zapomnę.

Lee zakończył ten niesamowity pocałunek równie nagle, jak go zaczął. Z zaskoczenia otworzyłam oczy, domagając się w ten sposób kontynuacji czułej pieśczoły. Ujrzawszy moje zamglone źrenice, przytulił mnie jeszcze mocniej, a po chwili, wypuszczając z objęć, uśmiechnął się promiennie.

– Do zobaczenia we wtorek – mruknął niemal zmysłowo – Miłego lotu. Wieczorem zadzwonię, by dowiedzieć się jak minęła podróż – dodał po chwili, wykorzystując moje milczenie.

Następnie pochylił się i dosłownie musnął moje usta kolejnym pocałunkiem, w którym zawarł coś, czego nawet nie powinnam próbować nazwać.

Zanim zdołałam wydobyć z siebie chociażby jeden

dźwięk, pomachał mi na do widzenia i spokojnym, pełnym gracji krokiem, ruszył w kierunku wyjścia z terminalu.

Przez kolejne kilka godzin żyłam jak w transie. Niemal z automatyczną precyzją znalazłam bramkę prowadzącą do odpowiedniego samolotu, przetrwałam lot, którego nie pamiętałam, złapałam taksówkę i trafiłam do niewielkiego, ale eleganckiego hoteliku.

„Pamiętaj, znajdujesz się na drugiej półkuli. Być może tutaj pocałunek nie jest czymś tak specjalnym, jak w twoim własnym mniemaniu” – szepnęłam, prowadząc dialog z samą sobą.

„Jasne, każdy facet całuje w tak niezwykły sposób wszystkie swoje znajome!” – mruknęłam, rozpamiętując własną naiwność.

Pogrążona w myślach o Lee, dopiero po dłuższej chwili zauważyłam piękno otaczającej mnie przyrody. Zielone palmy pochylające się nad taflą morza, przeglądające się w jego wodach, kołysały się lekko pod wpływem ciepłej bryzy. Poczułam spokój obserwując ostatnie promienie słońca oświetlające swym światłem ziemię w niemej obietnicy rychłego powrotu wraz z nastaniem kolejnego poranka. Nie ważne, co stanie się we wtorek, za tydzień czy też miesiąc. Moje życie trwa i powinnam cieszyć się tym, co dzieje się tu i teraz. Spoglądając zbyt często w przyszłość lub też przeszłość można przecież przegapić

całe mnóstwo cudownych chwil dziejących się w terażniejszości. Rozpamiętując wydarzenie sprzed kilku godzin, niemal przegapiłam cud natury rozgrywający się na moich oczach. Nie powinnam do czegoś takiego dopuścić.

Opatrzność, za sprawą przyjaciół, podarowała mi ogromny dar. Powinnam w pełni wykorzystać możliwości i postarać się zmienić swoje życie na lepsze. Dobrym pomysłem byłoby przeanalizowanie kilku faktów, dojście do właściwych wniosków i stworzenie chociażby orientacyjnej strategii, którą powinnam obrać tuż po powrocie do Polski.

Zaraz, zaraz! Znowu zapominam o przepięknej naturze Bali, zagłębiając się zbyt w świecie myśli. Dostyc tego! Czas chwycić aparat w dłoń i cyknąć kilka pocztówkowych ujęć morza, palm kołyszących się na wietrze i pary spacerującej kilkadziesiąt metrów ode mnie. Odległość gwarantowała im anonimowość, dając mi szansę na romantyczne ujęcie symbolizujące życie oraz miłość do ludzi i natury. Kto wie, może nawet uda mi się je z zyskiem sprzedać na jednym z portali, o których wspominała Ann-Marie. Nie zaszkodzi, jeśli zorientuję się nieco w temacie i poznam nowe możliwości rozwoju, również zawodowego.

Czując przypływ pasji i chęci dokonania jakiejś zmiany, chwyciłam za aparat wiszący do tej pory na ramieniu i wycelowałam obiektyw wprost w czerwoną

kulę zanurzającą się w bezkresnych wodach morza. Zatracając się w świecie fotografii, zapomniałam o dręczących mnie do tej pory myślach, wątpliwościach i obawach.

Właśnie miałam uchwycić na zdjęciu ptaka wzbijającego się w przestworza, gdy nagle z głębi torby porzuconej na piasku usłyszałam sygnał telefonu. Nie śpiesząc się, wykonałam jeszcze kilka zdjęć i sięgnęłam po prezent od Lee. Doskonale zdawałam sobie sprawę, iż to zapewne jego głos usłyszę już za moment.

– Słucham? – rzuciłam cicho, próbując ramieniem utrzymać telefon przy uchu i jednocześnie pochwycić kamerę w celu zrobienia kolejnych tego wieczora ujęć.

– Cześć, księżniczko. Jak minął lot?

Nie będę ukrywać, iż dotrzymanie przez niego obietnicy złożonej rano sprawiło mi nieskrywaną radość.

– Fantastycznie – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, próbując jednocześnie odnaleźć na horyzoncie jakiś ciekawy punkt, który mógłby stać się osią kompozycji technicznie poprawnego ujęcia mającego stać się doskonałą pamiątką wieczoru – Podróż upłynęła bez większych problemów. Nawet udało mi się odnaleźć mój hotel.

– Świetnie. Mam przeczucie, że siedzisz teraz na rozgrzanym piasku i obserwujesz jak ostatnie promienie

słońca zanurzają się w głębinach turkusowego morza – szepnął zmysłowym głosem, wywołując we mnie dreszcz, o jaki nawet bym się nie podejrzewała.

– Jakbyś zgadł. – przyznałam niechętnie, zdradzając jak dobrze zdążył poznać moje nawyki i ulubione czynności – Chociaż kilka szczegółów się nie zgadza. Na piasku jeszcze nie udało mi się wylądować – sprostowałam natychmiast, wytykając mu z dziką przyjemnością nieścistości jego wizji.

– W dłoni zaś trzymasz kolorowego drinka z parasolką – dodał niezrażony moją postawą, kontynuując opisywanie tego, czym jego zdaniem aktualnie się zajmowałam.

„Pudło!” – miałam ochotę wykrzyknąć wprost do telefonu, zerkając jednocześnie na mój ukochany aparat fotograficzny, którym próbowałam od dłuższej chwili zatrzymać chociażby odrobinę magii tego wieczoru.

– Niestety, wyczerpał pan swój zapas szczęścia na dziś – odpowiedziałam głosem do złudzenia przypominającym ton generowany automatycznie, używany we wszelkiego rodzaju infoliniach – Ściskam aparat i próbuję zrobić kilka ostatnich zdjęć tego wieczora.

Usłyszałam zupełnie niezrozumiałe słowo, którego nawet nie byłabym w stanie powtórzyć. Mimo wszystko byłam niemal pewna, iż miałam właśnie okazję zaznajomić się z jakimś przekleństwem.

– Mogłem to przewidzieć – rzekł zły sam na siebie – ale pomyślałem, że pierwszy dzień w raju świętujesz w jakiś bardziej oryginalny sposób.

– A po co, skoro ten stary jest sprawdzony i działa rewelacyjnie?

Milczenie. Zdawało się przedłużać w nieskończoność, zupełnie jakby nie znał odpowiedzi na zadane przeze mnie pytanie. W końcu usłyszałam niewyraźne chrząknięcie i cichy głos, pozbawiony wcześniejszej zadziornej nutki radości.

– Sądziłem, że chociaż trochę myślałaś o mnie i zamarzyłaś o wspólnym wieczorze, jaki właśnie opisałem.

Nagroda roku dla największego pochlebcy i czarusia wędruje oczywiście do... tu powinny rozlec się donośne werble... Lee Collinsa! Pojedynczym zdaniem pozbawił mnie nie tylko głosu, ale też i oddechu.

– Jedno nie wyklucza drugiego. Mógłbyś wylegiwać się w hamaku, który wisi pod sąsiednią palmą i obserwować jak robię kolejne zdjęcia, trzymając oba kolorowe drinki z parasoleczkami – odpowiedziałam nieco zuchwale.

– I to się nazywa kobieta z pomysłem! Podoba mi się ten plan!

„Jasne, przez telefon można powiedzieć niemal wszystko! Ciekawe czy tak samo byś śpiewał stojąc metr

ode mnie”. – pomyślałam, próbując zrewanżować się jakąś ciętą ripostą, by odnieść spektakularny sukces w tej słownej utarczce.

– To zrób coś z tym – poradziłam w końcu.

– Kuisz – odparł, a w jego głosie dało się słyszeć nutkę rozbawienia.

– Cóż, od czasów Ewy kobiety bywały kusicielkami, więc nie możesz o to winić akurat mnie.

– Celną uwagę – zgodził się bez chwili zwłoki – nie mniej jednak przedstawiona przez ciebie wizja brzmi niezwykle obiecująco. Przypomnij mi, bo zapomniałem, gdzie się zatrzymałaś?

Tym razem to ja roześmiałam się radośnie. Jego wrodzony spryt nie potrafił pozostać w uśpieniu nawet przez moment.

– Nie mogłeś zapomnieć, ponieważ nigdy nie zdradziłam ci miejsca mojego pobytu – mruknęłam na wpół żartobliwie, na wpół upominająco.

– Zatem najwyższy czas naprawić to niedopatrzenie – zgrabnie odbił piłeczkę ze swojej strony dyskusyjnego boiska.

– Czyżbyś wybierał się w ten weekend na Bali?

Cisza. To zdumiewające na jak wiele sposobów można interpretować ten bezdźwięczny stan rzeczywistości. Potwierdzenie? Zaprzeczenie? A może niepewność? Tak wiele treści zawartych było w tym



milczeniu.

– Gdybym tylko mógł, już bym tam był. Niestety praca mi na to nie pozwala. Chcę jednak poznać zakątek, który skusił cię w tym niewielkim rajku – usłyszałam w końcu.

„A co, głupia, sądziłaś, że rzuci wszystko i przyleci za tobą tylko po to, by popatrzeć sobie cielecym wzrokiem w twoje błękitne oczy?” – zapytałam ze złością samą siebie, poddenerwowana, iż dałam się ponieść fantazjom.

– Nie sądzę, by ci się tu spodobało. Prosty pokój, bez żadnych wydumanych luksusów, nieco zarośnięty ogród, niewielka plaża i ogrom bezkresnego morza – mruknęłam nieprzyjemnie, próbując zbagatelizować uroki tego niezwykłego zakątka.

– Wypróbuj mnie – stwierdził – być może nie jestem aż tak rozpieszczonym dzieciakiem, za jakiego mnie uważasz – dodał, a coś w jego głosie mówiło mi, że poczuł się urażony.

– Nie chodzi o rozpieszczenie – wytłumaczyłam natychmiast, chcąc złagodzić swoje poprzednie słowa – po prostu to inny standard. Tak jak nie nawykłeś do środków publicznego transportu, tak prawdopodobnie nie czułbyś się dobrze w prostym bungalowie, gdzieś pośrodku niczego. Przepraszam, jeśli nieświadomie cię uraziłam – dodałam w ostatniej chwili.

– Nie ma za co. Prawdopodobnie masz rację. Źle bym się czuł w opisanym przez ciebie otoczeniu. Nie mówmy już o tym. Niestety, nie mogę przylecieć na Bali, by się z tobą spotkać – rzekł, ale odniosłam wrażenie, że doszedł do tego wniosku dopiero przed sekundą, zmieniając swoje plany w ostatniej chwili – nie mniej jednak czekam na ciebie we wtorkowy wieczór. Nienawidzę jeść samemu kolacji i mam nadzieję, że nie narazisz mnie na samotny posiłek, spędzony na wypatrywaniu pary najpiękniejszych oczu, jakie w życiu widziałem.

Skąd on bierze te wszystkie teksty? Czyżby jakieś tajne stowarzyszenie podrywaczy wydało podręcznik „Jak zmiękczyć kobiecie serce?”

– Lee... – szepnęłam, nie mając siły po raz kolejny kłamać.

– Nic nie mów – poprosił – po prostu pozwól mi żyć nadzieją na ponowne spotkanie i wspólny wieczór. Do zobaczenia we wtorek – dodał szybko.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, w słuchawce rozległ się sygnał obwieszczający zakończenie połączenia.

Zapomniałam o otaczającej mnie naturze, wyjątkowym zachodzie słońca i zdjęciach, które chciałam wykorzystać w przyszłości. Stojąc pośrodku pustej plaży, wśród powoli zapadającego mroku, wsłuchiwałam się w monotony sygnał w telefonie,

jakbym nagle miała usłyszeć na powrót głos mężczyzny, z którym jeszcze chwilę temu rozmawiałam.

Chcąc okazać się doświadczoną flirciarą, przedobrzyłam sprawę i prawdopodobnie zblaźniłam się w jego oczach. Wytknęłam mu wielkopańskie maniry i gusta, zraziłam do przyjazdu tutaj, jeśli faktycznie takowy planował i sprawiłam, że w grzeczny sposób zasygnalizował mi, iż nie zamierza do mnie więcej dzwonić. Przynajmniej nie w ciągu tych kilku najbliższych dni.

Może to i dobrze? Takiemu Kopciuszkowi, jak ja powinien wystarczyć bal i zaczarowany zamek. Bajki nie ziszczają się w czasach, w których większość księżąt zmieniała tradycyjnego białego rumaka na głośne i szybkie Lamborghini.

Wrzuciłam telefon do torby, próbując w ten sposób definitywnie odciąć się od rozmowy, która wytrąciła mnie z równowagi. Nie przeczę, stało się tak z mojej własnej winy i chyba właśnie to spotęgowało moje impulsywne zachowanie.

Bez chwili zastanowienia zmieniałam obiektyw w aparacie i nieco na oślep, w furii, zaczęłam robić nocne zdjęcia plaży i morza, a potem również gwiazd i księżyca. Nawet nie zauważyłam, że coraz bardziej zagłębiając się w gęstwinę, brnęłam w nieznane mi terytorium niekoniecznie należące do hoteliku, w którym się zatrzymałam.

Zanim się obejrzałam, minął cały czas, jaki zamierzałam spędzić wśród plantacji herbaty, starych buddyjskich świątyń i ciągnących się w nieskończoność rajskich plaż. Zrobiłam setki ujęć, które w moim odczuciu stanowiły tylko niewielki odsetek tego, co udało mi się zobaczyć. Krajobrazy, złudzenia wywołane grą światła i cienia oraz serdeczność i gościnność mieszkańców tej niewielkiej wysepki sprawiły, że przez moment poczułam się jak w domu, którego nie powinnam była opuszczać.

W poniedziałkowy poranek obudziłam się z poczuciem niedosytu i wątpliwościami czy nie powinnam zostać tu przynajmniej do czwartku. Morze, które każdego dnia wprost zachęcało mnie do długich kąpeli, przyzywało mnie zbyt głośno, bym mogła tak po prostu zignorować jego wołanie.

Spojrzałam tęsknym wzrokiem w kierunku na wpół spakowanej walizki i stwierdziwszy, iż mam jeszcze przeszło trzy godziny czasu, zanim przyjdzie mi oddać klucz do pokoju, ruszyłam w kierunku plaży. Na granicy wyznaczonej przez soczyście zieloną trawę, kontrastującą z białym piaskiem, przystanęłam na moment, jeszcze raz próbując utrwalić w pamięci roztaczający się przede mną widok. Rozkoszując się wyjątkową ciszą i spokojem, odetchnęłam głęboko, szepcząc w myślach życzenie rychłego powrotu do tego raj na ziemi.

Unosząc się na spokojnych morskich falach, niemal zapomniałam o pozostawionych za sobą problemach, dylematach związanych z poszukiwaniem pracy i z planami na przyszłość. Ba, na jeden krótki moment udało mi się wymazać z pamięci nawet obraz przystojnego mężczyzny, który wpadł na mnie pierwszego wieczora spędzonego w Singapurze. Lee, podobnie jak otaczające mnie morze, będzie ciepłym wspomnieniem mobilizującym mnie do walki o lepszą siebie.

Niestety, nic, co dobre nie trwa zbyt długo. Wyszłam na brzeg ociekając słoną morską wodą i uśmiechnęłam się do własnych myśli w sposób, jaki znany jest jedynie osobom, którym udało się osiągnąć wewnętrzny spokój. Te kilka dni, które poświęciłam na poznanie tak samej siebie, jak i swoich najskrytszych pragnień, pozwoliło mi zapanować na stresem oraz przejść do porządku dziennego nad rzeczami, których zmienić nie mogłam. Krok po kroku, jak dziecko uczące się samodzielnie chodzić, powinnam zdobywać swoje cele i zamierzenia, nie ulegając zaściankowym kompleksom czy ocenom obcych ludzi. To ja, Adrianna, powinnam przejąć w pełni kontrolę nad swoim życiem i wreszcie zastanowić się, co chcę uczynić z resztą mojej trzydziestoletniej już egzystencji.

W pośpiechu wrzuciłam do walizki kilka ostatnich rzeczy rozrzuconych po pokoju, bardziej upychając je

na oślepienie, niż porządnie pakując. Czas naglił, przypominając nieuchronnie o godzinie lotu mającego sprowadzić mnie z powrotem do Singapuru.

Przeczesując mokre po prysznicu włosy, zerknęłam na swoje własne odbicie w lustrze i dostrzegłam lekko zaczerwieniony czubek nosa, kontrastujący ze skórą brązowiejącą powoli na skutek kontaktu ze słońcem. Oczy, do tej pory zwykle zmęczone i smutne, odzyskały blask, jakiego nie widziałam od czasów studiów. Nawet uśmiech zdobiący twarz jawił się jako zawadiacka zachęta do żartów, zabawy, a kto wie czy nie flirtu.

## Rozdział XIV

### Zakupowe szaleństwo?

Lądując na lotnisku Changi, przez jedną, krótką chwilę poczułam, jakbym wracała do domu.

„Coś za dobrze czuję się w tej Azji, zważywszy na to, iż jestem tu pierwszy, a kto wie czy nie ostatni raz w życiu”. – pomyślałam, krocząc zatłoczonym korytarzem terminalu.

Wypełniłam kwestionariusz potrzebny przy odprawie paszportowej, dopilnowałam wszystkich formalności, odnalazłam i chwyciłam z energią swój bagaż, po czym ruszyłam w kierunku wyjścia. Tuż za ogromnymi, szklanymi drzwiami dostrzegłam transparent z moim imieniem trzymany przez elegancką, szeroko uśmiechniętą szatynkę.

– Witaj ponownie w Singapurze! – wykrzyknęła Ann-Marie, ruszając w moim kierunku.

Rzuciłam się w jej otwarte ramiona, ściskając ją serdecznie.

– Dobrze cię widzieć – wyznałam łamiącym się głosem, nie mogąc powstrzymać wzruszenia.

– Stęskniłam się za naszymi śniadaniem – wypaliła, zaskakując mnie całkowicie – rozpieściłaś mnie zbyt – dodała po chwili z wyrzutem.

– Ktoś musi dać dobry przykład Alanowi – odparowałam natychmiast.

Uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, zdradził mi więcej, niż tysiąc wyszeptanych słów. Sprawy między tą dwójką, chociaż dziejące się w moim odczuciu z zawrotną prędkością, zmierzały w jak najbardziej właściwym kierunku.

– A skoro już jesteśmy przy facetach – zagaiła Ann-Marie, zmieniając temat – jak tam miewa się nasz drogi Lee? – spytała niespodziewanie, niemal siłą wyrywając mi przy tym walizkę.

– Dobre pytanie. Sama chciałabym wiedzieć – stwierdziłam, wruszając ramionami.

Towarzysząca mi kobieta zatrzymała się gwałtownie. Niestety w pierwszym momencie nie zauważyłam tego i wpadłam na nią z ogromnym impetem, wytrącając przy tym walizkę z jej rąk. Siła przewracającego się bagażu pociągnęła za sobą drobną szatynkę próbującą za wszelką cenę zachować równowagę. Niestety, jej walka była z góry skazana na porażkę, dlatego też Ann-Marie wylądowała na eleganckiej posadzce lotniska. Wraz z nią na ziemię osunęła się z hukiem moja walizka, a także torba ze sprzętem fotograficznym, która w całym zamieszaniu zsunęła się z mego ramienia.



Kilkoro z mijających nas pasażerów przystało, chcąc przyjrzeć się niecodziennemu zdarzeniu wywołanemu przez nieopatrne kobiety. Jakiś mężczyzna w średnim wieku uczynnie wyciągnął pomocną dłoń w stronę siedzącej na ziemi Australijki, inny w tym czasie ustawił z powrotem na kółeczkach wywróconą walizkę.

Ja zaś rzuciłam się na posadzkę, chcąc pozbierać drobiazgi, które wysypały się z torby ze sprzętem, mając jednocześnie nadzieję, że ani aparatowi, ani obiektywom nic złego się nie stało. Mrucząc pod nosem mało wyszukane słowa, zaczęłam rozglądać się za zaginionym pendrivem, ozdobionym ogromną biedronką wykonaną z błyszczących koralików. Sięgając przed siebie, niemal na oślep, spostrzegłam czubki czarnych, eleganckich szpilek. Gotowa byłam założyć się o wszystkie nośniki danych na świecie, że zostały wykonane w fabryce Christiana Louboutina!

Zanim zdążyłam odsunąć się chociażby o centymetr, usłyszałam znajomy głos, zaprawiony odrobiną jadu.

– Domyślałam się, że lubisz rzucać sobie mężczyzn pod stopy, usiłując ich usidlić, ale muszę przyznać, że nie sądziłam, iż z przedstawicielkami płci pięknej potrafisz robić to samo!

Uniosłam nieco głowę i spojrzałam wprost w roześmiane, ciemne oczy należące do Yu Tian. Jej nienaganny makijaż podkreślający subtelne rysy

wyraźnie kontrastował z emocjami wypisanymi na twarzy.

– Świat nie posiada płci, nie wiedziałaś o tym? – zripostowałam natychmiast, nie chcąc, by ostatnie słowo należało do niej. – Kobieta czy mężczyzna, cóż to za różnica... Sukces osiąga się kosztem lenistwa innych – dodałam, prostując się dumnie.

Poruszyła nerwowo ustami, nie wiedząc co odpowiedzieć na moją jawną prowokację. W końcu postanowiła zastosować odmienną taktykę, atakując od zupełnie innej strony.

– Kariera najwyraźniej cię wzywa. Szkoda, że już nas opuszczasz...

Uśmiechnęłam się tak czarująco, jak tylko potrafiłam, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, do rozmowy wtrąciła się nieoceniona Ann-Marie.

– Wręcz przeciwnie. Adrianna właśnie wróciła z weekendowej sesji na Bali! – wypaliła prosto z mostu, próbując zbić niespodziewaną przeciwniczkę z pantałyku.

– Och – mruknęła zupełnie zaskoczona Yu Tian – zatem miłego pobytu w Singapurze! – dodała niezbyt szczerze, nie wiedząc co jeszcze mogłaby powiedzieć, po czym odmaszerowała w stronę wyjścia, podkreślając kobiece ruchy bioder stukotem eleganckich butów na obcasie.

Spojrzałam na zdezorientowaną towarzyszkę, która zerkając na zjawiskową piękność znikającą w tłumie, wbiła we mnie pytające spojrzenie.

– Córka wspólnika Lee. Jego zdaniem pannie marzy się pierścionek z brylantem – rzuciłam wyjaśniająco, chowając do torby ostatnie porozrzucane przedmioty.

– Acha – westchnęła przeciągle, schylając się po pudełko z kartą pamięci leżące u jej stóp – Nie powiem, niczego sobie, tylko ego trochę zbyt wybujałe.

Rozglądając się za zaginionym pendrivem, nic nie odpowiedziałam. Tłumek zebrany wokół nas powoli zaczynał topnieć, nie mniej jednak kilku gapiów nadal czekało na dalszy rozwój wydarzeń. Fakt, niezły cyrk tam odstawiliśmy!

– To chyba należy do pani – rzekł nagle jakiś mężczyzna w turbanie, wręczając mi ogromną, czerwoną biedronkę z doczepionym do niej nośnikiem pamięci.

– Tak, faktycznie – mruknęłam, ciesząc się z odzyskania zguby – Dziękuję za pomoc – dodałam, niemal wyrywając mu ją z rąk.

Jeszcze raz omiotłam wzrokiem posadzkę i stwierdziwszy, iż prawdopodobnie wszystkie moje rzeczy zostały już zebrane, dałam sygnał do odwrotu. Speszony wywołany przez nas chaosem, niemal biegiem oddaliśmy się w kierunku stacji metra.

Co robi kobieta, kiedy tak naprawdę nie wie, co ma zrobić? Idzie na zakupy! Albo przynajmniej na spacer po jakimś eleganckim centrum handlowym.

Kiedy już wyprawiłam Ann-Marie do pracy, po wcześniejszym przygotowaniu jej śniadania, przeprałam kilka niezbędnych mi ubrań i postanowiłam spędzić leniwy dzień w mieście. Za poradą mojej gospodyni, skierowałam się wprost na Orchard Road pełne mniejszych i większych sklepów oraz dużych i ekskluzywnych galerii handlowych.

Zanim jednak przystąpiłam do podziwiania przedmiotów, na które aktualnie nie było mnie stać, przysiadłam w jednej z kawiarenek i, obserwując przechodniów, kreśliłam w myślach ujęcia, których pewnie nigdy nie wykonam. Niewymuszona elegancja przeplatająca się z fantazją łączenia ubrań z sieciówek znanych na całym świecie zaowocowała ciekawymi przykładami mody ulicznej, która mogłaby z powodzeniem znaleźć się na pierwszych stronach fachowych magazynów. Pod wpływem impulsu wyciągnęłam z torby aparat i zaczęłam robić zdjęcia. Kobietom, mężczyznom, a nawet dzieciom. Zanim dopiłam swoją kawę, karta pamięci wzbogaciła się o przeszło sto nowych ujęć.

Moment twórczego szału został przerwany przez sygnał nadchodzącego smsa. Błyskawicznie odłożyłam sprzęt na stolik i chwyciłam torebkę w celu odnalezienia

smartfona.

„Witam w Singapurze! Nie zapomnij o naszej kolacji. Spotkajmy się punktualnie o 20:00 przy hotelu ParkRoyal Garden. L.”

O.K., położył się na mnie trochę, o co go nie winię, bo zdecydowanie przesadziłam, ale nadal ma ochotę się ze mną spotkać. I w co ja się ubiorę?

Przejrzałam w myślach garderobę suszącą się w mieszkaniu i zrezygnowana opadłam na krzesło. Nic, kompletnie nic nadającego się na wieczór w towarzystwie eleganckiego mężczyzny sukcesu. Zakupy też nie wchodziły w rachubę, bo zaszalałam na Bali i zafundowałam sobie wiele drobnych przyjemności. Zresztą kogo będę oszukiwać – do wylotu również została mi zaledwie chwila, a chciałabym kupić jeszcze kilka pamiątek!

Poczułam się jak zawodniczka słynnego teleturnieju „Milionerzy”. Dwa koła ratunkowe już zostały wykorzystane, a ja nadal nie znałam odpowiedzi na dręczące mnie świadomość pytanie. Została mi tylko jedna możliwość – telefon do przyjaciela, w tym przypadku – Ann-Marie.

Nerwowo zerknęłam na zegarek, uświadamiając sobie, iż sms powinien być lepszym rozwiązaniem. Nie chciałabym wpędzić jej w kłopoty z powodu prywatnej rozmowy odebranej w czasie pełnienia obowiązków służbowych. Kto bowiem może wiedzieć, jaki tu jest

stosunek pracodawcy do pracownika?

„S.O.S. Nie mam pomysłu na strój. Lee zaprosił mnie na kolację. Pomożesz?”

Zanim zdążyłam przywołać kelnerkę i poprosić o rachunek, pojawiła się odpowiedź:

„Widzimy się w domu punktualnie o 17! Razem coś wymyślimy”.

Odpisałam jej szybko i uświadomiłam sobie poniewczasie, że chyba powinnam odpowiedzieć również Collinsowi, który prawdopodobnie oczekiwał potwierdzenia.

„Dziękuję za zaproszenie i do zobaczenia wieczorem. A.”

Dochodziła pierwsza. Mając chwilę czasu, zdecydowałam się na małą rundkę po sklepach i przygotowanie obiadu dla Ann-Marie. Taka forma podziękowania za pomoc powinna ją usatysfakcjonować.

Swoją drogą to ciekawe jak szybko się ze sobą zżyłyśmy. To niebywałe, że przyjaźń nie zna różnic kulturowych, geograficznych czy rasowych. Zasiewa ziarno sympatii i rośnie powoli, kwitnąc w końcu wielokolorową tęczą serdeczności.

Po przymierzeniu niezliczonej ilości ciuchów, które raz, jakimś cudem, zdawały się być we właściwym rozmiarze, a innym razem nie wchodziły mi na czubek

nosa, znalazłyśmy elegancką, długą spódnicę z rozcięciem po prawej stronie i pasującą do niej czarną bluzkę. Po dobraniu odpowiednich, dyskretnych dodatków Ann-Marie przeszła odczekać do tortur fryzjerskich. Targając moją biedną, niczego niepodważającą czuprynę, zaczęła tworzyć wyszukaną fryzurę, godną rasowej Famme Fatale.

– To, że ci pomagam nie znaczy wcale, że popieram pomysł tego wieczornego spotkania – mamrotała raz po raz, próbując wsuwkami ujarzmić moje gęste, miodowo-złote włosy.

– Zdaję sobie z tego sprawę – jęknęłam w odpowiedzi, czując jak jedna ze spinek naciąga moje pukle do granic możliwości, wywołując przy tym ból – Nie mniej jednak doceniam wysiłek, jaki wkładasz w te przygotowania. Zwłaszcza, że prawdopodobnie musiałas odwołać spotkanie z Alanem...

– Tylko przełożyć – sprecyzowała – widzimy się o dwudziestej – rzuciła lekko, nie chcąc wpędzać mnie w poczucie winy – Do tego czasu powinnaś być gotowa. Tylko proszę cię, uważaj na siebie, Adrianno.

Zanim po raz kolejny zdążyłam ją zapewnić, iż jestem już dużą dziewczynką i poradzę sobie na kolacji z zabójczo przystojnym mężczyzną, usłyszałyśmy donośny i natarczywy sygnał dobywający się z torby.

Spojrzałyśmy na siebie zdezorientowane. Telefon? O tej porze?

Wykonując niemal karkołomną akrobację, mającą na celu sięgnięcie po aparat, zahaczyłam o rękę Ann-Marie ściskającą moje nieupięte jeszcze włosy. Efektem tego działania był głośny i spektakularny upadek na podłogę. Udało mi się jednak odebrać!

– Adrianna, słucham? – rzuciłam szybko, zastanawiając się kto i w jakim celu do mnie dzwoni.

– Lee z tej strony. Przepraszam, że telefonuję na krótko przed umówionym spotkaniem... – zaczął przeproszającym tonem.

„Ale będę musiał odwołać naszą kolację” – pomyślałam z lekką paniką. Moje obawy niestety okazały się słuszne, bowiem po chwili usłyszałam jak wypowiada dokładnie te same słowa.

– Jestem zmuszony odwołać naszą kolację. Zdjęcia dostarczone przez Philla Adamsa są po prostu koszmarnie! Nasz zleceniodawca, który od początku forsował kandydaturę akurat tego fotografa, doszedł do wniosku, że w żadnym razie nie może użyć jego ujęć w kampanii reklamowej – wytłumaczył szybko.

– Rozumiem – odpowiedziałam, próbując nie okazać zawodu, jakiego właśnie doznałam – Praca jest najważniejsza. Prawdopodobnie zachowałabym się tak samo.

– Adrianno, jest mi strasznie przykro. W firmie panuje chaos. Musimy mieć nowe zdjęcia, a wierz mi,



nie jest łatwo znaleźć profesjonalnego fotografa produktowego we wtorkowy wieczór. W dodatku takiego, który mógłby wykonać sesję „na wczoraj”, więc możesz zrozumieć... – przerwał tłumaczenia w połowie zdania, nie dając mi nawet szansy na poznanie jego myśli.

W słuchawce usłyszałam głos mówiący coś prawdopodobnie w języku mandaryńskim, zaś tuż przed sobą dostrzegłam pytający wzrok Ann-Marie, która uzbrojona w grzebień, szczotkę i całą armię metalowych wsuwek do włosów czekała na dokończenie swego dzieła. Przystłoniłam telefon dłonią i szepnęłam w jej kierunku jedno słowo – „kłopoty”.

Zdezorientowana jeszcze bardziej wybałuszyła oczy ze zdziwienia i zaczęła na migi domagać się rozwinięcia mojej krótkiej wypowiedzi. Uciszyłam ją gestem dłoni i powróciłam do nasłuchiwania, kiedy Lee przypomniał sobie, że nadal nie zakończył połączenia telefonicznego ze mną.

– Jedno krótkie pytanie – rzekł nagle po angielsku i w okamgnieniu zrozumiałam, iż jest ono skierowane do mnie – przeglądałaś ujęcia zrobione podczas środowej sesji?

Yyyy, jak powiedzieć, że nie odrobiłam tej pracy domowej? Chyba najlepiej zrobić to bez owijania w bawełnę.

– Nie miałam na to czasu. Zgrałam kartę pamięci na

pendrive i w tej postaci miałam ci je dziś wręczyć – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

– O.K. – mruknął, intensywnie o czymś myśląc – nie widziałem wprawdzie żadnej z twoich prac, ale mam absolutnie szalony pomysł. Przyślę po ciebie kierowcę, tylko tym razem podaj mi adres, by nie szukał cię wśród przechodniów i przyjeźdź z tym nośnikiem do mnie do firmy. Przejrzemy je razem z moim kontrahentem. Jeśli znajdziemy w nich to coś, co da nam nadzieję, że da się jeszcze uratować to zlecenie, to poprosimy cię o zrobienie całej sesji. Jeszcze dziś wieczorem, jeśli to możliwe. Co do stawki dogadamy się później... – w jego głosie przebrzmiewał czysty profesjonalizm, który skutecznie zamaskował przyjacielską nutę, jaką zwykłam słyszeć, gdy do mnie mówił.

– Lee, nie jestem pewna czy... – zaczęłam niepewnie, uświadamiając sobie, iż Collins prawdopodobnie uważa mnie za bardziej doświadczonego fotografa, niż jestem w rzeczywistości.

„Ja? Ja miałam zrobić profesjonalną sesję produktową dla jakiejś ogromnej firmy jubilerskiej? Przecież nie trzymałam zawodowo aparatu od czasów praktyk studenckich!”

– Po prostu weź pendriva, aparat z obiektywami i siebie. Resztą zajmę się ja! A teraz podyktuj mi adres – polecił tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Podaliśmy nazwę i numer ulicy, próbując jednocześnie

wybić mu ten pomysł z głowy.

– Porozmawiamy o tym później. – zbył mnie szybko – Samochód będzie na miejscu za dziesięć minut. Proszę, zejść na dół jak tylko będziesz gotowa. Do zobaczenia.

W telefonie rozległ się przerywany sygnał zwiastujący koniec rozmowy. Odjęłam komórkę od ucha i patrząc na nią z niedowierzaniem, zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju. To zmusiło Ann-Marie, ściskając nadal pukle moich włosów, do podobnego zachowania.

– O matko i córko – westchnęłam po polsku, przysiadając w końcu na krześle – w co ja się wpakowałam?

– Nie mam pojęcia, co tam mamrolisz – ofuknęła mnie szybko towarzysząca mi Australijka – ale byłoby miło, gdybyś wyjaśniła, co właściwie się stało!

Spojrzałam na nią niewidzącym wzrokiem, nie mając pojęcia od czego powinnam zacząć. Sama nie wiedziałam przecież, jakim cudem ten szalony pomysł mógł się zrodzić w umyśle tak zrównoważonego i doświadczonego biznesmena, jak Lee.

– Kolacja odwołana. Muszę natomiast zrobić pewną sesję fotograficzną, od której jak zrozumiałam, zależy przyszłość prestiżowego kontraktu...

Ann-Marie z wrażenia przysiadła na skraju łóżka, wypuszczając z rąk moje włosy. Kilka razy otworzyła

usta, próbując coś powiedzieć, ale po chwili zrezygnowała i poderwała się z miejsca, by wrócić do układania fryzury.

– Kochana, nie wiem czy powinnam się śmiać, czy gratulować pracy w Singapurze... Nie mniej jednak cieszę się, że spośród wszystkich Couchsurfingowych gospodarzy wybrałaś właśnie mnie. Wniosłaś ze sobą ogromną dawkę radości, szaleństwa i przyjaźni w moje życie. A teraz siedź spokojnie, bo jak rozumiem musisz być zrobiona na bóstwo nie na ósmą wieczorem, a na teraz.

– Samochód będzie na dole za dziesięć – zerknęłam na zegarek – nie, za siedem minut.

– Zatem mam trzy minuty na włosy i chociażby lekki makijaż. Cóż, podobno najskuteczniej działam pod presją. Ty w tym czasie na spokojnie pomyśl czy masz spakowany sprzęt.

Zakładając czarne pantofle na szpilce pożyczone od Ann-Marie, ponaglałam ją i modliłam się, by sekundy nagle zaczęły płynąć wolniej. Gdy tylko skończyła swoje małe czary-mary, chwyciłam pendrive leżący na nocnej szafce i włożyłam go do jednej z przegródek, tuż obok wolnych kart pamięci. Zarzuciłam torbę na ramię i dopiero wtedy dostrzegłam w lustrze kontrast między eleganckim strojem a nieco sfatygowanym materiałem kryjącym sprzęt fotograficzny.

– Cóż, nie jest to tradycyjna kopertówka, której

można by było się spodziewać, ale teraz moda nakazuje eksperymenty, więc być może zapoczątkujesz nowy styl – zaśmiała się moja towarzyszka, widząc zmieszanie i niepewność malujące się na mojej twarzy – leć już. Nie możesz pozwolić, by twój książę z bajki czekał zbyt długo.

– A.– M. postaram się wrócić jak najwcześniej – zapewniłam ją, kierując się w stronę drzwi.

– Co pewnie się nie uda, skoro masz pracę do wykonania – podsumowała szybko – Dostałaś swój komplet kluczy, więc czuj się tu jak u siebie w domu. Miło mi jest mieć taką współlokatorkę jak ty – zapewniła szybko, chcąc rozwiać moje obawy.

– Uważaj, bo jeszcze uwierzę i posłucham – zagroziłam, puszczając do niej oko – Lecę. Życz mi powodzenia!

– Powodzenia! Oniemieją na widok twoich zdjęć, zobaczysz – szepnęła, dodając mi otuchy na odchodne.

Wybiegając na ulicę, dostrzegłam znajomy samochód i jego kierowcę. On też rozpoznał mnie bez trudu i wprawnym, pełnym gracji ruchem otworzył drzwiczki Bentleya, zapraszając mnie do środka.

## Rozdział XV

### Sesja razy dwa

Znalazłam się w tłumie ludzi, spośród których mogłam rozpoznać jedynie kilka twarzy. Pociuszającym faktem było to, iż Lee nie odstępował mnie na krok od chwili, gdy wkroczyłam do jego gabinetu. Kiedy dostrzegł mnie w wieczorowym stroju i starannie ułożonej fryzurze, uniósł w zachwycie brwi, jednak powstrzymał się od osobistego komentarza, mając na uwadze towarzyszące mu osoby. Po krótkiej prezentacji zapytał o pendrive ze zdjęciami wykonanymi za kulisami środowowej sesji.

W czasie tych kilku sekund, kiedy to dane z przenośnego czytnika wczytywały się do pamięci komputera, oddechy pięciu osób zgromadzonych w pomieszczeniu zamarły. Lee, Yu Tian, zleceniodawca, czyli pan Tian Xiong, jego szef sprzedaży oraz mężczyzna, którego imienia i stanowiska nie dosłyszałam, oczekiwali na pierwsze ujęcie.

Ostatnie kliknięcie myszki i fotografia pojawiła się na ekranie. Uznanie zebranych przedstawicieli płci męskiej wzbudziło zdjęcie modelki przygotowywanej do sesji i

jej zalotny uśmiech skierowany w stronę obiektywu.

– Pragnęłabym tylko zaznaczyć, że są to surowe zdjęcia, bez żadnej, nawet wstępnej obróbki – szepnęłam nieśmiało, próbując tłumaczyć niedoskonałości balansu bieli dostrzegalne na fotografii.

– Oczywiście. Pan Lee poinformował nas o tym. Nie mniej jednak chcielibyśmy zobaczyć resztę – odpowiedział mi uprzejmym tonem menadżer firmy jubilerskiej, przybliżając się do ekranu.

Kliknięcie za kliknięciem przed moimi oczyma przewijały się kolejne zdjęcia, na których można było dostrzec beztroskę modelek, radość makijażystki i fryzjerki oraz zwykły, nieudawany kobiecy zachwyt nad wyjątkowymi precjozami, które dopiero miały zostać zaprezentowane szerszej publiczności.

Na ekranie pojawiła się dziewczyna, którą sfotografowałam na chwilę przed wkroczeniem pod obstrzał niemiłościwego aparatu środowego fotografa. Blondynka, w pełni wyluzowana, zapozowała w pięknym naszyjniku z fioletowego złota, posyłając w moją stronę nie tylko czarujący, pełen zmysłowości uśmiech, ale i pocałunek uwieczniony przez mój aparat.

– I o to mi chodziło od początku! – stwierdził wyraźnie zadowolony Tian Xiong, wskazując na komputer – młodzieńczo, świeżo, bez wydumanego napuszenia! Proszę zaznaczyć to zdjęcie, obrobić i wykonać takich więcej.

– Faktycznie – zgodził się drugi z obecnych – muszę przyznać, że ma pani oko do niebanalnych ujęć. W tym roboczym folderze znajdziemy prawdopodobnie jeszcze kilka fotografii nadających się do naszego katalogu.

– Mówiłem wam, że gdy ja wybiorę kogoś, to będzie to właściwa osoba – stwierdził zadowolony Lee, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Rzeczywiście – Yu Tian zabrała niespodziewanie głos – wczoraj spotkałam panią fotograf na lotnisku. Wraciała z sesji na Bali.

Mężczyźni odwrócili się w stronę pięknej asystentki Collinsa, by po chwili przenieść pytający wzrok na mnie.

– Nic o tym nie wspomniałaś! – stwierdził Lee – Jak to się stało, że nawet moja prawa ręka lepiej orientuje się w twoim grafiku?

– Można wiedzieć, kto był zleceniodawcą? – wszedł mu w słowo drobny mężczyzna reprezentujący firmę złotniczą.

No to masz babo placek! Jak z tego wybrnąć? Pomoc przyszła z najmniej oczekiwanej strony, bowiem od osoby, która wpakowała mnie w cały ten ambaras.

– Mijałyśmy się wczoraj na lotnisku. Odprowadzałam ojca na samolot. Asystentka pani Drynskyej wspomniała o tym zleceniu – poinformowała szybko, przekręcając do granic możliwości moje nazwisko. Swoją drogą



zaskoczyła mnie, że w ogóle zadała sobie trud, by je zapamiętać.

– Przyjaciółka – sprostowałam natychmiast, nie chcąc udawać kogoś, kim absolutnie nie jestem – a zlecenie było dla osoby prywatnej i nie widzę celowości ujawniania personaliów mojego kontrahenta – dodałam szybko, nie chcąc zmyślać szczegółów, których później bym nie spamiętała.

Wystarczyło, że wszyscy obecni mieli mnie za czynnego zawodowo profesjonalnego fotografa, a nie za absolwentkę studiów, która ostatnie lata spędziła za biurkiem korporacji, wklepując ciągi bezsensownych danych.

– Oczywiście. Rozumiem, że w tym zawodzie dyskrecja to podstawa – zgodził się Tian Xiong, który jeszcze chwilę temu chciał poznać szczegóły mojej domniemanej pracy na Bali – przejrzyjmy szybko resztę ujęć i jeśli dojdziemy do porozumienia w sprawie honorarium, to przystąpimy do sesji. Ja w tym czasie wydam polecenie, by dostarczono nam potrzebną biżuterię i sprowadzono modelki.

– Honorarium to nie problem. Będzie mi miło poratować Lee w potrzebie – szepnęłam, nie wiedząc jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji.

– Chciałbym mieć takie kontakty – mruknął z uznaniem mężczyzna, zerkając to na mnie, to na szefa agencji reklamowej, z którą przyszło mu

współpracować.

– Szczęście, karma albo pozytywna energia – podsumował w tym czasie Collins, zerkając na mnie z uśmiechem – Faktycznie szczęśliwie się złożyło, że Adrianna jest akurat przejazdem w Singapurze.

Mężczyźni spojrzeli na niego zaskoczeni, jakby dopiero teraz dowiedzieli się, iż nie działałam na lokalnym rynku zawodowym.

– Tylko przejazdem? Nie będę mieć zatem okazji współpracować z panią przy przyszłych zleceniach? – spytał lekko niezadowolony....

– Mieszkam i pracuję w Polsce – wyjaśniłam szybko, chcąc rozwiać wszelkie wątpliwości.

– O ile efekt naszej współpracy okaże się dla obu stron satysfakcjonujący, to zgodzi się pani przyjechać na następną sesję, prawda? Oczywiście pokryjemy wszystkie koszty. Chciałbym, aby wszystkie kolejne kampanie wykonywane były w tej samej stylistyce, przez tego samego fotografa...

– Jeśli znajdzie taka potrzeba i nie znajdzie pan nikogo innego, to myślę, że uda się coś zorganizować. Zanim jednak będziemy czynić tak daleko idące plany, może skończymy przeglądanie zdjęć ze środy. Jak na razie bowiem tylko jedno ujęcie przypadło panom do gustu – rzekłam.

Wśród dziesiątek fotografii wybraliśmy jeszcze

siedem innych mających potencjał do znalezienia się w końcowym produkcie.

Tuż przed jedenastą wieczorem wkroczyłam do znajomego studia fotograficznego zorganizowanego w sali na końcu holu. Chwyciłam swój aparat fotograficzny, z tęsknotą zerkając w stronę sprzętu zabezpieczonego w szafce ustawionej w rogu. Próbne zdjęcia i wybadanie samego światła i jego rozłożenie wolałam jednak zrobić dobrze znanym mi sprzętem. Miałam świadomość, iż pozwoli mi to wychwycić wszelkie niedoskonałości w ustawieniu lamp, parasoli i innego wyposażenia kryjącego się w tym niepozornym wnętrzu.

Modelki wykazały się pełnym profesjonalizmem, stawiając się na sesję całkiem wypoczęte i świeże mimo późnej pory. Dwie z nich rozpoznało mnie i podeszło się przywitać. Jedna zaczęła nawet rozpytywać o zdjęcia zrobione w środę.

– Zapomnijmy o ostatniej sesji – poprosiłam – tym razem nie będzie napuszenia, sztucznych póz i wydumanych min. Chcemy powiewu świeżości, spontaniczności, ale wzbogaconego elegancją i szykiem przynależnym drogim kamieniom i cennemu kruszcowi – wyjaśniłam w skrócie swoje oczekiwania.

Spoglądając na dziewczyny, wcisnęłam przycisk projektora i wyświetliłam na białym ekranie kilka wybranych wcześniej fotografii.

– Zrobione wśród żartów, bez sztywniactwa i przekombinowanych akrobacji – kontynuowałam zdecydowanym tonem – Niech pozowanie stanie się dla was okazją do zabawy i ukazania dziewczęcej strony waszej osobowości.

– Świetny pomysł – Tian Xiong wszedł mi w słowo – o to chodziło mi od samego początku!

Odwróciłam się w jego kierunku i spiorunowałam wzrokiem. Przerwał mi nie tylko wypowiedź, ale i ciąg myślowy, z którego miał się narodzić pomysł na jak najlepsze ukazanie nie tylko piękna przedmiotów, ale i dziewczyn, które z pełnym poświęceniem zdecydowały się zarwać przynajmniej część nocy.

– Szybki makijaż i zabieramy się do pracy – poleciłam – a ja w tym czasie wykonam kilka zdjęć próbnych – skłamałam gładko, nie zdradzając swoich prawdziwych zamiarów.

Stylistki zdziwiły się nieco, gdy poleciłam założyć naszyjniki, bransoletki, kolczyki i pierścionki zanim zakończyły charakteryzację poszczególnych dziewczyn, jednak wykonały moje polecenie bez sprzeciwu.

Krążąc między przygotowującymi się pięknościami, naciskałam spust migawki niemal z prędkością światła. Wiedziałam, iż mam niepowtarzalną szansę wydobyć z nich prawdziwy, nieskrępowany niczym entuzjizm, który zostanie skrzętnie skryty, gdy tylko staną w pełnym świetle reflektorów.

Uchwyciłam moment, gdy jedna z dziewcząt dla żartu przypudrowuje nos koleżanki noszącej delikatny łańcuszek z fantazyjną zawieszka, przywodzącą na myśl egzotycznego motyla.

Utrwaliłam również radosny, pełen uczucia uścisk sióstr dodających sobie otuchy przed sesją, która w ich odczuciu mogła okazać się przełomowa dla ich wspólnej kariery. Moment później błyszczące pierścionki zdobione diamentami lśniły na ich palcach splecionych ze sobą w geście mobilizacji.

Wyrwałam z zadumy zamyśloną modelkę, która w marzeniach przeniosła się w pobliże narzeczonego. Podobno nie był on zadowolony z jej pozowania o tak później porze. Jej tęskne, pełne czystej, nieskażonej niczym miłości spojrzenie podkreślało delikatność i ulotność kolczyków zdobiących jej uszy.

Trudno mi powiedzieć, ile trwały zdjęcia próbne, które tak naprawdę były zasadniczą częścią sesji, jednak zniecierpliwiona mina Tian Xionga podpowiedziała mi, że starszy mężczyzna chciałby przystąpić do właściwej pracy. Chcąc nie chcąc postanowiłam więc wtajemniczyć go w mój plan.

– Dziewczyny, ostatnia chwila oddechu i zaczynamy – oznajmiłam – W międzyczasie chciałabym z panami przedyskutować kilka kwestii. Możemy przejść do twojego gabinetu, Lee?

– Jasne, jeśli tylko czujesz taką potrzebę – zgodził się

niecو zdezorientowany – Chodźmy.

Całe towarzystwo popatrzyło na mnie jak na nieszkodliwą dziwaczkę mającą potrzebę odczynić czary przed przystąpieniem do pracy, której po niej oczekiwano.

Bez słowa wyjęłam kartę pamięci z aparatu, włożyłam ją do czytnika w komputerze i wyświetliłam pierwsze z kilku ujęć, które w moim odczuciu mogły się okazać przysłowiowym strzałem w dziesiątkę.

Lee, Yu Tian, Tian Xiong oraz menadżer wstrzymali oddechy.

– Genialne! – wyszeptał Collins.

– Pani zdążyła już zrobić całą sesję? – spytał z nieskrywanym podziwem jeden z mężczyzn – Myślałem, że to były tylko zdjęcia próbne!

– Chodziło mi o to, by dziewczyny nie były skrupowane. Zresztą, po co komu milion kolejnych pozowanych i sztywnych zdjęć?

– To czysta eksplozja energii – przyznał Tian Xiong, zerkając z podziwem – możemy zobaczyć kolejne?

– Jasne. Pamiętajmy jeszcze, że natężenie światła czy koloru zmieni się nieco podczas obróbki – przypomniałam po raz kolejny tego wieczora – więc pewne niedociągnięcia staną się niewidoczne.

– Nie dopatruję się tu żadnych słabości – zaznaczył właściciel firmy jubilerskiej.

– Uratowałaś nas – szepnął Lee tak cicho, że tylko ja mogłam go usłyszeć.

Odwróciłam nieznacznie głowę i poprzez grzywę złotych włosów, spojrzałam w jego przepastne, ciemne oczy, w których dostrzegłam malujący się szacunek i wdzięczność.

– Koniec zachwyków. Sprawdźmy czy potrzeba nam jeszcze jakichś ujęć. Dochodzi już pierwsza w nocy i myślę, że nie ma potrzeby trzymać tylu osób w pełnej gotowości, jeśli mamy wystarczającą ilość materiału fotograficznego niezbędnego do kampanii reklamowej.

– Talent i rozsądek w jednym. – podsumował Tian Xiong natychmiast – Szkoda, że nie możemy mieć tu pani na stałe – westchnął przeciągle.

– Bez przesady, Singapur kształci świetnych fotografów – rzekłam speszona tymi wszystkimi komplementami.

Po dłuższej dyskusji zgodziliśmy się, iż dla pewności wykonam jeszcze kilka „pozowanych”, ale nie pozbawionych lekkości zdjęć i na tym skończymy pracę.

Leżąc już w łóżku, w mieszkaniu Ann-Marie, przywołałam w myślach chwile spędzone na fotografowaniu. Nawet jeśli nie uda mi się znaleźć posady w wyuczonym zawodzie, tym razem na pewno nie będę sięgać po aparat tylko w okazjonalnych przypadkach. Profil na portalu fotograficznym i może

własna strona z portfolio to pierwsze rzeczy, jakie załatwię po powrocie do ojczyzny. Może nawet umieszczę w CV dzisiejszą sesję, jeśli tylko Lee zgodzi się dać mi referencje. Na pewno wywoła ona zainteresowanie potencjalnych pracodawców.

Nie był to dobry moment na czynienie planów. Dochodziła już czwarta nad ranem, a ja musiałam wstać na czas, by przy śniadaniu opowiedzieć o wszystkim Ann-Marie i przygotować się do kolejnej wizyty w biurze Collinsa. Skoro byłam uznawana za profesjonalistkę w swej dziedzinie, to właśnie tak powinnam się zaprezentować.

Zasnęłam marząc o czarnych oczach wpatrzonych we mnie nie tyle z uznaniem, co z miłością, którą chciałabym w nich ujrzeć.

– Kawa kawą, ale ty mi lepiej opowiadaj, co się stało? Naprawdę zrobiłaś dla nich całą sesję reklamową? Chociaż zapłacili ci przyzwoitą stawkę czy też wykorzystali słabość do przystojnego Lee? – zasypała mnie pytaniami, odsuwając, ku memu zaskoczeniu, filiżankę z gorącym, ciemnym płynem z dala od siebie.

– Tak, zrobiłam całą sesję. Muszę tylko obrobić dziś wybrane ujęcia w Photoshopie i koniec. Nie, nie rozmawialiśmy jeszcze o pieniądzach i, mówiąc szczerze, nie jest to jakaś pierwszorzędna kwestia. – lekko nagięłam fakty – Bardziej zależy mi na referencjach, które mogą mi dać pracę po powrocie do



kraju...

Ann-Marie uciszyła mnie gwałtownym gestem dłoni, podeszła na odległość zaledwie kilku centymetrów i postukała mnie delikatnie w czoło.

– Przyjaźń przyjaźnią, fatalne zauroczenie przystojniakiem o urodzie filmowego amanta swoją drogą, ale odwalenie kawału roboty za friko, to już inna historia! Po co masz szukać pracy w domu, jeśli z takim zapleczem możesz znaleźć coś wśród rekinów reklamy? Będziesz musiała włożyć dużo pracy, by wyróżnić się na rynku, ale pierwsze kroki już za tobą. Obstawiałabym Anglię, Francję lub Stany. Tam masz największe szanse. Ba, kto wie czy tu, w Singapurze, nie znalazłby się ktoś zainteresowany wschodzącą gwiazdą fotografii reklamowej...

– Przestań, bo jeszcze ci uwierzę – uciszyłam ją nieco speszona – Lepiej powiedz mi, jak udała się randka z Alanem – zagałam naprędce, zmieniając temat rozmowy.

– Spotkaliśmy się, zjedliśmy chińszczyznę, poszliśmy na spacer po Marinie. Nic specjalnego. Skoro już uparłaś się nie rozmawiać o kwestiach finansowych, to powiedź mi chociaż, co zamierzasz założyć dziś na spotkanie z szanownym panem Lee i szychami jubilerskiego światka.

– Nie mam pojęcia. Zresztą założę cokolwiek. Idę tam tylko zrobić obróbkę – wzruszyłam ramionami,

bagatelizując ten aspekt sprawy.

– Po moim trupie! – oświadczyła, ciągnąc mnie w kierunku sypialni – czarne spodnie i biała koszula, jak ostatnim razem. Dobierzemy tylko inne dodatki i zrobimy coś z włosami – zakomenderowała – nie mamy zbyt wiele czasu, bo nie mogę się spóźnić do pracy.

Ann-Marie wyszła punktualnie, zostawiając mnie nadal wpatrującą się w swoje własne odbicie w lustrze. Chciałabym nauczyć się od niej paru sztuczek stosowanych w doborze dodatków. Mimo, iż założyłam teoretycznie to samo ubranie, co tydzień temu, wyglądałam zupełnie inaczej, chociaż równie efektownie. Z uśmiechem na ustach zebrałam swoje rzeczy i wolnym, niemal spacerowym krokiem ruszyłam w stronę biurowca, w którym mieściła się siedziba firmy należącej do rodziny Collinsa.

## Rozdział XVI

### Pakt o nieagresji

Odebrałam przepustkę od portiera i ruszyłam w kierunku windy, która miała zawieźć mnie na jedno z najwyższych pięter. Zanim znalazłam się na miejscu, nadal czując ruch unoszący mnie w górę, odetchnęłam głęboko i spróbowałam uspokoić przyśpieszoną akcję serca. Wszystko będzie dobrze! Kilka godzin pracy, pożegnie z Lee i ostatni wieczór w Singapurze.

Bajka dobiega końca. Kopciuszek wraca do domu macochy, by wspominać minione chwile. Tym razem publiczność musi obyć się bez szczęśliwego zakończenia – pomyślałam, uśmiechając się nieco złośliwie – i tak wykorzystałam swój fart ponad przewidziane maksimum.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie, ukazując mi korytarz, po którym kręciło się kilkanaście osób próbujących uciec przed gniewem poirytowanego szefa.

– Spróbujcie jeszcze raz! Musi odebrać ten cholerny telefon. Przecież nie zapadła się pod zie... – wrzeszczał, lecz na mój widok przerwał w pół słowa...

Podszedł do mnie żwawym krokiem, jakby nie wierząc własnym oczom.

– Od dwudziestu minut próbuję się z tobą skontaktować! Myślałem, że coś się stało! Kierowca czekający przed domem twojej przyjaciółki powiedział, że w mieszkaniu nikogo nie ma.

– Bo to prawda – odparłam z uśmiechem, mając nadzieję udobruchać go pogodnym usposobieniem – nie mogłam spać po ostatniej nocy, więc wybrałam się na mały spacer. Wiesz przecież, że to całkiem niedaleko, a ty nie wspominałeś nic o samochodzie.

– Myślałem, że to oczywiste! – wszedł mi w słowo, nadal nie panując nad nerwami.

– Nie dla mnie. Zresztą nieważne. Przecież dotarłam na miejsce o czasie i w jednym kawałku, a to się liczy.

Usłyszałam cichy śmiech dochodzący z za moich pleców. Odwróciłam się gwałtownie i stanęłam twarzą w twarz z Yu Tian, która, ku memu absolutnemu zaskoczeniu, szczerze się do mnie uśmiechała.

– Uważaj! Lee nie lubi, gdy się z niego żartuje. Zwłaszcza w sprawach zawodowych. Obrał sobie za punkt honoru rozwój firmy, co oczywiście jest profitem i dla mojej rodziny.

– Myślę, że wybaczy mi moją niesubordynację i przechadzkę po mieście – rzekłam do niej konspiracyjnym tonem, zastanawiając się dlaczego

nagle stała się dla mnie taka miła.

Mężczyzna, o którym właśnie plotkowałyśmy, stanął między nami, rozdzielając nas niczym mur. Była to prawdopodobnie próba powstrzymania dalszej wymiany zdań.

– Koniec tych babskich pogaduszek. Yu Tian, zdaje się, że prosiłem cię o przygotowanie kilku dokumentów. A może dziś postanowiłaś wziąć sobie nieco wolnego?

Speszona dziewczyna skłoniła się na znak szacunku i ruszyła w stronę gabinetu, mrucząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Gdy tylko zniknęła za solidnymi drzwiami, Collins podszedł do mnie, objął ramieniem i delikatnie pokierował mnie w stronę jednego z pokoiów.

– Wyglądasz dziś wyjątkowo pięknie – mruknął, gdy zostaliśmy sami – chociaż nie da się ukryć, iż wczorajsza kreacja powaliła mnie na kolana. Jesteś niezwykłą kobietą... – zaczął, zerkając na mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

Zabrakło mi języka w buzi. Tego typu powitania się nie spodziewałam! Jednocześnie doszłam do wniosku, że już za długo byłam grzeczna i układna. Pora, by poznał moją drugą twarz – pracoholika perfekcjonisty!

– Oczywiście – zgodziłam się, nie kryjąc zarozumiałstwa – Kto inny zrobiłby na poczekaniu sesję o pierwszej w nocy. Ale dość o mnie. Zabierajmy się do pracy. Potrzebny mi szybki komputer, czytniki, morze

kawy, a także coś słodkiego i spokoj.

– Tylko tyle? – spytał, unosząc przy tym jedną z brwi  
– Moje towarzystwo jest zbędne?

– Wybacz, ale na etapie edycji nie lubię, gdy ktoś zagląda mi przez ramię.

– Musimy na bieżąco kontrolować postępy...

– Pracuję sama, bez widowni – odparłam hardo.

– Jesteś dobrą negocjatorką. Powinienem był o tym pamiętać – pochwalił – Zostawiam cię samą, a za kilka minut ktoś podrzuci ci chińskie ciasteczka...

– Z przepowiednią? – weszłam mu w słowo, nie mogąc powstrzymać się od drobnego żartu.

– Jeśli tylko zechcesz, to czemu nie. Myślałem jednak o jakichś specjach z pobliskiej cukierni...

– Lee, cokolwiek słodkiego i w dużych ilościach będzie dobre. Do tego karmelowe latte – poprosiłam, zastanawiając się czy odrobinę nie przeginam.

– Miłej pracy – rzekł, wychodząc.

Zostałam sama. Spojrzałam na stojący przede mną komputer i bez chwili zwłoki otworzyłam edytor zdjęć. Aż dziw, że pewne rzeczy zakodowane przed laty nadal tkwią w podświadomości człowieka tak mocno, jakby były wykonywane niemal codziennie. Poczułam lekki dreszcz podekscytowania związany z wyzwaniem, któremu przyszło mi stawić czoła.

Szybkim ruchem kursora otworzyłam katalog z wybranymi ujęciami i rozwinęłam pierwsze z nich. Na ekranie pojawiła się uśmiechnięta twarz modelki, dopraszając się zaledwie o lekką korektę bez ingerencji w samą treść fotografii.

Balans bieli, natężenie kolorów, ostrość. Z każdym kolejnym kliknięciem myszki kobieta na szklanym ekranie stawała się tak bardzo realna, iż chciałoby się dotknąć jej dłonią.

Pracę przerwało mi ciche pukanie do drzwi, które po chwili otworzyły się niemal bezszelestnie. Odrywając wzrok od komputera, przeniosłam spojrzenie na Yu Tian ściskającą w dłoni ogromny kubek i pudełko przewiązane czerwoną tasiemką.

– Kawa i ciastka – oznajmiła, tłumacząc swoją obecność w pokoju.

– Dziękuję serdecznie i przepraszam za kłopot.

Kobieta podeszła powolnym, dostojnym krokiem, nie spuszczając ze mnie wzroku nawet na moment.

– Trudno cię rozgryźć – stwierdziła niespodziewanie.

Tymi trzema słowami zaskarbiła sobie całą moją uwagę, chociaż trudno mi było powiedzieć, co tak naprawdę miała na myśli.

– Słucham?

– Kiedy pojawiłaś się w naszym życiu, sądziłam, że jesteś fantazją Lee dotyczącą jego amerykańskiej duszy.

Przez chwilę nawet obawiałam się, iż pokrzyżujesz plany mojego ojca i moje...

– Yu Tian, naprawdę nie wiem, do czego zmierzasz...  
– skłamałam gładko, nie chcąc w ogóle prowadzić tej dziwnej rozmowy.

– Wiesz – zaprzeczyła szybko – Okazało się jednak, że jesteś kimś więcej. Być może uratowałaś prestiż naszej firmy, przez co zasługujesz na mój szacunek...

– Nie sądzę, by ta konwersacja miała jakikolwiek sens... Jutro wracam do swojej ojczyzny, setki kilometrów stąd... Nie zamierzam krzyżować czyichkolwiek planów.

– Te plany są już tylko wspomnieniem. Zrozumiałam, że Lee nigdy nie będzie mój. Zbyt duża część jego charakteru należy do kultury zachodniej. Chyba nie powinnam się temu dziwić – w końcu jego ojciec miał silny wpływ na jego wychowanie.

– Jestem tu tylko po to, by zrobić korektę zdjęć i jak tylko skończę, to zamierzam cieszyć się ostatnimi godzinami moich wakacji – rzekłam, podrywając się z obrotowego fotela, na którym do tej pory siedziałam – Naprawdę nie interesuje mnie podrywanie czyichkolwiek narzeczonych, czy to prawdziwych, czy tylko wyimaginowanych! Przepraszam cię bardzo, ale muszę wracać do pracy – dodałam nieco zdenerwowana, wyrzuwając jej z dłoni kubek z kawą.



Siadłam na swoim miejscu, odwróciłam się do niej tyłem i wbiłam wzrok w ekran komputera. Miałam nadzieję, iż ta egzotyczna piękność zrozumie aluzję i zostawi mnie samą.

– To jedno z twoich zdjęć? – spytała w tym czasie, podchodząc do mnie bliżej – Jest fantastyczne. Teraz rozumiem, dlaczego Lee cię zatrudnił.

– Pan Collins nie jest moim pracodawcą, czyżbyś o tym zapomniała? – mruknęłam, chcąc przypomnieć jej kilka faktów – To tylko przyjacielska przysługa i nie zamierzam przyjąć za swoją pracę żadnej płatności.

– Jesteś dumną kobietą – stwierdziła niespodziewanie – być może nieco zakompleksioną, ale twardą i pewną siebie. Chyba dlatego trudno cię zaszufładkować. Wymykasz się wszelkim klasyfikacjom.

– Wybacz, ale nie mam ani ochoty, ani czasu na szarady. Od pierwszej chwili, gdy mnie zobaczyłaś, pałałaś do mnie niezrozumiałą dla mnie nienawiścią, która była wyczuwalna chyba dla wszystkich wokół nas. Dlaczego zatem na pożegnanie zafundowałaś mi tę niezwykłą pogawędkę? – spytałam, odkrywając swoje prawdziwe odczucia i myśli.

– Bo uznałam cię za równorzędnego przeciwnika, chociaż tak naprawdę nie jesteśmy wrogami. Podziwiam cię! Jesteś profesjonalistką, która nie straciła nawet krztyny swojej kobiecości...

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć na ten niecodzienny komplement, Yu Tian ukloniła się lekko i wyszła z pokoju. Zostałam sama przed komputerem domagającym się mojej uwagi i z gorącą kawą parzącą moją prawą dłoń.

Zapisałam ostatnie ze zdjęć i zamknęłam folder zatytułowany „Gotowe”. Przetarłam oczy i opadłam na blat biurka, marząc o chociażby kilkuminutowej drzemce. Zmęczenie i zbyt krótka noc dały o sobie znać, ścinając mnie kompletnie z nóg.

Zmusiłam się do podniesienia głowy i skopiowania efektu pracy na niewielki pendrive leżący tuż przede mną. Jeszcze tylko spotkanie z Lee, Tian Xiong oraz resztą jubilerskiej spółki i będę mogła wrócić do niewielkiego mieszkanka Ann-Marie i odpocząć przed ostatnim wieczorem wakacji.

Odkryłam, że współczesny Kopciuszek nie potrzebuje balu i księcia, który na białym rumaku przemierzałby królestwo w poszukiwaniu właścicielki kryształowego pantofelka. Dziś raczej niezbędna jest pewność siebie, odnaleziona chociażby na skutek niesamowitych zbiegów okoliczności; wiara we własne możliwości i marzenia, które można spełnić.

Z nową dawką energii poderwałam się z miejsca i ruszyłam w stronę gabinetu sprawcy całego tego zamieszania. Zapukałam cicho i zanim jeszcze zdążyłam nacisnąć na klamkę, ujrzałam jego uśmiechniętą twarz w

otwierających się drzwiach.

– Gotowe?

Skinęłam głową, bez słowa wręczając mu nośnik pamięci z wyczekiwanymi przez wszystkich zdjęciami.

Po chwili ujrzałam pierwsze ujęcie wyświetlone przez projektor na białym ekranie rozwieszonym na przeciwległej ścianie. Roześmiane twarze sióstr ozdobionych elegancką biżuterią wypełniły pomieszczenie pozytywną energią i wyczuwalną radością.

– Lee! Masz kontrakt na wyłączność! – mruknął zachwycony Tian Xiong.

– Proszę pana, może wstrzymamy się z daleko idącymi obietnicami... – zaproponował jeden z menadżerów firmy, próbując wpłynąć na swojego zwierzchnika.

– Skupmy się na prezentacji – uciszył ich szybko Collins, zerkając to na zdjęcie, to na mnie.

Jego oczy wyrażały znacznie więcej, niż słowa. Dostrzegłam w nich te same emocje, które targały jego duszą na lotnisku, tuż przed tym jak mnie pocałował. Jednocześnie zauważyłam też nutę smutku, podobną do tej towarzyszącej opowieści o matce.

Zmieszana odwróciłam wzrok, koncentrując się na innych osobach zgromadzonych w pokoju. Modliłam się, bym mogła opuścić ten biurowiec jak najszybciej i

zapomnieć o pragnieniach, których nawet nie miałam odwagi nazwać.

– Świetnie – rzekł Tian Xiong, kiedy projektor został wygaszony – skoro zaakceptowaliśmy zdjęcia przeznaczone do kampanii reklamowej i katalogu, czas zająć się wynagrodzeniem naszej utalentowanej pani fotograf...

– Proszę jedynie o referencje – szepnęłam, mając nadzieję, iż taka bezpośrednia prośba nie narusza żadnych lokalnych norm kulturowych – Praca dla państwa była dla mnie czystą przyjemnością.

Mężczyźni zebrani w sali spojrzeli na mnie tak, jakby właśnie się przesłyszeli. Cóż, być może powinnam była poowijać nieco w bawełnę, jednak na swoją obronę miałam fakt, iż było to moje pierwsze zetknięcie ze światem biznesu!

Pierwszy zaoponował Lee, któremu natychmiast zawtórował Tian Xiong, wyjaśniając dokładnie, dlaczego nie mogą przystać na moją propozycję. Sumy, które padły podczas dyskusji obydwu mężczyzn sprawiły, iż nagle zakreśliło mi się w głowie. Były zbyt wysokie, nawet w porównaniu z moimi najśmielszymi oczekiwaniami.

– Jesteście niezwykle szcudrzy, ale wykonując tę sesję nie myślałam o jakiegokolwiek finansowej gratyfikacji. Lee okazał mi wiele sympatii i ciepła, pokazując, że Singapur może się stać domem z dala od

domu. Źle bym się czuła biorąc pieniądze od kogoś, kto obdarzył mnie taką sympatią. W moim kraju jest to traktowane na równi ze znieważeniem przyjaźni – rzekłam, naginając fakty w nadziei, że ta bezsensowna dyskusja wreszcie się zakończy.

Pierwszy poderwał się szef firmy jubilerskiej i niespodziewanie, chyba dla wszystkich, pokłonił się lekko przede mną i przemówił ściszym tonem.

– Proszę wybaczyć. Nie mieliśmy pojęcia, iż nasza propozycja może okazać się dla pani obraźliwa. Zapomnijmy więc o niej, winiąc o to nieporozumienie różnice kulturowe – rzekł uroczyście – Jeszcze dziś doręczymy odpowiednie referencje, jeśli takowe panią zadowolą. Daję na to moje słowo honoru. Pozwolę sobie jednak podziękować za te cudowne zdjęcia małym drobiazgiem wykonanym w naszym atalier – zastrzegł od razu – jednocześnie dodam, iż obrażę się, jeśli odrzuci pani ten gest przyjaźni.

Kompromis to podstawa kontaktów między przedstawicielami różnych nacji. Potrafi budować mosty, jakże więc mogłabym się przeciwstawić takiej propozycji?

– Jestem niezmiernie wdzięczna i dziękuję z góry za ową niespodziankę, która będzie dla mnie pamiątką naszej współpracy.

Tian Xiong uśmiechnął się, wyraźnie usatysfakcjonowany moją odpowiedzią. Wyraz

zaniepokojenia pomieszanego z obawami nagle zniknął z jego oblicza.

– Doskonale! Mój asystent – tu wskazał mężczyznę, którego imienia wczoraj nie zapamiętałam – Pozwoli sobie zapisać dokładną pisownię pani nazwiska.

– Oczywiście – zgodziłam się ochoczo – zdaję sobie sprawę, iż niewątpliwie jest ono trudne.

– Adrianno, zostaje nam do omówienia mój prezent – rzekł Lee, zwracając się do mnie – ale myślę, że przedyskutujemy to na późnym lunchu, bo nieprzyzwoitością byłoby trzymanie cię tu dłużej bez odpowiedniego posiłku.

Westchnęłam ciężko, nie mogąc zrozumieć, dlaczego chcą mi się na siłę odpłacić za coś, co zrobiłam z przyjemnością.

– Dobrze, niechaj lunch będzie wkładem w całe to przedsięwzięcie. Pod warunkiem, że i ty nie zapomnisz o jakiejś zgrabnej pisemnej rekomendacji. Przyda mi się ona podczas szukania w Polsce nowej pracy.

Moje słowa wywołały zdziwienie zebranych mężczyzn, którzy szybko wymienili zaskoczone spojrzenia. Tian Xiong wypowiedział przy tym kilka niezrozumiałych dla mnie słów.

– Nie przeinaczaj mojej wypowiedzi – zaśmiał się w tym czasie mój rozmówca – na posiłek zapraszam cię jako przyjaciel...

– Jesteś niemożliwy, wiesz o tym? – spytałam lekkim tonem, który sam przed chwilą nadał całej tej dyskusji, nie zważając na obecność swoich partnerów biznesowych.

– I właśnie za to mnie kochasz – odparował natychmiast, szeroko się przy tym uśmiechając.

Powiedzieć, że mnie замуrowało, to tak jak stwierdzić, że tsunami pustoszące całe wybrzeże jest jedynie nieco większą falą na powierzchni spokojnego oceanu.

Postanowiłam po prostu wyśmiać jego słowa, podkreślając jak bardzo w nie nie wierzę.

– Jasne – mruknęłam przeciągle – pewnie mówisz to każdemu fotografikowi, z którym współpracujesz!

– Przejrzałaś mnie! – przyznał się, podnosząc ręce w geście poddania – Daj nam dziesięć minut na dopięcie kilku drobnych kwestii, a potem zabieram cię do Chinese Heritage Center. Mam przecucie, że ci się tam spodoba. W międzyczasie Yu Tian dotrzyma ci towarzystwa – dodał, dając znać swojej asystentce, by wyprowadziła mnie z gabinetu.

Kiedy tylko wyszłam na korytarz, odetchnęłam głęboko, pozwalając całemu nagromadzonemu we mnie napięciu po prostu znaleźć ujście w tym zwykłym, ludzkim geście.

– Nadal nie potrafię cię zrozumieć. Mogłaś zasilić

swoje konto ogromną sumą. Sprawdziłam w Internecie tą twoją Polskę – wyznała szeptem – oferowane ci pieniądze były dość znaczne, jak na wasze standardowe miesięczne dochody...

– Wiesz – zaczęłam, próbując zebrać myśli – nie zawsze chodzi o pieniądze. Czasami serdeczność zaoferowana nam przez zupełnie obcych ludzi i ich zaufanie znaczą dużo więcej. Wspomniałaś dziś, że jestem dumna. Być może tak właśnie jest, bowiem to ta cecha nie pozwoliłaby mi przyjąć żadnego czeku, niezależnie od tego, ile zer by się na nim znalazło. Referencje, które otrzymam od Lee i Tian Xiong, wystarczą mi w zupełności do znalezienia czegoś, co da mi satysfakcję!

– Sprawiedliwość ma siedzibę w ludzkim sercu. – stwierdziła nieco filozoficznie – Twoje zachowanie pasuje do naszej mentalności. Mam przeczucie, że znajdziesz pracę szybciej, niż sama się tego spodziewasz – mruknęła w odpowiedzi – Pamiętaj, od dziś masz we mnie sprzymierzeńca. Jesteśmy sobie równe.

Rozejm? To chyba mi odpowiadało. Nawet jeśli miał on zapanować na kilka ostatnich minut naszej znajomości.

– Będę ci równa, jeśli kiedyś uda mi się zdobyć takie Laboutiny jak twoje – wskazałam jej piękne szpilki w kolorze ecru zdobione na kostce delikatnymi pasczkami, które przeplatając się ze sobą tworzyły



skomplikowany ażurowy wzór.

– To model Confusa... Powtórzę się, ale to prawdopodobnie również stanie się szybciej, niż się tego spodziewasz – odpowiedziała, śmiejąc się serdecznie – Masz ochotę na kawę? Z doświadczenia wiem, że dziesięć minut może przeciągnąć się nawet do godziny.

Po chwili, przy Mocce, zaczęłyśmy plotkować niczym dawne znajome, które nie widziały się od wieków. Yu Tian opowiadała mi o dorastaniu w cieniu ojca odnoszącego sukcesy i matki tradycjonalistki oraz o tym, jak przez to znalazła się na rozdrożu, nie wiedząc, skąd tak naprawdę powinna czerpać wzorce. Wspomniała o zmianach, jakie przez ostatnich kilkanaście lat zaszły w jej ojczyźnie i planach rządu, aby podtrzymać konkurencyjność Singapuru jako światowego ośrodka finansowego i jednocześnie miejsca przyjaznego dla obywateli.

– Jeśli tylko zarabiasz wystarczająco dużo, to życie tutaj bywa naprawdę cudowne... – szepnęła do mnie konspiracyjnie.

– Wiesz, chyba wszędzie jest dobrze, jeśli nie ma się problemów natury ekonomicznej. Polska też jest cudowna, gdy nie musisz się martwić tym, z czego opłacić najbliższe rachunki – zażartowałam, siląc się jednocześnie na szczerłość.

– Masz rację. Świat jest piękny. To ludzie czynią go swoim własnym piekłem.

Zaskoczyła mnie trafnością stwierdzenia. Nie spodziewałam się pod niej tak głębokich przemyśleń. W końcu co o życiu może wiedzieć córeczka bogatego tatusia? Być może Lee mylił się co do niej? Kto wie, może stanowiliby dobraną parę!

– Gotowa? – usłyszałam za swoimi plecami głos mężczyzny, któremu właśnie poświęciłam ostatnią myśl.

– Jasne, pod warunkiem, że ta chińska restauracja nie spowoduje, że wpadnę w kompleksy wśród ludzi odzianych w stroje z najnowszych pokazów Armaniego czy Valentino!

Zachichotał jak mały, psotny chłopiec.

– Czy wiesz, co to jest Hawker Center? – spytał zupełnie bez związku z tematem naszej rozmowy.

– Jasne. Ann-Marie zabrała mnie raz do Lau Pa Sat. Jedzenie było niezwykłe – stwierdziłam, wspominając cudowny smak serwowanych tam potraw.

– Jeden z kolegów polecił mi Chinese Heritage Center. Podobno jest to sympatyczne miejsce z dobrą kuchnią i miłą atmosferą.

Spojrzałam na niego z zupełnie innej perspektywy. Oto człowiek, który przed tygodniem nie wyobrażał sobie przejażdżki metrem, nagle chciał mnie zabrać do zadaszonej przestrzeni, w której serwowano potrawy nazywane w Azji Street Food? Kimże bym była, gdybym stanęła na drodze jego powrotu do rzeczywistości?

– W drogę Collins! Ostrzegam jednak, że mam wilczy apetyt!

– Na to właśnie liczę – rzekł, biorąc mnie pod ramię.

Wywołało to zaskoczenie nie tylko Yu Tian, ale też innych podwładnych.

## Rozdział XVII

### Pocałunek na dachu świata

Słyszając jego słowa, omal nie zadławiłam się nieziemsko ostrym makaronem z krewetkami. Starając się pokonać łyzy cisnące się do oczu, spróbowałam złapać oddech i odzyskać władzę nad własnymi strunami głosowymi.

– Czy mógłbyś powtórzyć to, co właśnie powiedziałeś? – poprosiłam uprzejmie, nadal sądząc, iż się przesłyszałam.

– Zarezerwowałam dla ciebie pokój w Marina Sand Bay. Przed wylotem powinnaś zobaczyć widok z najwyższych pięter i, co najważniejsze, basen na dachu budynku. Bez tego twoja wizyta w Singapurze nie byłaby kompletna!

– Lee, to zbyt dużo. Lunch jest wystarczającym podziękowaniem! Zresztą miałam w planach kolację z Ann-Marie i jej partnerem. Chciałam się jej w ten sposób odwdziaczyć za gościnę. Zrobiła dla mnie tak dużo – wymyśliłam na prędko.

Zapadła cisza, ale tylko na moment.

– Zarezerwuję zatem pokój również dla nich. W czwórkę zjemy kolację w hotelowej restauracji – rzekł szybko, znajdując rozwiązanie patowej sytuacji.

– Lee... – wymówiłam jego imię tonem sugerującym narastający gniew.

– Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi – dodał rozbrajająco – Poza tym chciałbym z tobą porozmawiać o czymś po kolacji.

– Nie musiałeś w tym celu rezerwować dla mnie pokoju w hotelu będącym niezaprzeczalnym symbolem Singapuru!

– Chciałem.

– Nie sądzę, by był to najlepszy pomysł... – rzekłam niepewnie.

Prawdopodobnie pod wpływem mojego wątpliwego tonu Lee zamyślił się na chwilę, po czym nieco zawstydzony szepnął:

– Adrianno, chyba źle zrozumiałaś moje intencje. Nie będę dodatkiem do tego pokoju! – zapewnił lekko speszony.

„A dlaczego niby nie?” – pomyślałam natychmiast, mając nadzieję, że nie wypowiedziałam tego pytania na głos.

– Nie masz się czego obawiać – zapewnił – nie narzucam się kobietom, które nie życzą sobie mojego towarzystwa.

– To nie tak... Gdybyś tylko nie był tak bogaty. Gdyby nie spoczywała na tobie odpowiedzialność za ogromną firmę...

Zaśmiał się tak serdecznie, iż dostrzegłam w kącikach jego oczu drobne zmarszczki mimiczne.

– Dla większości mój majątek byłby jedynie bonusem od losu...

– Cóż, nie dla mnie... To czyni cię równie niedostępnym, jak gwiazdy czy księżyc – mruknęłam niechętnie – Zresztą za mniej niż dwadzieścia cztery godziny znajdę się na pokładzie samolotu lecącego do Amsterdamu. Przygoda Kopciuszka w Singapurze dobiega końca – szepnęłam, zdradzając mój sentyment do bajki oraz fakt, iż identyfikowałam się z jej bohaterką.

Niespodziewanie ujął moją dłoń i lekko ją ściskając, spojrzał mi w oczy.

– Porozmawiamy nad basenem z najlepszym widokiem na świecie. Pamiętaj jednak, że ja nie mam zadatków na księcia z bajki i raczej nie pasuję do wyidealizowanej wersji bohatera opowieści dla małych dziewczynek.

– Jesteś niemożliwy – powtórzyłam swoje własne słowa, wypowiedziane zaledwie kilkadziesiąt minut wcześniej.

– Już mi to mówiłaś. Czy powinienem powtórzyć

swoją odpowiedź? – spytał prowokacyjnie, nie odrywając ode mnie swoich niezwykłych oczu ozdobionych firankami z długich, niemal kobiecych rzęs.

Wzięłam głęboki oddech, aby nie rozeźmiać się nad niedorzecznością naszej konwersacji.

– Zachowaj ten argument na wieczorną dyskusję – poradziłam, zaskakując nie tylko jego, ale również siebie samą.

– Świetnie! – stwierdził, wracając natychmiast do pozy pewnego siebie biznesmena – Zarezerwuję pokój dla Ann-Marie i jej osoby towarzyszącej. Spędzicie nieco czasu razem, może wybierzecie się do SPA, urządzicie sobie babskie pogaduchy czy co tam teraz kobiety robią, gdy zostają same. Wieczorem zjemy we czwórkę kolację. Później zaś chciałbym skraść ci godzinę twojego cennego czasu.

– Nie wiem czy...

– O której Ann-Marie wraca do domu?

– Po siedemnastej – odpowiedziałam automatycznie, zaskoczona pytaniem.

– Zatem kierowca będzie czekał o piątej trzydzieści, by zawieźć was do hotelu. Wszystko uzgodnione, więc wracajmy do jedzenia, bo sądzę, że i tak zdążyło już nieźle przestygnąć.

Nie dał mi nawet chwili czasu na zastanowienie czy

też protesty. Podjął decyzję, przeprowadził atak mający na celu osłabienie mojej linii obrony, po czym postawił warunki kapitulacji, by na koniec uciszyć mnie pysznościami znajdującymi się na talerzu.

– Czy ty dziś coś piłaś? – spytała podejrzliwie Ann-Marie, kiedy tylko zrelacjonowałam jej plany na dzisiejszy wieczór.

– Ja? Tak, oczywiście. Kilka kaw, jakiś sok, sporo herbaty... A i jeszcze świeżą wodę kokosową. Była boska! – odparłam ze śmiechem, udając, iż nie rozumiem o co jej chodzi.

Spojrzała na mnie, jakby sama nie wiedziała, co powinna ze mną zrobić. Uściskać z radości czy też udusić za całkiem szalony pomysł.

– I ja mam z tobą jechać? – upewniła się.

– Tak. Lee zarezerwuje również pokój dla ciebie. Jeśli masz ochotę, to zabierz ze sobą Alana. W ten sposób będziemy mogli zjeść kolację w czwórkę.

– Nie wiem czy stać mnie tam chociażby na przystawkę – wyznała cicho.

– Rachunek wędruje do Collinsa. To rodzaj prezentu za sesję, którą dla niego zrobiłam – uspokołam ją natychmiast.

– Nie zapłacił ci? – spytała szczerze zdziwiona.

– Nie chciałam.



Ann-Marie zamyśliła się na chwilę, nie wiedząc, co powinna zrobić, po czym bez słowa chwyciła elegancką torbę i zaczęła pakować do niej niezbędne rzeczy.

– Nie zapomnij umieścić kostiumu kąpielowego na wierzchu. Basen na dachu jest niesamowity – skomentowała swoje poczynania.

– Byłaś tam?

– Coś ty?! Widziałam zdjęcia w artykule podróżniczym – zdradziła, śmiejąc się jak beztrioskie dziecko.

Westchnęłam, odkrywając, iż coraz bardziej podoba mi się jej podejście do życia i niespodzianek, jakie czasem ze sobą niesie.

Widok z basenu był faktycznie niesamowity. Ale niestety okazało się, że miałam lęk wysokości, którego objawy nasilały się do granic możliwości, kiedy tylko zaczynałam podziwiać dachy wieżowców wznoszących się dziesiątki metrów nad ziemią! Patrząc na Ann-Marie pływającą przy zewnętrznej krawędzi basenu, stwierdziłam z zazdrością, iż ona nie miała podobnych obaw.

– Wskakuj do wody – zachęciła mnie – zrobimy sobie pamiątkową fotkę!

– Nie, raczej nie, ale jeśli chcesz, zrobię ci kilka zdjęć – zaproponowałam, próbując zapanować nad panicznym strachem nakazującym mi ucieczkę do najbliższej

przestrzeni zamkniętej.

– Uuuu jeszcze skończę jako modelka – zaśmiała się pijana szczęściem – strzelaj, ale potem i tak dołączysz do mnie, dopilnuję tego!

– Nie liczyłabym na to. A właśnie, dzwoniłaś do Alana? – spytałam, chcąc skierować jej myśli na inny temat.

– Przekazałam mu zaproszenie na kolację – zrelacjonowała szybko – ale nie wspomniałam nic o pokoju. Sądzę, iż jest zbyt wcześnie na tego typu propozycje – dodała znacznie ciszej.

Czy ta nowoczesna kobieta kryła jednak starodawne zasady i przekonania pod przykrywką niezależności i wyzwolenia? Miło było przekonać się, że nie byłam ostatnią cnotką stulecia.

Robiąc kolejną serię zdjęć, mających na celu zaprezentowanie Ann-Marie na tle zapierającej dech panoramy Singapuru, powoli zaczęłam oswajać się z wysokością, widokami i uczuciem panicznego lęku.

Odłożyłam aparat na leżak i umoczyłam stopę w przyjemnie ciepłej wodzie. Zachęcona wykonałam krok i powoli zaczęłam zanurzać się w basenowej toni. Przepłynęłam kilka metrów i ku swojemu zaskoczeniu odkryłam, iż chcę przełamać swój strach przed wysokością. Ostrożnie ruszyłam w kierunku krawędzi basenu, aż w końcu podpłynęłam do niej i zamarłam z

wrażenia. Te kilka metrów odległości czyniło ogromną różnicę w odbiorze panoramy roztaczającej się z tarasu Marina Sand Bay. W jednej chwili pożałowałam, że nie mam wodoodpornego aparatu dobrej jakości. Zrobiłabym tu niesamowite zdjęcia!

– Niczym syrena kusząca swym śpiewem zbłąkanych żeglarzy – rzekł mężczyzna stojący przy basenie.

Wykonałam gwałtowny ruch w wodzie, chcąc odwrócić się w stronę Collinsa, który wypowiedział te słowa, jednak nieopatrnie skończyłam idąc pod wodę i usiłując wynurzyć się ponownie na powierzchnię. Zanim mi się to udało, usłyszałam szum wody, który mógł wskazywać na to, że ktoś wskoczył do basenu. W ułamku sekundy poczułam silne dłonie obejmujące mnie w talii i ciągnące ku górze. Łapczywie zaczerpnęłam tchu i dostrzegłam ciemne oczy wpatrzone we mnie z niepokojem.

– Lee – szepnęłam, patrząc jak drobne krople wody skapują z jego nieprzyzwoicie długich rzęs.

– Potrafisz, jak mało kto, przyspieszyć mi puls – zaśmiał się, przyciągając mnie do siebie.

Oparłam dłonie na jego ramionach i nie mogąc oderwać wzroku, zamilkłam, wpatrując się w niego bez końca. Trzeba przyznać, że widok był niezwykle miły dla oka. Z zaskoczeniem odkryłam, że eleganckie, szyte na miarę garnitury, w których widziałam go przez większość czasu skrywały męskie, pięknie wyrzeźbione

ciało, o jakie nawet go nie posądzałam!

– Adrianno, nie sądziłem, że... – zaczął niepewnie, nadal obejmując mnie tak mocno, jakby nie zamierzał nigdy puścić.

– Ja też nie ... – przyznałam, rozumiejąc bez słów to, co zamierzał powiedzieć.

Świat skurczył się do nas dwojga. Osoby obecne wokół nagle stały się niewidzialne. Poczułam jego spojrzenie, które niespodziewanie zatrzymało się na moich ustach, prosząc w ten niemy sposób o pozwolenie. Uśmiechnęłam się nieznacznie, mając nadzieję, że właściwie zrozumie moje intencje.

Pojął je bezbłędnie, o czym przekonałam się zaledwie chwilę później. Jego ciepłe wargi najpierw delikatnie, a potem dużo bardziej zdecydowanie, wpiły się w moje, odciskając na nich niewidoczne piętno. W ich dotyku można było wyczuć czułość, troskę, ale też głęboko skrywaną pasję. Objęłam go mocno, przyciągając do siebie na tyle blisko, na ile było to możliwe. Powoli zaczęłam tracić kontrolę nad swoimi zmysłami, gdy usłyszałam lekkie chrząknięcie, a potem radosny okrzyk Ann-Marie:

– Uśmiech! – zarządziła, naciskając przycisk zwalniający migawkę w moim aparacie!

Zaskoczeni odskoczyliśmy od siebie niczym oparzeni, próbując opanować buzujące w nas emocje.

– Skoro już zrobiłam wam pamiątkową fotkę, moje wygołąbeczki, to mogę was zostawić samych. Chociaż uważam, że istnieją dużo bardziej odpowiednie miejsca do tego typu dyskusji, niż hotelowy basen.

Zanim którekolwiek z nas zdążyło cokolwiek odpowiedzieć, chwyciła ręcznik i ruszyła w stronę wyjścia.

Lee spojrzął na mnie zupełnie zaskoczony i roześmiał się beztrosko, próbując w ten sposób ukryć swoje zmieszanie.

– Ma charakterek – mruknął, patrząc w ślad za moją przyjaciółką.

– Zdecydowanie. Czasami go jej zazdrozczę – stwierdziłam zadowolona, iż nie poruszył tematu namiętnego pocałunku sprzed kilkunastu sekund.

– Ciekawa z niej osoba. Adrianno... przepraszam, nie powinienem był... no wiesz – zaczął się plątać w przeprosinach, nie chcąc nazwać tego, co właśnie wydarzyło się między nami – Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Najlepiej będzie, jeśli po prostu o tym zapomnimy – zaproponowałam.

– Tak, oczywiście – przyznał szybko, może nawet zbyt szybko, bowiem po upływie chwili zaprotestował – Nie, nie chcę zapomnieć. Sądzę jednak, że nie jest to najodpowiedniejszy moment, by o tym rozmawiać –

wyjaśnił, jeszcze bardziej gmatwając swoją wypowiedź – przepraszam cię, muszę już iść. Spotkamy się o dwudziestej.

Ruszył w kierunku schodów, by jak najszybciej opuścić basen, w którym nadal stałam nieruchomo, spoglądając zaskoczona jak odchodzi. Nagle zatrzymał się, jakby zmienił zdanie, po czym odwrócił się i spojrzał na mnie, nadal tkwiącą po szyję w wodzie.

– Referencje ode mnie i Tian Xiong, wraz z zapowiadzianym małym podarunkiem, powinny być już w twoim pokoju. Przez całe popołudnie słuchałem peanów na cześć twojego talentu.

– Dziękuję – rzekłam niepewnie, nie bardzo wiedząc, co powinnam powiedzieć w obliczu jego ucieczki z miejsca zbrodni.

Zostałam sama. Ignorując nieprzyjemne uczucie rodzące się gdzieś w żołądku, podpłynęłam do krawędzi i oparłszy się o barierkę, spojrzałam na Singapur niemal z lotu ptaka. Ciekawe czy Lee i inni mieszkańcy tej metropolii potrafili należycie docenić piękno, jakie otaczało ich niemal ze wszystkich stron? Cóż, pewnie nigdy nie poznam odpowiedzi na to pytanie!

Stojąc owinięta w hotelowy szlafrok, sięgnęłam w stronę elegancko zapakowanego pudełka leżącego obok dwóch kopert. Spoglądając na wystrój apartamentu, można było dojść do wniosku, że jestem światowej sławy celebrytką. Któż inny byłby w stanie zatrzymać się

w tak ogromnym przepychu, jaki do tej pory podziwiałam tylko w amerykańskich serialach?

– Otworzyć albo nie otworzyć, oto jest pytanie – stwierdziłam na głos, parafrazując chyba najśłynniejszy dylemat szekspirowski.

Przez chwilę ważąc trzymany w dłoni prezent, doszłam do wniosku, iż jest niespodziewanie ciężki. Cóż, może eleganckie opakowanie tyle waży?

Ostrożnie rozwiązałam fioletową tasiemkę zdobiącą stalowoszary papier i odchyliłam jego rogi. Poznając tajemnice pakunku przysłanego przez pana Tian Xiong, czułam się jak odkrywca nowych lądów zamierzający ujrzeć nieznanne cuda świata.

Palcami namacałam aksamitną powierzchnię puzderka na biżuterię, które zapewne kryło w sobie jakieś małe precjozum. W sercu zakwitła mi nadzieja, że być może dostałam jakiś pierścionek z fioletowego złota, które tak bardzo zafascynowało mnie w czasie pobytu tutaj. Nie, poprawka, nie było to pudełko na tego typu biżuterię. Kryło w sobie raczej jakiś łańcuszek z zawieszka, być może nawet motylka, którego fotografowałam zaledwie kilka godzin wcześniej.

Przyglądając się eleganckiej szkatułce, zaczęłam walczyć z własną ciekawością. Doskonałym treningiem silnej woli byłoby pozostawienie jej w spokoju i otworzenie dopiero w domu, w Polsce. Jednak palce, nieposłuszne woli umysłu, powędrowały w stronę

małego zameczka i zwolniły blokadę. Uchyliłam wieczko i zamarłam.

To, co znalazłam w środku, przekroczyło moje najśmielsze marzenia i oczekiwania. Owszem, drobiazg, jak go określił pan Tian Xiong, zawierał w sobie motyw motyla, który migocząc fioletowymi skrzydłami, chciał się niezwłocznie wzbicić w przestworza. Jednak rozmiary podarunku były znacznie okazalsze od przedmiotu znanego mi z sesji.

Naszyjnik, bo tylko tak można było nazwać to cudo, został stworzony z dziesiątek drobnych motyli. Wyjęłam go delikatnie i przyłożyłam do skóry na wysokości szyi. W moich oczach ten niezwykle prezent stał się piękniejszy od wszystkich klejnotów koronnych świata.

Wykonałam piruet, chcąc zatańczyć z radości i uświadomiłam sobie jednocześnie, że prawdopodobnie żadne wydarzenie w moim życiu nie przebije tych kilku dni w Azji.

Spotkało mnie tu tyle dobrego. Poznałam cudownych ludzi, zyskałam przyjaciółkę, zakochałam się w przystojnym gentlemanie... Zaraz, zaraz, zakochałam się? Patrząc na szczęśliwe odbicie w lustrze, uśmiechnęłam się nieznacznie i pozwoliłam sobie wyznać to, co serce wiedziało od kilku dni. Nie byłam pewna, czy słowo „zakochanie” było właściwym określeniem, nie mniej jednak wiedziałam, że trudno będzie usunąć wizerunek Lee z serca.



Odłożyłam naszyjnik do pudełka i właśnie wtedy spostrzegłam niewielki bilecik, który niezwłocznie otworzyłam.

Pani Adrianno,

Słowa nie są w stanie wyrazić mojej wdzięczności za pomoc, jaką okazała pani zupełnie obcemu człowiekowi w potrzebie. Mam nadzieję, że ten niewielki prezent okaże się miłą pamiątką przywodzącą na myśl naszą firmę.

Tian Xiong

Do bilecika dołączono jeszcze jedną niewielką kopertę, w której znalazłam certyfikat potwierdzający autentyczność fioletowego złota wykorzystanego w produkcji oraz diamentów zdobiących motylki na naszyjniku.

„Diamentów? O mój Boże!” – pomyślałam w panice – „Przecież to musiało ich kosztować fortunę. W naszej rozmowie wspomniano o drobiazgu, a nie o precjozach wartych królowej Hollywood! Nigdy nie będę miała okazji założyć na siebie czegoś takiego! Diamenty nie pasują do mojego codziennego życia...”

„Przecież sama obiecałaś sobie, że zmienisz swoją egzystencję na lepsze.” – przypomniał mi cichy głosik dochodzący wprost z serca – „Może to jest prezent na nowy start?”

Kolacja w hotelowej restauracji minęła w przyjemnej

atmosferze. Ku mojemu zaskoczeniu, Lee już po kilku chwilach doskonale dogadywał się zarówno z Ann-Marie, jak i z Alanem. Żartem i śmiesznym anegdotom nie było końca, przez co udało mi się poznać wiele ciekawych aspektów życia w Singapurze.

Przysłuchując się rozmowie, rozsiadłam się nieco wygodniej na krześle i przymknęłam oczy. Próbowałam utrwalić w pamięci to cudowne uczucie szczęścia i bez troski, czystej przyjemności płynącej z doborowego towarzystwa, rozmowy pozbawionej codziennych trosk oraz jedzenia przygotowanego przez najlepszych mistrzów kuchni. Uśmiechając się do swoich myśli, zerknęłam w stronę mężczyzny, który sprawił, że ten wieczór miał stać się magicznym wspomnieniem.

Lee natychmiast podchwycił mój wzrok i odwzajemnił spojrzenie, wyrażając w nim swoje uczucia. Ujął delikatnie moją dłoń i ścisnął lekko, próbując mi w ten sposób powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

Alan chwycił kieliszek z czerwonym winem i uniósł go, sygnalizując, iż chciałby coś powiedzieć. Spojrzenia całej naszej trójki natychmiast zwróciły się ku niemu.

– Chciałbym podziękować panu Collinsowi za zaproszenie nas na tak cudowną kolację w doborowym towarzystwie.

– To dla mnie czysta przyjemność. Lepiej wznieśmy toast za Adriannę, która wniosła tyle życia i pozytywnej

energii do naszego małego światka – zaproponował natychmiast Lee.

– Za Adrianę! – zawtórowali wszyscy.

– Za przyjaźń – szepnęłam speszona, spoglądając to na Ann-Marie, to na siedzącego obok mnie mężczyznę.

Poczułam jak łzy wzruszenia same cisną mi się pod powieki na myśl o powrocie do domu. Oczywiście tęskniłam za rodziną i cudownymi przyjaciółmi, dzięki którym mój sen w ogóle był możliwy do spełnienia, ale czułam też, że ciężko mi będzie zostawić tych ludzi, którzy tylko na jeden, krótki moment wkroczyli w moją codzienność. Ciekawe jak po wspaniałościach książęcego zamku Kopciuszek poradził sobie z widokiem kuchni, którą musiał co rano szorować.

## Rozdział XVIII

### Każdy bal dobiega kiedyś końca...

Alan pożegnał wszystkich, wymieniając się przy okazji wizytówkami z Collinsem, zaś Ann-Marie, życząc spokojnej nocy, wyściskała mnie serdecznie i obiecała zajrzeć przed wyjściem do pracy.

Stojąc w holu, pomyślałam, że szkoda marnować ten wieczór na sen. Pod wpływem chwili zdecydowałam, że kiedy tylko skończę rozmowę z Lee, pójdę na ostatni spacer po Gardens by the Bay, które jaśniały w mroku roztaczającym się za oknami hotelu.

– Adrianno, wspominałem, że chciałbym z tobą chwilę porozmawiać – szepnął mi wprost do ucha przystojny mężczyzna stojący tuż obok.

Uniosłam wzrok ku górze, by spojrzeć na jego twarz. Malujące się na niej niepewność i obawa nieco mnie zaskoczyły.

– Oczywiście – przytaknęłam natychmiast – pytanie tylko gdzie?

– Myślę, że basen Infinity będzie dobrym miejscem. Obiecałem ci w końcu najlepszy widok na miasto. Nie

powinno być tam zbyt wielu ludzi o tej porze.

Na wspomnienie pocałunku, do którego doszło właśnie w tym ikonicznym dla Singapuru zakątku, poczułam jak robi mi się gorąco. Wiedziałam, że nie mam szans na jego powtórkę, jednak zdawałam sobie sprawę, iż z pewnością będzie mi trudno skupić się tam na czymkolwiek.

– Nie jestem pewna czy...

– Jeśli obawiasz się, że ponownie rzucę się na ciebie, to możesz być spokojna – zapewnił, opacznie rozumiejąc moje obawy – następnym razem poproszę o pozwolenie – dodał, szczerząc radośnie zęby, co ujęło mu lat, czyniąc go w moich oczach nieopierzonym osiemnastolatkiem tuż przed pierwszą randką.

– Nie wiem, co powinnam z tobą zrobić, jesteś...

– Niemożliwy, wiem. Chodźmy lepiej, bo inaczej sprowadzę cię na złą drogę w hotelowej windzie – zagroził ze śmiechem.

– Obiecanki – cacanki – mruknęłam na tyle głośno, by mógł to usłyszeć.

Nie odpowiedział na tę jawną prowokację, a jedynie przepuścił mnie w drzwiach i wcisnął odpowiedni przycisk.

Na tarasie mieszczącym basen było co prawda kilkadziesiąt osób, jednak znaczna ich część kierowała się do SkyBaru Cé La Vi. My zaś bez problemu

znaleźliśmy zaciszny kąt, w którym przysiedliśmy na jednym z leżaków. Przez chwilę trwaliśmy w ciszy, spoglądając na światła tętniącego życiem miasta.

– Nie wiem, od czego zacząć – wyznał cicho – tak wiele rzeczy chciałbym z tobą omówić.

– Sam musisz zdecydować. Ja natomiast zamieniam się w słuch.

Rozsiadłam się wygodniej na miękkim materacu pokrywającym szezlong i zamilkłam, podziwiając panoramę.

Lee delikatnie ujął w dłonie moje ręce, muskając palcami ciepłą skórę.

– Może więc zacznę od dużo prostszej sprawy. – zadecydował, prostując się lekko – Wspominałaś, że po powrocie z wakacji zamierzasz szukać pracy. Do tego były ci niezbędne referencje ode mnie i Tian Xiong.

– Zgadza się – przytaknęłam nieco automatycznie.

Spodziewałam się dyskusji o chemii, która między nami narastała od pierwszego spotkania, może o pocałunku sprzed kilku godzin lub jego słownych insynuacjach, ale na pewno nie o moich przyszłych planach zawodowych.

– Czy w Polsce jest coś, co trzyma cię tak mocno, iż musisz tam wracać?

– Sam przecież powiedziałaś, że dopiero będę szukać pracy...

– Nie ma absolutnie nikogo? Jakiegoś mężczyzny, chorej matki...

– Gdyby istniał w moim życiu jakikolwiek mężczyzna, na którym by mi zależało, to już dawno zarobiłbyś porządnym prawym sierpowym za deprawowanie niewinnej panny – zażartowałam, nie rozumiejąc, co miał na myśli – zaś jeśli chodzi o moją mamę, to kiedy ostatnio do niej dzwoniłam, była w jak najlepszej kondycji i wybierała się właśnie na czwartkową partyjkę kanasty z koleżankami z pracy! – odparłam zgodnie z prawdą.

– Zatem mam propozycję, która być może przypadnie ci do gustu. Zanim jednak zbyt pochopnie ją odrzucisz, przemyśl wszystko dokładnie.

– To w końcu spodoba mi się czy nie? Bo, jak dotąd, sam sobie przeczysz – zauważyłam zniecierpliwiona.

Spojrzał na mnie, wziął głęboki oddech i ujął całą sprawę tak prosto, jak tylko można było to zrobić.

– Ty szukasz pracy, a my pomysłowego fotografa. Chciałabyś dla mnie pracować?

„Słucham? Pracę? Tutaj? Jako zawodowy fotograf? Nawet gdyby oświadczył, że zamierza zepchnąć mnie stąd prosto w przepaść, nie byłabym bardziej zaskoczona”.

– Ale...

– Przemyśl to – poprosił – pensja dostosowana będzie

zarówno do kosztów życia tutaj, jak i twojego wkładu w rozwój firmy.

– Lee, tu nie chodzi o pieniądze...

– Zdążyłem zauważyć, że nie przywiązujesz do nich zbytnej wagi... Może jednak skusi cię możliwość rozwoju...

– Ale...

– Pomyśl... Już teraz masz Singapur dosłownie u swoich stóp – powiedział, wskazując na panoramę roztaczającą się przed nami – Chcę ci zaoferować dużo więcej.

– Ann-Marie opowiadała mi o ogromnej ilości dokumentów, które trzeba wypełnić, o pozwoleniach na pracę i Bóg wie czym jeszcze...

– Nasz dział prawny zajmie się stroną techniczną. Dopilnują wypełnienia wszystkich formularzy, uzyskania zezwoleń i wszystkich innych niezbędnych rzeczy.

Argument za argumentem zbijał wszystkie moje pomysły na wytknięcie słabych punktów jego propozycji. Więc może powinnam się zgodzić? Co miałam do stracenia? Najwyżej po kilku tygodniach lub miesiącach wrócę do Polski, bogatsza o ciekawe doświadczenie zawodowe.

– Taka przeprowadzka będzie skomplikowana – mruknęłam – rzeczy, koszty...



– Na kiedy mam ci zarezerwować lot powrotny do Singapuru? – spytał jak gdybyśmy rozmawiali o wezwaniu taksówki, która miała mnie zawieźć na lotnisko.

– Jeszcze się nie zgodziłam... – zastrzegłam.

– Nie będę cię zmuszał, ale wiem, że ci się tu podoba. Traktujesz Ann-Marie jak przyjaciółkę znaną od kołyski. Byłaś w stanie zrezygnować z tego wieczoru tylko po to, by spędzić z nią trochę czasu. Pomogłaś w potrzebie mężczyźnie, który pierwszego dnia znajomości rozbił twój telefon...

– I natychmiast podarował mi znacznie droższy, zupełnie nowy model – uzupełniłam.

– To akurat nic nie znaczący szczegół – machnął ręką, dając do zrozumienia, że nie chce wracać do tego tematu – Adrianno, jesteś zupełnie wyjątkowa!

Roześmiałam się, nie wiedząc jak zareagować na jego spontaniczne wyznanie. Milion myśli przewijających się w mojej głowie podpowiadał mi przynajmniej pięć możliwych rozwiązań aktualnej sytuacji, jednak większość z nich krzyczała „TAK”!

Pozostawała tylko jedna niewiadoma. W jaki sposób będę mogła pracować, dzień po dniu, widując Lee? Przecież z biegiem czasu pozna jakąś cudowną kobietę ze swojej sfery... Czy warto jednak wyrzekać się wspaniałej pracy przez mężczyznę, który pocałował

mnie zaledwie dwa razy w życiu?

– Jak wyobrażasz sobie naszą współpracę? – spytałam w końcu, chcąc usłyszeć odpowiedź na wszystkie moje wątpliwości.

– Dostajesz swoje biuro i studio fotograficzne, które wyposażymy we wszystko, co niezbędne, jeśli tylko stwierdzisz, że brakuje czegoś wśród sprzętów już zakupionych. Ty w zamian po prostu rób nam tak cudowne zdjęcia, jak te dla Tian Xiong – odparł, jakby było to tak dziecinnie proste – Jeśli dodatkowo uśmiechniesz się do szefa, wypożyczy ci on firmowego informatyka, który stworzy oficjalną stronę internetową z portfolio zawierającym twoje najlepsze prace – dodał nieco mniej oficjalnym tonem.

Kto nie ryzykuje, ten nigdy nic nie zyska, więc chwytajmy okazję.

– Zgoda! Daj mi trzy tygodnie na domknięcie moich spraw w Polsce – rzekłam, podając mu dłoń dla przypieczętowania umowy.

– Dwanaście dni. Chcę, byś wróciła tu przed Sylwestrem – stwierdził, stawiając swoje warunki...

– Ale...

– Pragnę powitać Nowy Rok z tobą u boku – szepnął, pochylając się nade mną.

Poczułam zapach jego wody po goleniu, który przyprawił mnie o zawroty głowy. Wszelkie plany

związane z pracą nagle stały się mało istotne. Skupiając się na głosie i ciepłe bijącym od stojącego obok mnie mężczyzny, zaczęłam marzyć, by ponownie mnie pocałował.

Odczytując moje skryte pragnienia, przybliżył się jeszcze bardziej, objął mnie w talii i spojrzał wprost w moją twarz.

– Czy mogę? – spytał zgodnie z obietnicą, wpatrując się w moje usta jak jastrząb w ofiarę, którą za moment zamierzał upolować.

Burza myśli przetaczająca się przez moją głowę nagle szepnęła mi złowrogo, iż oferta pracy mogła być związana z czymś zupełnie innym, niż moje umiejętności fotograficzne. Postanowiłam zignorować te obawy chociażby na moment i przeżyć, być może po raz ostatni, pocałunek z tym wyjątkowym, hipnotycznym mężczyzną. Skinęłam głową, kładąc wszystko na jedną szalę.

W tej przelotnej pieśczości zawarł całą gamę uczuć, jakie prawdopodobnie gnębiły go od dłuższego czasu. Tęsknota, pragnienie, obawa, ale też nadzieja. Wszystkie te emocje oszołomiły mnie bardziej niż wino, które podano do kolacji. Pod wpływem impulsu zarzuciłam mu ręce na szyję i przyciągnęłam bliżej siebie.

Tym razem nikt nie przeszkodził nam cieszyć się swoją bliskością. Wtulając się w jego silne ciało, odsunęłam od siebie wszelkie obawy, ale też zdrowy

rozsądek, który nakazywał mi zakończenie tego, co nie miało żadnego sensu.

Dotyk jego dłoni wywołał dreszcz niezrealizowanego pragnienia, uwalniając od dawna stłamszone zmysły. Przyszłość i przeszłość przestały się nagle liczyć. Ważne stało się jedynie tu i teraz.

– Lee – szepnęłam, gdy zakończył pocałunek.

Ku memu zaskoczeniu nie wypuścił mnie z ramion, lecz nadal mocno przytulał mnie do siebie.

– Ciii – poprosił szeptem – nie psuj tego.

Trudno mi powiedzieć, ile czasu staliśmy objęci na dachu świata, podziwiając gwiazdy blednące w blasku miasta. Odgłosy muzyki i ludzkich rozmów, mieszające się z szumem gwiazd, tworzyły niepowtarzalną melodię życia toczącego się gdzieś wokół nas.

– Chyba najwyższa pora, bym odprowadził cię do twojego pokoju. Musisz odpocząć przed podróżą – rzekł, odsuwając się ode mnie niechętnie – Zanim jednak pożegnamy się, chciałbym ci coś wręczyć – zastrzegł.

Spojrzałam na niego zdezorientowana, nie spodziewając się, że chciałby mi podarować coś jeszcze. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek powiedzieć, on nie wiadomo skąd wyciągnął pudełeczko niewielkich rozmiarów.

– To dla ciebie. Ale możesz otworzyć dopiero w

Polsce. Chociaż nie zdziwię się, jeśli odpakujesz tę niespodziankę jeszcze zanim dotrzesz do Amsterdamu – zażartował.

Zaśmiałam się radośnie, uświadamiając sobie, jak dobrze zdążył mnie poznać w przeciągu zaledwie kilku naszych spotkań.

– Sądzę, że jeszcze dziś poznam jego zawartość.

– O nie, nie, nie. – zaprzeczył, kręcąc głową – Jutro w drodze na lotnisko skontroluję czy opakowanie nie zostało naruszone!

– Wodzisz mnie na pokuszenie – mruknęłam.

– Nie bardziej, niż ty mnie... Będę musiał czekać na ciebie całe dwanaście dni.

No i wrócił do zagadnienia, które rzuciło cień na bezchmurne niebo przeznaczenia.

– Lee... Mogę cię o coś zapytać? – spytałam, nadal nie wiedząc, czy w ogóle powinnam poruszać ten temat.

Popatrzył na mnie jakbym zadała najbardziej niedorzeczne pytanie świata.

– Zabrzmiało tak, że chyba powinienem się obawiać. O co chodzi?

– Czy zatrudniasz mnie z powodu moich faktycznych umiejętności, czy też z powodu tego, że... no wiesz... Boże – westchnęłam, chowając twarz w dłonie – Nawet nie wiem, jak określić to, co jest między nami...

Zamarł. Serdeczność bijąca jeszcze przed chwilą z jego oblicza nagle przemieniła się w lód mrozący wszystko wkoło. Zakrył ręką usta, jakby powstrzymując się od wypowiedzenia słów, które niechybnie by mnie zraniły.

– Nigdy nie mieszałem pracy z życiem prywatnym i nie zamierzam tego robić w przyszłości. – oświadczył cichym, na pozór opanowanym głosem, cedząc pojedyncze słowa – Nie rozumiem dlaczego do tej pory nikt nie poznał się na talencie, który posiadasz. Widziałem znacznie gorsze prace w najlepszych magazynach fotograficznych, nie mówiąc o tysiącach słabych technicznie zdjęć używanych w kampaniach reklamowych. Zdaję sobie sprawę, że za rok, najpóźniej dwa, ktoś podkradnie cię z mojej firmy, dając szansę na światową sławę. Nie mniej jednak chociaż na ten krótki czas chciałbym posiadać w swoim zespole kogoś z twoimi umiejętnościami.

O.K. Teraz to już pewne. Lee charakteryzuje się niezwykłym darem operowania słowem. Założę się, że w swych reklamach potrafi przekonać Eskimosów do nabywania lodówek!

– Przepraszam, ale musiałam to wiedzieć – rzekłam zmieszana, chcąc złagodzić jego gniew.

– Oczywiście – zgodził się przez grzeczność.

Odszedł kilka kroków ode mnie i stanął nad krawędzią basenu. Milcząc, zapatrzył się w nicość.

– Lee, jeśli chcesz się wycofać się ze swojej oferty pracy, zrozumieć to... – szepnęłam, podchodząc do niego.

– Nie. Naprawdę chcę cię zatrudnić w mojej firmie. Zresztą Tian Xiong również zafundował mi dziś lekcję pogładową, której motywem przewodnim było stwierdzenie, iż nie powinienem stracić kontaktu z tak utalentowanym fotografikiem.

Tego się nie spodziewałam!

– Rozumiem...

– Adrianno, praca nie ma dla mnie żadnego powiązania z życiem prywatnym – podkreślił jeszcze raz – Zaprosiłbym cię do współpracy, nawet jeśli działałabyś mi na nerwy do tego stopnia, iż chciałbym cię własnoręcznie zrzucić z dachu jakiegoś wysokiego budynku.

– Na przykład takiego jak ten? – zażartowałam, próbując wnieść nieco humoru do poważnej nagle rozmowy.

– Na przykład takiego jak ten – potwierdził szybko, nie pojmując moich dobrych intencji.

Przełamując resztki obaw targających moją duszą, podeszłam do niego i dotknęłam dłonią jego ramienia. Spojrzał na mnie dużo cieplejszym wzrokiem i uśmiechnął się nieznacznie.

– Pokazałaś mi życie, o którego istnieniu nie miałem

pojęcia. Ożywiłaś dawne marzenia i przywołałaś obraz matki, która odeszła zbyt wcześnie. Sprawiałaś, że zacząłem się szczerze uśmiechać. Ba! Namówiłaś mnie na przejażdżkę metrem! Zmieniłaś mnie... Wzbudziłaś we mnie uczucia, które do tej pory były mi obce – wyznał – ale to wszystko jest tematem na inną rozmowę – uciał nagle.

– Ale...

– Leć do Polski. Odpakuj swój prezent i sama zdecyduj czego tak naprawdę chcesz. Ja tymczasem będę na ciebie czekał i przygotowywał twoje biuro. Jutro, zanim odleczysz, wręcę ci bilet powrotny na trasie Warszawa – Doha – Singapur.

– Dlaczego nie mogę zatem odpakować tej tajemniczej paczuszki już teraz, przy tobie? Po co czekać aż tyle dni? – drażyłam, zerkając na niepozorny pakunek leżący na basenowym szeszlunku.

– Jutro, Adrianno – stwierdził zdecydowanym głosem – Chciałbym cię pocałować na dobranoc, zanim odejdę, ale w zaistniałej sytuacji nie sądzę, by był to najlepszy pomysł. Wydaje mi się, iż potrzebujesz chwili, by rozdzielić poszczególne sfery swojego życia. Do zobaczenia o ósmej rano.

Do ostatniego momentu nie spodziewałam się, że faktycznie odejdzie w ten sposób, zostawiając mnie po raz kolejny samą przy basenie hotelu Marina Bay Sands. Patrząc na znikającą w drzwiach sylwetkę, poczułam się



tak, jakby nagle ktoś wyrwał mi z piersi nadal bijące serce. Ann-Marie ostrzegła mnie, bym nie zakochiwała się w bogatym facecie z wyższych sfer. Przewidziała, że może się to zakończyć jedynie bólem i łzami. Owszem, na pociesznie otrzymałam szansę na świetną pracę i rozwój, ale opłacałam to zranionymi uczuciami.

Kopciuszkowi w bajce braci Grimm było znacznie łatwiej. Co prawda książę nie zaproponował jej lukratywnej posady w znanej agencji reklamowej, jednak ofiarował jej coś znacznie cenniejszego – swoją miłość. Ja zaś byłam jedynie chwilowym kaprysem, który przez przypadek okazał się potrzebnym specjalistą. Nie podejrzewałam, że Lee może być tak wyrachowanym i pozbawionym emocji człowiekiem.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na niewielki podarunek, który wręczył mi zaledwie kilka chwil temu. W pierwszym odruchu poczułam chęć odrzucenia go jak najdalej od siebie, marząc by przepadł na zawsze w wodach zatoki. Jednak ciekawość szybko wzięła górę nad impulsem zrodzonym z gniewu.

Niechaj będzie tak jak sobie zażyczył. Odpakuję ten prezent już po opuszczeniu przestrzeni powietrznej Singapuru!

Poranek przed odlotem stał się najbardziej szalonym momentem całego mojego pobytu w mieście lwa. Ann-Marie wpadła do mojego pokoju jak burza, na zmianę żartując i płacząc z powodu mojego wyjazdu. Planując

rychły przyjazd do Polski, poprosiła jednocześnie bym jeszcze raz zawitała do Singapuru.

– Uważaj o co prosisz, bo możesz to otrzymać szybciej, niż myślisz – przestrzegłam ją poważnym tonem.

– To znaczy? – spytała zdezorientowana, pomagając mi dopiąć walizkę.

– Lee zaproponował mi pracę. Prawdopodobnie wrócę tu jeszcze przed Sylwestrem.

– Co? Żartujesz? Naprawdę? – zasypała mnie pytaniami, nie mogąc powstrzymać okrzyku radości – To świetna wiadomość! Wiesz, właściwie to myślałam o znalezieniu współlokatorki... Rachunki ostatnio wzrosły.

– Ponownie muszę cię przestrzec, byś uważała, co mówisz, bo faktycznie wezmę twoje słowa za dobrą monetę i pewnego grudniowego dnia zjawię się na twym progu ze stertą walizek. Pamiętaj, że doskonale wiem, gdzie mieszkasz!

– A ja sama, własnoręcznie, no może z pomocą Alana, wtaszczę te wszystkie walizy do domu. I kto wie, czy nie rozpakuję cię samodzielnie, by mieć pewność, że zostajesz!

– Zatem uzgodnione. Dzielimy rachunki pół na pół, przynajmniej dopóki mnie nie wykopiesz, robiąc miejsce dla ukochanego...

– Albo dopóki ty nie wprowadzisz się do swojego

czarującego szefa... – mruknęła radośnie, próbując się odegrać za moje słowa.

Zamarłam. Cóż, Ann-Marie nie miała pojęcia o naszej wczorajszej rozmowie i nagłym oziębieniu się moich stosunków z panem Collinsem.

– Akurat to jest już nieaktualna możliwość, ale zanim zasypiesz mnie gradem pytań, pragnę zaznaczyć, że na razie nie chcę o tym rozmawiać – ostrzegłam ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć.

Rozumiejąc, iż sprawa jest dla mnie zbyt świeża, przytuliła mnie niemal jak siostra i w milczeniu dodała otuchy.

– Przynajmniej masz fajną robotę – pocieszyła – Na mnie niestety już czas, praca wzywa. Miłego lotu i wracaj szybko! Postaram się wkręcić cię na imprezę noworoczną, na którą się wybieram. Będziemy świętować nowy początek razem! Buziaki! – dodała na odchodne, znikając za drzwiami.

„Jasne. Przez kilka krótkich sekund wyglądało na to, że Nowy Rok powitam w towarzystwie Lee, a skończę wśród obcych ludzi, patrząc jak Ann-Marie świętuje z Alanem. Życie jest przewrotne, ale przynajmniej mam pracę z perspektywami rozwoju” – pocieszyłam się, powracając w myślach do słów mojej nowej przyjaciółki.

Collins, siedzący na tylnym siedzeniu Bentleya,

powitał mnie chłodno i gdy tylko szofer zapakował moją walizkę do bagażnika, zarządził odjazd na lotnisko.

Patrząc na jego oblicze, dostrzegłam ciemne kręgi pod oczyma, które w moim rozumieniu mogły być jedynie efektem bezsennej nocy. Chociaż być może był to rezultat wieczornej sesji sprzed dwóch dni. Któż mógł to wiedzieć?

Szanując ciszę, którą niejako narzucił, przysunęłam się bliżej okna i, obserwując po drodze budynki, zaczęłam walczyć z przemożną chęcią rozpłakania się. Mawia się, iż słowa potrafią ranić i jest to szczerą prawdą, nie mniej jednak również cisza ma szansę zadać cięcie głębsze, niż to zadane najostrzejszym nożem.

Zagłębiając się w myślach, nawet nie spostrzegłam, gdy zajechaliśmy przed wejście terminalu odlotów. Samochód zatrzymał się. Wzięłam głęboki wdech i postanowiłam odpłacić się siedzącemu obok mnie mężczyźnie pięknym za nadobne.

– Dziękuję serdecznie za podwiezienie, panie Collins – rzekłam najbardziej oficjalnym tonem, na jaki było mnie stać – Jak rozumiem tu się pożegnamy...

– Odprowadzę cię do odprawy, Adrianno – powiedział gładko, próbując chociaż nieznacznie zniwelować narzucony przeze mnie dystans.

– Nie chciałabym sprawiać kłopotu. Nie sędzę, by

rozpieszczał pan wszystkich swoich pracowników w ten sposób.

Tym razem atak okazał się celny. Dostrzegłam to w wyrazie jego oczu. Odwrócił na chwilę wzrok, po czym spojrzął na mnie ze źle udawaną wyższością.

– Zdaję sobie sprawę, iż specjaliści, niezależnie od ich dziedziny, wymagają szczególnych względów... Ale skoro nie życzysz sobie mojego towarzystwa, to mogę poczekać tutaj, aż szofer upewni się, iż bez problemów przeszłaś odprawę.

Przesadziłam. Znowu! Być może chcąc zemścić się na nim, posunęłam się o krok za daleko. Nie mając odwrotu, postawiłam wszystko na jedną kartę.

– Pana towarzystwo zawsze było dla mnie przyjemnością. Sądzę jednak, że wczorajszego wieczora to ja stałam się niepożądaną osobą. Kto wie, może nawet powinnam wystrzegać się dachów co wyższych budynków.

Roześmiał się! Punkt dla mnie!

– Nie musisz – zapewnił z uśmiechem – przez całą naszą znajomość powtarzałaś, że jestem niemożliwy, podczas gdy tak naprawdę to ja powinienem powiedzieć to o tobie.

– Cóż, chyba właśnie za to mnie kochasz – odpowiedziałam jego własnymi słowami.

– Właściwie to tak! – zgodził się, wysiadając z

samochoodu – Chodźmy, inaczej spóźnisz się na samolot.

Odetchnęłam z ulgą. Być może nie wszystko wróciło do dawnego stanu rzeczy, ale dawała się już wyraźnie odczuć odwilż w dotąd chłodnych stosunkach między nami.

Chwyciwszy moją walizkę, ruszył w kierunku stanowiska odpraw. Zaskoczona jego asertywnością, podążyłam jego śladem, mając odczucie déjà vu. Kolejnych kilka chwil przywoływało mi na myśl lot na Bali. Szkoda tylko, że tym razem nie miałam szansy na spontanicznego buziaka.

– Niczego nie zapomniałaś? – upewnił się, odprowadzając mnie do miejsca, w którym musieliśmy się pożegnać.

– Mam wszystko.

– Bilet? Paszport? Rezerwacja powrotna, którą dałem ci w samochodzie?

– Wszystko na miejscu, schowane w torbie – zapewniłam go.

– Paczuszka? A może rzuciłaś ją w morze wczoraj wieczorem, kiedy tylko odszedłem? – zażartował, a ja zamarłam, słysząc, iż potrafi tak trafnie przewidzieć moje reakcje.

– A co, mogę odpakować ją już teraz? – spytałam, maskując pierwsze zaskoczenie.

– Nie, nie możesz – zaprotestował gwałtownie – Zrób

to w domu, na spokojnie.

– Raczej w przestrzeni lotniczej Malezji, w której na szczęście znajdę się kilka minut po starcie – sprostowałam natychmiast, nie pozostawiając mu złudzeń co do mojej cierpliwości.

– Skoro tak będzie ci wygodniej... – mruknął nieprzekonany – Pamiętaj jednak, że prezent ten został wręczony, zanim zaczęłaś podejrzewać mnie o nieczne plany protekcji w zamian za... no wiesz... – rzekł, cytując moje słowa.

Uświadomiwszy sobie, jak bardzo zraniłam go wczorajszymi podejrzeniami, poczułam się winna.

– Przepraszam – szepnęłam, dotykając dłonią jego policzka – Nie powinnam była.

– Co się stało, to się nie odstanie. Być może musi minąć jeszcze chwila, byś przekonała się... Zresztą nieważne! Miłego lotu, Adrianno. Będę czekał na twój powrót albo telefon.

Pochylił się nade mną, by musnąć mnie przelotnym całusem, przypominającym słynne „pocałunki śmierci” rozdawane przez szefów włoskiej mafii.

Pod wpływem wewnętrznego impulsu odwróciłam głowę, sprawiając, iż nasze usta zetknęły się na ułamek sekundy. Zaskoczony moim gestem nie tylko nie odsunął się, czego się po nim spodziewałam, ale objął mnie w talii i pogłębił pieszczotę. Świat nagle skurczył

się do niewyobrażalnie małych rozmiarów, a ja poczułam niechęć do pozostawienia go na chociażby jeden dzień. Oczywiście zdusiłam w zarodku to irracjonalne uczucie, wiedząc, że zwykły Kopciuszek nie jest w stanie zatrzymać przy sobie księcia takiego jak Lee Collins.

– Do zobaczenia, Adrianno – szepnął, odsuwając się ode mnie – Pamiętaj o pracy i moim zaproszeniu na Sylwestra. A gdybyśmy nie usłyszeli się przez telefon, już teraz życzę ci również wesołych świąt Bożego Narodzenia. Spróbuj przeżyć je w rodzinnej atmosferze, mimo trudów pakowania.

– Zadzwonię – obiecałam.

– Będę czekał. Idź już! – ponaglił mnie.

Nie oglądając się na niego, ruszyłam wprost do okienka odprawy paszportowej. Podałam dokumenty mężczyźnie siedzącemu za szklaną szybą i potajemnie ocierając łzę, próbowałam dostrzec odbicie sylwetki Lee. Na próżno. Elegancki mężczyzna w grafitowym garniturze zniknął w tłumie, stając się jedynie wspomnieniem.

Czując jak samolot unosi się coraz wyżej i wyżej, pozwoliłam sobie na cichutki szloch. Zamykając powieki, doszłam do wniosku, że powinnam jeszcze raz przemyśleć swoją decyzję o przeprowadzce do Singapuru. Nie dam rady widywać Lee dzień po dniu, wspominać jego ciepło, czułość i tych kilka



skradzionych pocałunków, wiedząc, że to wszystko było tylko chwilowym kaprysem.

Sięgając do torby po miętówki, natrafiłam na nieszczęsne pudełko, które wręczył mi na krótko przed tym, zanim zburzył cały mój świat. Cokolwiek się w nim znajdowało, zostało mi podarowane przez mężczyznę, który skradł mi serce.

Nie zważając na piękne ozdoby, rozdarłam papier jednym zdecydowanym ruchem i odkryłam tekturowe pudełko. Na jego dnie znalazłam kopertę z moim imieniem oraz sześcian sygnowany znakiem firmowym koncernu jubilerskiego należącego do Tian Xiong.

Następne kosztowności? Przecież nigdy im się za to nie odplacę! Jak tak dalej pójdzie, to do końca życia będę musiała robić sesje reklamujące ich produkty! Obawiając się tego, co znajdę w środku, zajrzałam do niewielkiego pudełeczka, które kryło w sobie... przepiękny pierścionek z białego i fioletowego złota ozdobiony całkiem sporym białym kamieniem.

– Boże spraw, by nie był to diament! – wyszeptałam, zakładając to małe dzieło sztuki na palec.

Światło lampy odbiło się w kryształowoczystym kamieniu i zaśniło jasnymi promieniami, wzbudzając tym samym zainteresowanie kobiety siedzącej na sąsiednim siedzeniu.

– Piękny – szepnęła z zachwytem – to VVS, prawda?

– Chyba tak – odpowiedziałam, próbując złapać oddech – Zresztą nie wiem, to prezent.

– Musi panią bardzo kochać – mruknęła z zachwytem.

Pokręciłam przecząco głową, co tylko wywołało większe zdziwienie mojej sąsiadki.

– To kwestia biznesowa. Podziękowanie za pomoc w trudnej sprawie.

– Nikt nie daje pierścionka z pojedynczym diamentem jako podziękowania. Niezależnie od tego, jak duża byłaby to przysługa – stwierdziła kobieta, raz po raz zerkając na błyskotkę na moim palcu.

– A jednak – mruknęłam zmęczona tą krótką wymianą zdań.

Sięgnęłam po kopertę skrytą na dnie większego pudełka i otworzyłam ją jednym szybkim gestem. Elegancka karta z czerpanego papieru zdobionego subtelnym wzorem została zapisana odręcznym, niewątpliwie męskim charakterem pisma. Jedno krótkie zdanie pytało:

„Czy zgodzisz się mnie poślubić?

L.”

Zamarłam, nie wierząc własnym oczom! Tysiące myśli zaczęło bombardować moje sumienie, wywołując poczucie winy. Zamiary Lee były zupełnie różne od tego, co sobie wyobrażałam. Byłam mu winna najszersze przeprosiny.

Niewiele myśląc, wezwałam stewardesę i poprosiłam o możliwość skorzystania z telefonu znajdującego się na pokładzie samolotu. Wręczyłam jej swoją kartę płatniczą i z pamięci wybrałam numer pewnego telefonu komórkowego.

– Lee Collins, słucham?

– O takie rzeczy nie pyta się listownie! – upomniałam go, nie tracąc czasu na zbyteczne moim zdaniem powitanie. W końcu widzieliśmy się kilkadziesiąt minut temu.

– Adrianna? Przecież ty jesteś gdzieś nad Morzem Andamańskim!

– Owszem, ale dzięki nowoczesnej technice mogę zwrócić ci uwagę, że pytanie dotyczące związku uczuciowego dwojga ludzi powinno paść w nieco innych okolicznościach!

– Poprawię się w przyszłości – zapewnił – a teraz, skoro już dzwonisz, czy mógłbym poznać odpowiedź? – zagadnął radosnym tonem, w którym kryła się nutka nadziei.

– Wracam dwudziestego ósmego grudnia. Będiesz musiał zapytać mnie o to osobiście! – szepnęłam, przerywając połączenie.

Wpisałam pin karty, podpisałam rachunek, który podała mi nieco zdezorientowana stewardesa i zajęłam na powrót swoje miejsce, spoglądając raz po raz na

pierścionek zdobiący mój serdeczny palec.

Okazało się, że współczesny Kopciuszek jednym ruchem może zgarnąć całą pulę, jaką współczesne życie ma mu do zaoferowania. Karierę, świetną pracę i księcia, który nad białego rumaka przedkłada luksusowe samochody!

# Spis treści

[Rozdział I Przybyłam!](#)

[Rozdział II Słuczka](#)

[Rozdział III Kawa?](#)

[Rozdział IV Nocne pogaduchy](#)

[Rozdział V Małe Indie](#)

[Rozdział VI Sentosa](#)

[Rozdział VII Gardens by the Bay](#)

[Rozdział VIII Pulau Ubin](#)

[Rozdział IX Oferta nie do odrzucenia](#)

[Rozdział X Sesja](#)

[Rozdział XI Biesiada zmysłów](#)

[Rozdział XII East Coast Park](#)

[Rozdział XIII Bali](#)

[Rozdział XIV Zakupowe szaleństwo?](#)

[Rozdział XV Sesja razy dwa](#)

[Rozdział XVI Pakt o nieagresji](#)

[Rozdział XVII Pocałunek na dachu świata](#)

[Rozdział XVIII Każdy bal dobiega kiedyś końca...](#)